



Szczęście czy pech?
Życie czy śmierć?
Właśnie dołączyłeś do gry.



TRAUMA

MAX CZORNYJ

FILIA

@Obserwator69 21:06 Zastopujcie na 1:49 drugiego filmu – najlepsza scena, jaką widziałem! Przy tym Piła i inne takie chowają się :D Mistrz Gry na scenarzystę! :D

@Polonus 21:05 **@MamaJasia** Nie bulwersuj się. Coś nie odpowiada, to spadaj stąd.

@WitTchórz 21:04 Ciekawe jakiego kwasu użył? Siarkowy tak nie działa. To musiało być coś mocniejszego. Podpowiedźcie recepturę, to przetestuję na żonie.

@MamaJasia 21:04 Wszyscy jesteście nienormalni. To chore!!!

@MarcinNowak 21:03 Ale jazda...

@Trololo 21:02 trololololo

@Paolo12 21:02 Filmiki ekstra! Zrobiliście wspaniałą robotę :D Szacun dla tych, którzy nagrywali ;)

@Dewiant 21:01 Widzieliście zbliżenie twarzy? Temu koleśowi normalnie wyżarło gębę!

MAX CZORNYJ

TRAUMA

FILIA

*Rodzicom, raz jeszcze, jak każdą.
Bez Was nie byłoby żadnej.*

Spodobało się Panu zmiążyć Go cierpieniem. Jeśli On wyda swe życie na ofiarę za grzechy, ujrzy potomstwo, dni swe przedłuży, a wola Pańska spełni się przez Niego.

Iz 53, 10

Współczucie jest krzyżem do którego przybity jest współczujący.

Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*

Dawniej, gdy ktoś zmarł, pytano: „Czy przyjął Najświętszy Sakrament? Czy wyspowiadał się? Czy przebaczył?” A dziś zazwyczaj [ludzie] pytają: „Czy w ostatnich chwilach był świadomy? Czy c i e r p i a ł?”

Romano Amerio, Iota Unum, *Analiza zmian w Kościele katolickim w XX wieku*

Grób nie został jeszcze zacementowany. Ściągnięcie prowizorycznej płyty wierzchniej nie stanowiło problemu. Przy pomocy łomu, liny i pneumatycznego podnośnika można to było zrobić nie tylko bez szczególnego wysiłku, lecz przede wszystkim – cicho.

Jednak mimo że minęła pierwsza w nocy, należało zachować ostrożność. Wprawdzie jedynym strażnikiem cmentarnego spokoju była dwuskrzydłowa brama, zamknięta na tandetną kłódkę, lecz hałasy mogłyby przykuć zbędną uwagę. Choć trudno sobie wyobrazić czyją. Kwatera znajdowała się niemal dokładnie pośrodku nowej części nekropolii. Od najbliższego muru dzieliło ją co najmniej sto metrów, a i tak po jego drugiej stronie rozciągała się pustka niezabudowanego terenu.

Szereg rosnących wzdłuż alejki tui stanowił dodatkową osłonę. Brak szerokiej perspektywy jednocześnie napawał lękiem. Gdyby jakimś cudem ktoś wezwał straż miejską, policję, wojsko czy jakiegokolwiek inne służby, kopiący mógłby się zorientować zbyt późno. Nie należało się jednak martwić na zapas.

W ogóle nie należało się martwić.

Podczas przesuwania płyta nieprzyjemnie zgrzytnęła. Dźwięk ten przeciął ciszę nocy i poniósł się między rzędami nagrobków. Jedyiny obecny tu żywy wyprostował się. Na chwilę przerwał pracę i rozejrzał się, nasłuchując.

Nic.

Cisza.

Ciepła wiosenna noc pozostawała zupełnie spokojna. Migoczące wokół znicze dopalały się bezgłośnie. Wiatr był zbyt słaby, by

poruszyć gałęziami drzew, załopotać żałobnymi wstęgami lub zawyc wśród wieńców.

Cicha noc. Martwa noc.

Światło latarki przebiło mrok grobowca. Obok trumny było dość miejsca, by swobodnie stanąć i zająć się dalszą pracą. Gdyby nie obowiązujące przepisy, grób można by uznać za małżeński. Nie wydzielono dodatkowych komór, nie zbudowano ścian i przegród, więc na jednym poziomie mogłyby spocząć dwie osoby. I zostałyby jeszcze sporo miejsca.

Intruz bezszelestnie zsunął się na dół. Z niewielkiej torby wyjął wkrętarkę zasilaną przenośnym akumulatorem oraz obcęgi. Trumna nie była jednak zabita gwoździami, więc po kilku minutach mógł zsunąć jej wieko. Już przy rozszczelnieniu ze środka zaczął wydobywać się mdły fetor, ale teraz odór wprost oblepiał mu ścianki nosa i przełyk. W świetle latarki białe atlasowe obicie wyglądało na pożółkłe. Mimo kosmetyki pośmiertnej twarz zmarłego była już zielonkawo-siną i obrzękniętą. Zamknięte podczas ostatniego pożegnania powieki rozwarły się, a gałki oczne – wytrzeszczyły. Spęczniały język wychylił się spomiędzy sklejonych warg. Nozdrza zionęły pustką.

Wyciągnięcie zwłok wymagało sporo zachodu. Ten etap stanowił najslabiej opracowany element planu. Rękaw raz użytej marynarki oderwał się przy próbie zarzucenia ręki zmarłego na plecy włamywacza. Z zastygłych w pośmiertnym grymasie ust chlusnął cuchnący płyn ustrojowy. Okolicę skropił ohydny fetor.

Intruz puścił zwłoki i pospiesznie wrócił do torby.

– Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek – syknął, szperając między przyrządami – na kogo wypadnie, na tego bęc...

Czarna taśma izolacyjna doskonale się nadawała do owinięcia twarzy zmarłego. Wystarczyło kilka pociągnięć, a spomiędzy jej pasów wystawały już tylko kępki zmierzwionych włosów. Teraz zarzucenie zwłok na plecy nie groziło wylaniem sobie za kołnierz wnętrzości nieboszczyka. Przynajmniej teoretycznie.

Intruz chwycił jedną ręką zeszywniałe, zimne dłonie, a drugą podciągnął się o krawędź wykopu. Wymagało to więcej siły, niż się spodziewał. Dopiero za trzecim razem udało mu się wydostać z grobu i zrzucić zwłoki z pleców na ziemię. Odór wzmógł się, a koszula na wydętym brzuchu zmarłego zrobiła się całkowicie mokra.

Pozostawało mieć nadzieję, że parodniowy trup nie rozpadnie się, gdy będzie wleczony. Skóra mogłaby wtedy odejść od ciała jak skórka sparzonego pomidora od miąższu. Całymi płatami. Choć prawdopodobnie było na to jeszcze za wcześnie.

Prawdopodobnie.

Teraz zostało do zrobienia to, co najważniejsze.

A czas naglił.

Zabieg był teoretycznie spóźniony, ale wydobycie ciała z grobu wcześniej mogłoby spowodować znacznie poważniejsze komplikacje. A komplikacji należało unikać za wszelką cenę.

Tak więc nagie zwłoki leżały na rozłożonym dębowym stole, wyłożonym kilkoma warstwami folii spożywczej. Pod spodem ustawiono pojemniki na płyny ustrojowe oraz zbiorniki z substancjami, które miały zostać wtłoczone w nieboszczyka.

Wszystko dokładnie przygotowano. Jedną kaniulę wprowadzono do żyły szyjnej, aby wypompować krew. Chwilę później drugi wenflon został umieszczony w zwiotczącej tętnicy udowej. Jej odnalezienie wymagało nieco wprawy, lecz po niespełna dwóch kwadransach mieszanka formaldehydów, lanoliny oraz barwników znalazła się w krwiobiegu zmarłego. Pompa elektryczna pracowała cicho i jednostajnie, a z ciała dobywało się głuchoe płaskanie. Mimo że w pomieszczeniu rozstawiono wiatraki oraz automatyczne odświeżacze powietrza, to zapach zgnilizny wniknął w każdą szczelinę.

Postać kilkakrotnie rozmasowywała martwe ciało. To udrażniało przytkane tętnice i żyły. Na szczęście żadna z nich nie została uszkodzona lub rozerwana. Wtedy potrzeba by znacznie więcej pracy i specjalistycznych umiejętności.

Już po niespełna pół godzinie sina skóra zmieniła kolor na żywszy, a krwistobordowe uszy zmarłego zaczęły bladnąć. Bezkształtne, zapadnięte usta z każdą sekundą stawały się pełniejsze. Koniuszek opuchniętego języka wciąż jednak wystawał na zewnątrz. Fioletowy, obrzydliwie nabrzmiały koniuszek...

W razie czego można go obciąć.

Obmyte środkami bakteriobójczymi ciało straciło lśniący połysk. Wreszcie, po trzech kwadransach, opuchnięty, fioletowawy brzuch również nieco zbladł. Wtedy postać pozwoliła sobie na chwilę przerwy. Usiadła na skórzanej kanapie i otarła twarz obleczonymi w rękawiczki dłońmi. Sięgnęła po kubek z resztką wystygłej kawy. Dopiła ją do dna, po czym zerknęła na zegar zawieszony nad nowoczesną, upstrzoną bibelotami komodą.

Czwarta dwanaście.

Gdyby rozchylić grube kotary, do środka pewnie wpadłyby pierwsze promienie słońca. Od prawie dwóch tygodni nie padało, a temperatury ocierały się o statystyczne maksima. Dlatego procesy gnilne tak szybko dotknęły ciało.

Gdy pompa przetoczyła ponad osiem litrów substancji balsamującej, ciche kliknięcie zasygnalizowało koniec operacji. Z nieboszczyka została całkowicie usunięta krew. Ułamek sekundy później pompa zatrzymała się i zamilkła. Pomieszczenie wypełniało jedynie monotonne rżenie dwóch wiatraków. Ich łopaty niestrudzenie cięły gęste powietrze.

Postać podniosła się i podeszła do stołu. Pogładziła dłonią nagie, chłodne ciało. Dzięki zastosowanym barwnikom nabrało znacznie żywszych kolorów, choć niektóre przebarwienia oraz plamy opadowe nie znikły. Proces balsamowania powinno się pewnie jeszcze kontynuować. Mimo to zbiornik z wytłoczoną ze zwłok ciemną, rojącą się od skrzepów krwią był pełny.

Postać wsunęła dłonie pod zwłoki i obejrzała ich plecy. Te również straciły dawny bordowo-fioletowy odcień, lecz miejscami nadal było widać sińce. Na szczęście nie miały żadnych mechanicznych uszkodzeń, bo wtedy do konserwacji potrzeba by znacznie bardziej profesjonalnego sprzętu. A ten miał niebotyczne ceny.

I to niebotyczne w znaczeniu jak najbardziej zachodnioeuropejskim. Horrendalne.

Operacja w zasadzie dobiegła końca. Pozostawało jedynie

zwieńczyć dzieło. Większość organów została nasączona środkami konserwującymi, lecz zgodnie z zaleceniami sztuki tanatoplastycznej mózg zdecydowanie powinno się usunąć.

Z zaleceniami lepiej nie polemizować.

Postać sięgnęła do metalowego pudełka ustawionego na komodzie wśród bibelotów. Kilka sekund później wsunęła długi, metalowy szpikulec w rozwarte nozdrze zmarłego. Po kilku uderzeniach o chrząstkę wreszcie wyczuła wolną przestrzeń i przepchnęła szpikulec w głąb czaszki. We wszystkich dostępnych opracowaniach dalszy proces opisywano mianem archaicznego. Współcześnie do usuwania tkanki mózgowej używano specjalistycznych urządzeń lub otwierano czaszkę i dosłownie ją wybierano. Usuwanie mózgu przez nos było praktykowane od czasów egipskich rytuałów mumifikacyjnych.

Jednak było skuteczne.

Poruszany pod odpowiednim kątem rylec dosłownie siekał fragmenty galaretowatej tkanki. Wyciągane z nozdrza kawałki przypominały piankowate cukierki, oblane porzeczkowym sosem. Po zrobieniu miejsca i rozpulchnieniu substancji mózgowej postać chwyciła kolejne urządzenie. Zamiast szpikulca przez nos zmarłego wsunęła giętką, kilkunastocentymetrową rurkę, podłączoną do przenośnego zasysacza. Działał jak odkurzacz. Ogromne ciśnienie dosłownie wessało całą zawartość rozbabraną mózgową czaszkę. Jednocześnie oczy nieboszczyka zapadły się, co wywołało grymas niezadowolenia operującego urządzeniem. Mimo to nie przerwał pracy.

Wkrótce operacja została zakończona. Ostatni etap stanowiło dwukrotne wtłoczenie do czaszki płynu o osiemnastoprocentowym stężeniu formaldehydu, aby wypłukał resztki substancji mózgowej. Ciecz, która wypłynęła, nie różniła się niczym od podawanego dzieciom kleiku.

Postać otarła gazą nos i wargi zmarłego. Uprzątnęła starannie stół, po czym przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Była to spora,

przestronna kuchnia z wyspą na środku. Postać zdjęła z kuchenki metalowy rondel i trzymając go przez ścierkę, wróciła do salonu.

Odłożyła pokrywkę, po czym wciągnęła intensywny, przyjemny zapach. W środku znajdowały się cztery litry specjalnie przygotowanej żywicy. Ponoć jej właściwości konserwujące nie miały sobie równych, a to było najważniejsze. W gruncie rzeczy muchy lub inne owady zastygłe przez miliony lat w bursztynach zostały zakonserwowane w podobny sposób. Choć oczywiście bez udziału człowieka.

Szeroki pędzel do lakierowania sprawdził się doskonale. Kolejne pociągnięcia zostawiały na skórze zmarłego cienką, szybko zastygającą warstwę. Ponoć miała być ona na tyle plastyczna, by zwłoki można było przenosić bez narażenia skóry na popękanie. Lepiej, żeby jej faktura nie przypominała werniksu na starym obrazie.

O szóstej pięćdziesiąt wszystko było gotowe. Postać opadła ciężko na kanapę i sięgnęła pod poduszkę.

– Szczęście czy pech? – syknęła zamyślona. – Dwa trupy czy jeden trup?

Upewniła się, że sześciokomorowy colt Navy ma załadowane dwie kule i uśmiechnęła się. Nagle przytknęła oksydowaną lufę do głowy.

Poruszony palcem bębenek nie obracał się jak na filmie, lecz powoli przeskoczył o jedną pozycję. Spokojne trykanie mechanizmu też miało urok. Rosyjska ruletka na amerykańskim sprzęcie zakrawała na absurd. Jak wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie godziny.

– Pech czy szczęście? – Powtórzona pytanie pozostało bez odpowiedzi. – Jeżeli pech, to gra dopiero się zacznie. Klnę się na Boga.

Palec smagnął języczek spustu.

Warkot wiatraków został zagłuszony przez huk wystrzału. Zapach siarki zmieszał się z rozwiewaną wonią śmierci. Kula zdeformowała kość czołową i zrolowała skórę. Otwór wlotowy miał wielkość dwuzłotówki, lecz pocisk przeszedł na wylot i rozłupał tył czaszki. Fragmenty kości, chrząstek i porośniętej włosami skóry rozbryzgały się po stole. Gdyby mózg nie został wcześniej usunięty, rozlałby się na blacie.

– Po raz drugi miałeś pecha.

Strzelec rzucił rewolwer na kanapę i nachylił się nad sprofanowanymi zwłokami. Chwycił je za nagie, zimne ramiona.

– Rozumiesz? Po raz drugi miałeś pecha, sukinsynu! Pechowi ludzie powinni być mordowani zaraz po urodzeniu.

Czarna taśma, której używał już na cmentarzu, ponownie się przydała. Jej niedbale wycięty kawałek zakrył otwór wlotowy. Dwa niespełna dziesięciocentymetrowe plastry zamaskowały dziurę w potylicy. Mimo to wskutek uderzenia pusta czaszka popękała. Wydawało się, że przy mocniejszym naciśnięciu można by ją rozłupać jak wyschnięty orzech. Do tego pozbawiona ciężaru przypominała piłkę lub lekką kulę do kręgli.

– Pech jest cholernie zaraźliwy. Pech zabija powoli wszystkich wokół. Pech to przekleństwo.

Kolejne słowa szeptał na wydechu. Zlewały się w ciężkie do zrozumienia zbitki głosek, charkotów i świstów. Towarzyszyły im kompulsywne pociągnięcia maczanego w żywicy pędzla. Maż jeszcze raz pokrywała głowę zmarłego oraz oklejając ją taśmę.

Po chwili postać szybkim krokiem przeszła do komody.

Gniewnym ruchem odsunęła metalowe pudełko i sięgnęła po gruby notes oprawiony w zieloną imitację skóry.

– Kolor nadziei...

Pospiesznie przerzucane strony szeleściły, a papier się miął. Nagle postać wygładziła środek kartki, rozgięła grzbiet brulionu i wyciągnęła z za okładki pióro. Stronę przecięło kilka nerwowych podkreśleń. Czerwone linie kontrastowały z eleganckimi czarnymi zapiskami. Postać wyprostowała się, obróciła pióro między palcami i na oślep opuściła je na kartkę. Na papierze rozlał się krwisty kleks.

– Raz, dwa, trzy. Dziś pecha masz ty.

Teraz każde ze słów było zrozumiałe.

Chodzenie na cmentarz stało się jej nawykiem. Nawyk szybko przeistoczył się w rytuał. Cierpienia męża nie mogła już ukoić, na zawsze ukoić ją śmierć, ale sama znalazła ulgę. Wkrótce ulga stała się natręctwem. Po prostu musiała tam iść. Obmyć grób, poprawić kwiaty. Zniczy nie zapalała, bo wprawiały ją w przygnębienie. Po kilku tygodniach od pogrzebu na cmentarzu czuła się lepiej niż w domu. Wmawiała sobie, że jest martwa w środku, a jej ciało funkcjonuje na przekór logice.

Opracowała doskonałą systematykę dnia. Wstawała o piątej, o szóstej trzydzieści docierała na miejsce, zmawiała krótką modlitwę i jechała do pracy. O szesnastej uprzątała biurko, przejeżdżała dwa przystanki na Lipową, kupowała w śmierdzącej budce jeszcze bardziej śmierdzącego burgera i, zajadając się nim, wkraczała na cmentarz. Zazwyczaj kończyła przeżuwać na alejce przed docelowym kwartałem. Jeżeli nie zdążyła, zatrzymywała się i ostatni kęs brała przy śmietniku z górą zdechłych wieńców. Ani kroku dalej. Fluopomarańczowy papierek po fast foodzie kontrastował ze zgniłą zielenią kwiatów, szarością wstążek i bladością różyczek.

Popołudniowa modlitwa była dłuższa. Po części oficjalnej prowadziła rozmowę ze Stwórcą. Był to raczej monolog, bo odpowiedzi udzielała za Niego. Następnie zbaczała na całkiem prywatne tory i zdawała zmarłemu relację z dnia w pracy. Ilu klientów banku obsłużyła, jak rozlała kawę, o czym plotkowała. To ostatnie było najgorsze. Gdyby jej mąż codziennie słyszał o nowym staniku Darii, rozterkach sercowych Ilony, a później o tym, że

prezes na pewno puka nową asystentkę, i tak by umarł. Wiedziała o tym, ale teraz nie miało to już znaczenia. Był martwy bez względu na temat rozmowy. A przynajmniej mogła się wygadać.

Okolo siedemnastej trzydzieści wracała do domu. Dawała jeść Willowi (najbardziej spasionemu chomikowi, jakiego można sobie wyobrazić), wypijała kubek herbaty i była gotowa do wyjścia. Co cztery, pięć dni zamawiała jeszcze zakupy przez internet. Oczywiście, z godziną doręczenia dopasowaną do pory jej przewidywalnego powrotu. A najlepiej z pewnym marginesem błędu. Czas powrotu był przecież zależny od ilości rozmów podsłuchanych w autobusie i plotek, z których zdawała zmarłemu skrzętną relację. Właśnie tak wyobrażała sobie ich wspólną starość. Mieli siedzieć i godzinami rozmawiać o tym, o czym rozmawiali inni. Niespodziewana choroba spowodowała konieczność rozpoczęcia tych konwersacji wcześniej. O jakieś trzydzieści lat.

Tym razem nie miała mu wiele do opowiedzenia. Dzień był słoneczny i wielu ludzi wybrało spacer zamiast powrotu autobusem. Pozostali wydawali się dziwnie markotni. Mimo pogody jechała najsmutniejszym, najcichszym autobusem od dawna.

Do mieszkania wróciła tuż po dwudziestej i zrezygnowana rzuciła się na kanapę. W ubraniu, nie zdejmując nawet kurtki, okryła się kocem. Przez dobre pół godziny gapiła się, jak Will kręci się w kołowrotku. O dziwo, mimo że ćwiczył tak godzinami, nie wpływało to na jego linię. Może gdyby nie miał kołowrotka, nie mieściłby się już w klatce? Nawet ta myśl nie wydała jej się śmieszna, a tylko groteskowa. Chomik niewychodzący z klatki, zupełnie jakby tkwił w grobie za życia.

Will, ich wspólny pupil, którego powinni kiedyś razem pochować...

Zrobiło jej się gorąco. Ściągnęła kurtkę i wysunęła się z koca. Postanowiła, że jutro wstanie wcześniej i weźmie prysznic. Chciała zasnąć, czując na sobie zapach cementarza. Czowała go tak wyraźnie. Woń mokrej ziemi, dymu, siarki z zapalek. Jej włosy zdawały się

nimi nasączone. Nie powinna ich zmywać.

Zwlekła się z kanapy i poszła do kuchni. Zapaliła jedynie światło zamontowane w okapie. Jarzące się światło niebieskich diod było równie martwe jak ona. Sięgnęła po butelkę wina i nalała sobie kieliszek. To też stanowiło rytuał. Jeden z ostatnich w ciągu dnia i jedyny nienakierowany na samoudręczenie. Symbol i zarazem wspomnienie wspólnie spędzanych wieczorów.

Odstawiła kieliszek i poczuła nagły zawrót głowy. Po kuchennej terakocie, ocierając się o jej stopy, przemknął cień. Gwałtownie się odwróciła, ale za nią nikogo nie było. Jeszcze przez chwilę nie poruszyła się, nasłuchiwała. Poza skrzypieniem klatki Willa było całkiem cicho. Żadnych odgłosów sąsiadów, żadnych kroków na klatce schodowej, nawet ruch uliczny jakby ustał.

Wtedy rozległo się głośnie szurnięcie.

Z pewnością dobiegało z przedpokoju.

Nim zdążyła wyciągnąć szufladę i chwycić nóż, cień przemknął po płytkach, na których stała. Padł na nią. Gwałtowny atak poprzedziły dwa tupnięcia tuż za jej plecami. Do nosa i ust przytknięto jej cuchnącą szmatę. Nie miała siły się bronić. Kręciło jej się w głowie, a niepoohamowana senność zamykała jej powieki. Walczyła z nią.

– Zagramy w szczęście? – usłyszała, gdy się osuwała na podłogę.

Kątem oka dostrzegła coś potwornego. Jednak jej mózg nie zdołał poddać tego obrazu analizie.

Zapadła się w ciemność.

Natalia Lec jeszcze raz przebiegła wzrokiem po liniijkach maila. Na redakcyjną skrzynkę często wpływały całkowicie niedorzeczne wiadomości, lecz ta powinna zainteresować jej szefa. Wstała od biurka i przeszła do redaktorki, jak nazywano gabinet wydawcy. Zapukała. Nie czekając na pozwolenie, otworzyła drzwi.

Naczelnny Wipczyk siedział w głębokim fotelu, wgapiony w wielki, plazmowy telewizor. Prognoza pogody jak zwykle absorbowwała całą jego uwagę. Nawet nie spojrzał na wchodzącą. Dziennikarka podeszła do szefa, zerknęła na ekran jego laptopa i bez słowa włączyła swoją skrzynkę mailową.

– Co się stało? – Wipczyk zapytał znudzonym głosem.

– Proszę zobaczyć.

– To aż tak pilne?

Głośno mlaszcząc, przesunął fotel do biurka. Zanim zerknął na ekran, przeczesał jeszcze dłonią siwe, krótkie włosy i poprawił okulary.

– Całość?

Lec przytaknęła.

– Mały druk.

– Taki ma pan ustawiony. Mogę to zmienić...

Mimo że Wipczyk był wydawcą i od popularności czasopisma zależała popularność jego własnego budżetu, był dziennikarskim konserwatystą. Żadnych niepotwierdzonych newsów, żadnych gołych cycków, a nawet zbyt nachalnych reklam. Mimo to gazeta od miesięcy miała dobre wyniki sprzedaży. Najwidoczniej społeczeństwo potrzebowało w miarę obiektywnej prasy,

zachowującej jako takie standardy. Żadnych prorządowych bzdur o wiekopomnych sukcesach gospodarczych, ale też trzeźwe spojrzenie na opozycję i jej machlojki. Można by pomyśleć, że nudy, ale przynajmniej uczciwie podane.

Wipczyk zmrużył oczy i skupił się na treści wiadomości elektronicznej.

Kiedy czytacie (pewnie całą redakcją) ten list, ktoś już rozpoczął swoją grę w szczęście.

Wiecie, jakie są jej reguły?

To dla was nieważne. Liczy się, że mogą się pojawić ofiary. W dzisiejszych czasach łatwo wzbudzić sensację przy pomocy zwykłych zwłok. Dawniej zgony przytrafiały się znacznie częściej i łatwiej, więc nikogo nie dziwił zimny trup, leżący na bruku. Ludzie modlili się o pomyślność, bo bez niej mogli nie wrócić do domu.

Szczęście lub pech.

Życie lub śmierć.

Pierwsza gotowa do gry osoba wkrótce pozna swoje przeznaczenie. Czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy wszyscy się zabawili? Całe dzielnice, osiedla i miasta? Uwierzcie mi, że wspaniale jest podarować komuś szczęście. Darując pecha, mówi się „trudno”.

Tak musiało być.

Amen.

Wydrukujcie ten tekst w waszej gazecie jako formę zachęty. Powiedzmy, początek cyklu felietonów. W przeciwnym razie ktoś będzie miał przez was potwornego (ale to bardzo potwornego) pecha. Być może nawet umrze... i to wcale nie będzie dla niego najgorsze.

Tak więc: do przeczytania!

Mistrz gry

Wipczyk przewinął ekran, ale na tym wiadomość się kończyła. Żadnego postscriptum z adnotacją, że to żart, żadnych uśmiezków

dumnych autorów. Żadnego żądania okupu w bitcoinach ani załącznika z życzeniami.

– To może być zwykły wirus – mruknął skonsternowany. – Co chwilę dostaję wiadomość od amerykańskiego generała, który odkrył w Iraku ropę...

Lec zdecydowanie pokręciła głową.

– Niemożliwe. Przez nasze systemy antywirusowe, antyspamowe i Bóg wie jakie jeszcze, nie przechodzą żadne śmieci. Mail musiał zostać wysłany bezpośrednio na moją skrzynkę pocztową.

– Domyślasz się, dlaczego akurat na twoją?

– Być może ktoś kliknął w stopkę pod artykułem na stronie internetowej.

– Więc co chcesz z tym zrobić?

– Po odpowiedź na to pytanie przyszedł do pana.

Wipczyk głośno wypuścił powietrze. Poprawił leżący na skraju biurka ołówek i założył dłonie za głowę.

– Chyba powinniśmy to zgłosić – powiedział bez przekonania.

– Na policję?

– Przecież nie na straż pożarną.

Zadając pytanie, oczekiwała wytrawniejszego sarkazmu.

– Może lepiej skonsultować się z prawnikiem. Choćby z tym adwokatem, który pisze do kącika z poradami.

– Chyba nie myślisz, że ten list jest na serio? – Redaktor pokręcił głową. – Przecież to pisał jakiś świrus, któremu się nudziło. Ktoś może zapomniał na noc wziąć leków... Wiesz, ile kosztuje szpalta w naszej gazecie?

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– O ile autorem nie jest nastolatek onanizujący się przed komputerem albo zwykły idiota, policja nie namierzy go zbyt szybko. Wtedy mielibyśmy szansę na sensację.

– Taką jak w tych kiczowatych szmatławcach...

– Nie wiedziałam, że pretendujemy do miana literatury pięknej.

Wipczyk obrzucił dziennikarkę zniesmaczonym spojrzeniem.

Przebiegł wzrokiem po jej zgrabnej figurze, obcisłych jeansach, opiętej na piersi bluzce z nazwą rockowego zespołu i wreszcie długich blond włosach. Dobrze wiedziała, co daje jej do zrozumienia. Owszem, mogłaby pracować dla każdego brukowca. Byle dobrze płacił.

– Zawiadomcie policję – podjął ostateczną decyzję. – Przede wszystkim chcę spać spokojnie. Żeby nikt mi nie wyciągnął, że zataiłem informację o możliwym przestępstwie.

– Okej. Coś jeszcze?

– Postarajmy się utrzymać to w tajemnicy – spojrzał na nią porozumiewawczo. – Zamieszanie w redakcji jest ostatnią rzeczą, o której marzę.

– Więc nic nie odpisywać?

– Nie. Może sprawa sama się rozwiąże.

– Sama?

– Chyba nie mam poczucia humoru dzieciaka z piaskownicy. A horrory częściej mnie śmieszają niż straszą.

– À propos horrorów. – Lec skinęła w stronę monitora. – Zwrócił pan uwagę na adres nadawcy?

Wipczyk przewinął wiadomość do góry. Dopiero teraz to zobaczył. Odwrócił się w stronę podwładnej i zbaraniały pokręcił głową.

– Przecież on, do cholery, nie żyje...

Starsza posterunkowa Nowak mozolnie sporządzała protokół. Nie tylko uroda, lecz także pedantyczne zachowanie wskazywały na niejeden germański listek w jej drzewie genealogicznym. Siedząca obok niej podkomisarz Tamara Haler była za to stuprocentową Słowianką. Subtelną, ale kształtną i świadomą własnego uroku. Jej szafirowe oczy pilnie lustrowały rozmówczynię.

– Czyli wiadomość nie została podpisana? – zapytała, zerkając na kartkę A4. – Wydruk obejmuje całość maila?

Siedząca naprzeciw policjantek Natalia Lec przytaknęła.

– Jednak adres mailowy nadawcy jest pani znany? – dopytywała Haler.

– Kuba Bończyk był moim kolegą. – Dziennikarka przesunęła się na sam skraj krzesła. Pochyliła się i włożyła ręce między kolana. – Mail został wysłany z jego skrzynki pocztowej.

– Na pewno nikt się nie podszył, dodając kropkę czy przecinek?

– Na pewno.

– Mhm. – Wymowne westchnięcie przykuło uwagę Lec. – Kim był ten mężczyzna?

– Kuba?

– Tak. Na nim się teraz skupimy – Haler cedziła słowa, jakby podkreślała, że nigdzie nie muszą się spieszyć. – Proszę się skoncentrować i zaraz będzie pani wolna. Najpierw zeznanie, potem balowanie.

Dziennikarka wzruszyła ramionami.

– Kuba pracował dla naszej redakcji, kiedy dołączyłam do zespołu. Był fantastycznym człowiekiem, ale przede wszystkim –

doskonałym dziennikarzem. Na pewno czytała pani jego felietony. Zawsze interesował się aktualnymi sprawami Lublina i wszystkimi brudami, a robotę traktował jak cholerną misję. Chciał nieść swoje przesłanie. Stanowił klasyczny przykład oddanego ludziom idealisty, który powinien zająć się polityką...

– Mówi pani o nim w czasie przeszłym.

Lec westchnęła. Nerwowo oblizała wargi, wzbudzając jeszcze większe zainteresowanie Halera. Podkomisarz odruchowo analizowała mowę ciała rozmówców. W tym wypadku ruchy, chaotyczne gesty i ton głosu wskazywały na potworny stres dziennikarki. Pozycja na krześle charakteryzowała osoby niepewne i skonsternowane. Wbite w ziemię spojrzenie potwierdzało głęboką koncentrację.

Natomiast posterunkowa Nowak od kwadransa nawet nie podniosła wzroku znad protokołu. To Haler również odnotowała.

Natalia Lec drgnęła.

– Tak, tak. – Mechanicznie pokręciła głową. – Kuba ciężko zachorował. Czekał na przeszczep serca, ale ze względu na jakieś komplikacje operacja nie była możliwa. Zmarł niecały miesiąc temu.

– I nikt nie mógł mieć dostępu do jego skrzynki pocztowej?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozumiem. To był jego adres prywatny czy roboczy?

– Umieszczony na serwerze redakcji. Musi pani zrozumieć, że Kuba poza pracą nie miał praktycznie żadnego życia. Wątpię, żeby w ogóle miał prywatną skrzynkę mailową.

Haler położyła obie dłonie na biurku i zaczęła, aż posterunkowa Nowak skończy spisywać protokół. Mimo że do lubelskiego wydziału kryminalnego przeniosła się już przed czterema miesiącami, wciąż nie do końca przesiąkła miejscową atmosferą. Poza tym wolała nie wyjść na arogancką krakuskę z prezydenckim dyplomem uznania. I gratulacjami od dwóch ministrów.

Nigdy nie miała problemu z tym, jak jest postrzegana, lecz rozstanie z wieloletnim partnerem nadważyło jej wiarę w siebie. Albo kazało inaczej spojrzeć na świat. To, co od niego usłyszała na pożegnanie, z pewnością tworzyło zastanawiający obraz. Przeprowadzka do Lublina wywróciła wszystko do góry nogami, ale pozwoliła z powrotem nabrać dystansu do przeszłości. Wbrew zarzutom byłego Haler nie uważała się za zarozumiałą pindeę, która ma nasrane we łbie przez teorie psychologiczne i policyjne zboczenie zawodowe. Dokładnie pamiętała tę tyradę.

Policyjne zboczenie zawodowe stanowiło eufemizm, a teorie psychologiczne brzmiały ciekawie. Pozostałych zarzutów nawet nie komentowała. Doskonała pamięć czasem jednak stanowiła przekleństwo. Choć z drugiej strony pozwalała właśnie przywołać artykuły podpisane przez Kubę Bończyka, które czytała w internecie. Od początku dobrze wiedziała, kim jest mężczyzna, pod którego podszywał się nadawca maila. A raczej kim był, bo klepsydra i wyrazy żalu na łamach serwisu on-line również nie umknęły jej uwadze.

Nowak wreszcie skończyła notować i przełożyła stronę protokołu.

– Czy treść maila coś pani mówi? – Haler odruchowo potrząsnęła wydrukiem. – Kojarzy się z jakimś artykułem, rozmową...

– Nie.

– A powód, dla którego ktoś miałby go wysłać?

– To też bez sensu. Prawda? – Lec po raz pierwszy spojrzała w oczy podkomisarz. Źrenice miała rozszerzone, a brwi – ściągnięte. – Ten ktoś nie chce pieniędzy. Nie używa własnego nazwiska, więc nie chodzi też o popularność. Nie składa oświadczeń politycznych, nie dyskredytuje pracodawcy...

– Więc co może mieć na celu? Jak pani myśli?

Dziennikarka nie dała się złapać na pytanie-przynętę. Odchyliła do tyłu głowę i nerwowo zebrała włosy.

– Nie mam pojęcia – sapnęła. – Albo komuś się nudzi, albo jakiś czubek zapomniał wziąć tabletek. Tak przynajmniej uważa mój

szef.

– I nie obawia się pani, że to może być prawdziwa groźba?

– Chyba nie. Przynajmniej... To byłby jakiś absurd.

Haler odnotowała, że spojrzenie Lec powędrowało na prawo i do góry. U osób leworęcznych stanowiło to odruch zastanowienia, u praworęcznych – zakłopotania.

– A jednak postanowiła to pani zgłosić na policję.

– Taka była decyzja naczelnego.

– Żeby w razie czego mieć czyste sumienie? Czy może, wbrew temu, co pani mówi, potraktował ten mail poważniej?

Podkomisarz coś zanotowała. Lec wyprostowała się i oparła plecami o krzesło.

– Nie wiem... Może jedno i drugie.

– Okej. W takim razie będę miała prawdopodobnie ostatnie pytanie. Przynajmniej na razie. Możemy?

– Jasne.

Haler pochyliła się nad biurkiem.

– Słyszała pani o grze w szczęście? Czy coś mówi pani ta nazwa?

– To właśnie jest dziwne...

Posterunkowa Nowak spojrzała ze zirytowaniem na dziennikarkę. Od pisania musiała już boleć ją ręka.

– Co w tym dziwnego? – dopytała podkomisarz.

Lec splotła dłonie. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, wreszcie wbiła wzrok w nieokreślony punkt na podłodze.

– Kiedy odwiedziłam Kubę po raz ostatni – mówiła cicho, ale spokojnie – był już w agonii. Wiedziałam, że zostało mu niewiele czasu. Kilka godzin, a może nawet mniej. Odmieniona twarz, napięte mięśnie, zapadnięte oczy. Usiadłam przy jego łóżku i rozplakałam się przytłoczona tym, jak szybko umierał. Bo ostatnie dni jego życia trzeba wprost nazwać umieraniem. Dopiero co śmiał się w redakcji, dopiero snuł plany o serii społecznych felietonów, a tu nagle to... Siedziałam przy nim, wsłuchując się

w charczący oddech, aż się uspokoił i całe ciało jakby się odprężyło. Myślę, że wtedy po prostu zrezygnował z walki i wywiesił białą flagę. Postanowił umrzeć. Zapewne nie miał nawet świadomości, że do niego przyszedłam, ale nie chciałam, żeby był sam.

Posterunkowa Nowak westchnęła.

– Już kończę – uspokoiła ją dziennikarka. – W pewnym momencie zobaczyłam, że Kuba porusza wargami. Zwilżyłam gazik i obmyłam mu usta. Wtedy właśnie, jakimś ostatnim wysiłkiem woli, wyszeptał, że idzie grać w szczęście. To były jego ostatnie słowa.

W pomieszczeniu panował półmrok. Sączące się zza firanki rdzawe światło dogorywającego letniego wieczoru grzęzło w kątach gabinetu. Wiedeń na osiemnastowiecznych akwafortach o tej porze wyglądał wyjątkowo ponuro. Klasycystyczna Hofbibliothek przypominała opuszczony szpital dla obłąkanych, a przysadzisty budynek kościoła szkockiego stanowił jedynie czarną plamę na tle płonącego nieba.

Komisarz Eryk Deryło siedział bez ruchu przy biurku. Jego masywna, przygarbiona sylwetka rzucała na ścianę ponury cień. Miał otwarte oczy, ale zupełnie nieobecne spojrzenie. Ciężko oddychał.

Na blacie przed nim piętrzyły się stosy rozmaitych książek, dokumentów i notatek. Pomiedzy nimi poniewierały się zmięte żurawie origami. Niektóre z nich miały obdarte głowy, inne – wyrwane skrzydła lub ogony. Większość została obrócona w papierowe kulki gotowe do wyrzucenia.

Deryło zamrugał. Przeciągnął dłońmi po twarzy i rozejrzał się, jakby nie wiedział, gdzie jest. Zapalił bankierkę, której zielony klosz przepuszczał słabe światło. Zbyt słabe, by na dobre przepędzić mrok.

Ciężko wstał z fotela, podszedł do okna i opuścił rolety. Zerknął na świat przez pozostawioną cienką szczelinę. Miasto w dole żyło. Ulicami ciągnęły sznury aut, pobłyskiwały ich reflektory, a ponad tym wszystkim unosiła się mdła poświata zapalonych przed chwilą latarni. Deryło z irytacją docisnął gilotynowe ostrze rolety do ramy okna.

Odwrócił się i oparł plecami o parapet. Powiódł wzrokiem po biblioteczkach i grafikach, wreszcie zatrzymał wzrok na artdecowskim stoliku. Podniesione ramię gramofonu przypomniało mu, co chciał zrobić. Ochota na muzykę jednak znowu go opuściła. Mimo że jeszcze przed kilkoma miesiącami mógł w kółko wsłuchiwać się w koncerty Eberla czy opery Pucciniego, teraz wolał ciszę. Co z tego, że częstotliwość pięćset dwadzieścia osiem herców uchodziła za częstotliwość serca i miała ponoć właściwości lecznicze, skoro kiedy spróbował się w nią wsłuchać, dopadała go wściekłość. Chciał zdemolować świat, lecz brakowało mu siły.

W wieku pięćdziesięciu trzech lat czuł się jak stulatek. Dawna napadowa bezsenność stała się już permanentnym elementem jego życia. Wypalał się nie tylko jako gliniarz, lecz przede wszystkim jako człowiek.

Już dawno usunął z gabinetu dyplomy i medale, które przestały być symbolem sukcesu, a stały się certyfikatem zmarnowanego życia. Kiedy poszedł do szkoły policyjnej, marzył, by prowadzić najgorsze sprawy, dopadać najokropniejszych zwyrodnialców i móc użyć broni nie tylko na strzelnicy.

Był ambitny. Był pilny, uparty i nieco ekscentryczny. Szybko awansował, zdobył uznanie przełożonych, wreszcie – kilka z jego spraw trafiło do annałów akademickich jako przykłady dochodzeń wzorcowych. Na pewien czas zachłysnął się własną pozycją. Pierwsze oprzytomnienie przyszło, gdy został mimowolnym świadkiem koszmarnego wypadku drogowego. Gdy dopadł do rozbitego auta, śmiertelnie ranna kobieta wciąż żyła i zachowywała przytomność. Płakała z bólu. Ostatnie minuty jej życia byłyby naznaczone bezkresnym cierpieniem, bez jakichkolwiek szans na ratunek i złagodzenie męki. Dlatego pomógł jej umrzeć.

Miał tego nigdy nie zapomnieć. Podobnie jak twarzy każdej z ofiar zabójstw, samobójstw i katastrof, z którymi zetknął się przez lata pracy. Demony przeszłości go przytłaczały. Kładły się cieniami na jego mózgu i wbijały pazury, strzępiąc wspomnienia. Wzynały się

w tył gałek ocznych w postaci obezwładniających migren. Zaciskały łapska na jego piersi, wywołując napadowe duszności.

Rozpracowanie sprawy i ujęcie Cztery Iksa mogło się okazać kolejną trampoliną do sukcesu. Wisienką na torcie niemal trzech dekad kariery. Tymczasem Deryło nie odczuł nawet cienia satysfakcji. Plotki, że mógłby awansować na zastępcę naczelnika wydziału kryminalnego lubelskiej policji, przeraziły go. Był gotów odejść, a jednocześnie bał się odejść. Jakakolwiek zmiana w życiu, w rytmie dnia albo nocy czy – przede wszystkim – zbyt wiele wolnego czasu – to wszystko mogło go zabić. Metaforycznie lub całkiem dosłownie. Był o tym przekonany.

Podszedł do gramofonu i powoli opuścił jego ramię. Wodził wzrokiem po zawieszonych nad stolikiem zdjęciach, ale nie skupił się na żadnym z nich. Chciał, żeby uwiecznione na nich twarze tworzyły biały szum, który bezboleśnie przewinie mu się w umyśle. Podświadomie odświeżał ich rysy.

Wyprostował się i wrócił do biurka. Wyciągnął spod blatu kosz na śmieci, po czym strącił do niego powykręcane szczątki żurawi origami. Kiedyś sądził, że podświadomie wyczuje, gdy uformuje tysięcznego z nich, lecz teraz miał co do tego wątpliwości. Stracił nadzieję.

Tysiąc to było stanowczo zbyt wiele nie tylko dla Sadako Sasaki. Może nawet, o ironio, tysiąc nie był zbawienny, a przeklęty. Jak większość przesądów.

Nim zdążył posprzątać, poczuł wibrację komórki. Po chwili tony niedawno ustawionej sarabandy Haendla stały się zwiastunem nadchodzących problemów. Wyłomem w upragnionej ciszy. Poza tym Haendel zawsze kojarzył mu się ze złymi wieściami. A przypuszczenia natychmiast potwierdził wyświetlony na ekranie numer wewnętrzny wydziału kryminalnego.

– Słucham? – rzucił, patrząc na żurawia, który utkwił między książkami.

– Posterunkowa Nowak. Panie komisarzu, przepraszam, że

przeszkadzam.

Przeprosiny w germańskich ustach zawsze brzmiały dla niego nieszczerze.

– O co chodzi?

– Dzwoniła dziennikarka od tego nawiedzonego maila.

Deryło westchnął. Chcąc nie chcąc, został przed paroma godzinami zapoznany ze sprawą jako z potencjalnym „wątkiem rozwojowym”. „Wątek rozwojowy” brzmiał niewinnie, lecz zazwyczaj zwiastował kłopoty. Podobnie jak większość eufemizmów.

– Czego chciała?

– Na jej pocztę przyszedł kolejny mail. Załączono do niego zdjęcie.

– Jakie zdjęcie?

– Ciemne, zamazane. Technicy właśnie je wyostrzają. Wydaje mi się, że przedstawia jakieś pomieszczenie, ale równie dobrze to może być fotografia dna morskiego.

Przejawy humoru u posterunkowej Nowak zdarzały się bardzo rzadko. Do tego zazwyczaj wywoływały u Deryły uśmiech pobłażania. Tym razem jedynie sapnął.

– A wiadomość? Gramy, do cholery, w kalambury?

– Przepraszam... – Posterunkowa odchrząknęła. – Jest krótka, poprosiliśmy o jej przesłanie. Zaraz panu przeczytam, komisarzu. Proszę zaczekać.

Rozległo się kilka trzasków, szelest, a wreszcie Nowak znów znalazła się przy telefonie.

– Jest tam pan?

– Tak, tak. – Deryło czuł narastające rozdrażnienie. – A gdzie mam, do cholery być?

– Już czytam. Napisał dokładnie tak...

Z każdym słowem serce komisarza przetaczało więcej krwi.

Zamrugła.

Raz, drugi, trzeci.

Bolała ją głowa i kręgosłup. Siedziała na stalowym krześle. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że jej tułów i ręce oplata gruba lina, zawiązana gdzieś za oparciem. W usta miała wetkniętą okropnie suchą szmatę. Szorstki materiał kaleczył jej język.

Wyschnięte na wiór usta były zdrętwiałe. Spróbowała przełknąć ślinę, lecz piekące gardło wydało z siebie bulgot. Z trudem obróciła głowę.

Znajdowała się w dużym pomieszczeniu. Wokół walały się butelki, foliowe siatki i mnóstwo innych śmieci. Zagrzybione ściany pokrywały kolorowe graffiti. Szyby w szeregu okienek zamontowanych pod samym sufitem były stłuczone. Przez resztki szkła sączyło się szarawe, delikatne światło księżyca. Pomieszczenie wydawało się upiornie puste.

Kobieta czuła przejmujący, kruszący kości chłód. Spróbowała się szarpnąć, ale więzy były starannie zaciśnięte. Również nogi miała przywiązane do krzesła.

Jęknęła.

Naprężyła mięśnie rąk, ale poza przeszywającym bólem nadgarstków nie zyskała nawet milimetra luzu. Rozbudzająca się ze snu świadomość zakołatała jej sercem. Zadudniło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć przez gardło. Pobudzało niesmak w ustach i prowokowało odruch wymiotny.

Kobieta zamknęła oczy i wstrzymała powietrze. Musiała się

uspokoić. Jeżeli wymiotuje, najprawdopodobniej skończy uduszona zawartością własnego żołądka. Skupiła się na oddechu i postanowiła odliczyć do trzech.

Powoli.

Spokojnie.

Raz. Gdzie jest?

Dwa. Co się stało? Czy to jakiś pieprzony dowcip?

Trzy.

Pytania przemknęły między oddechami, ale na żadne nie znalazła odpowiedzi. Otworzyła oczy i próbowała zebrać myśli. Naprzeciw niej znajdowało się wejście. Jedno skrzydło obskurnych drzwi było lekko opadnięte, ale przylegało szczelnie do drugiego. Z całej ich powierzchni łuszczyła się farba. W mroku drzwi przypominały wykrzywioną, potworną twarz z łuszczącą się skórą.

Kobieta próbowała lekko się przechylić. Rozbujane krzesło być może rozbiłoby się i uwolniło więzy. Zaciśnęła zęby. Przy każdym ruchu sznur wżynał się w rękawy sukienki i obcierał jej ciało. Kolejny, którego nie mogła dostrzec, uwierał w krtań i nagi kark. Pomimo wysiłku wszystkich mięśni krzesło ani drgnęło. Musiało być przytwierdzone do podłoża. Nawet histeryczne wierzgnięcie całego ciała zostało stłumione w zarodku.

Podobnie jak spazmy płaczu.

I konwulsje rozpaczy.

Nagle dostrzegła coś znajdującego się pod sufitem. Obróciła głowę na tyle mocno, na ile pozwalał naprężający się sznur. Gdy próbowała popatrzeć jak najbardziej w górę, czuła ból, lecz uparcie nasilała ruch gałki ocznej.

W głębi pomieszczenia dostrzegła drugie drzwi. Również pokryte łuszczącą się farbą, wyglądały na zgniłe i kruche. Gdyby udało jej się oswobodzić...

Myśl pocieszenia zagłuszył wyostrzający się kontur przedmiotu, który znajdował się wysoko nad jej głową. Serce znów podskoczyło jej do gardła.

Knebel stłumił kolejny krzyk przerażenia.

„Czas gry upływa, ale jeżeli mój list ukaże się w gazecie, uczestnicy być może dostaną łaski czasowe. W przeciwnym razie ich szczęściem będzie nadzieja, że śmierć jest pocałunkiem Boga, a nie nicości. To na zachętę”.

Deryło spędził parę godzin, roztrząsając te trzy zdania. Teoretycznie nie było potrzeby, aby wracał na komendę, mimo to nie wytrzymał. W końcu, gdy zabytkowy Becker wybił dziewiątą, wyszedł z domu. Może cała sprawa była niewartym uwagi wyglupem.

A może należało ją potraktować całkiem poważnie.

O dwudziestej pierwszej trzydzieści komisarz z kubkiem kawy wpadł do pokoju informatyków. Za dwójką chorobliwie otyłych operatorów, którzy pochylali się nad monitorami, stał aspirant Brzeski. Wysoki blondyn o dziecięcej twarzy zadziwił komisarza zaangażowaniem. Kiedyś wysnuł teorię, że Brzeski jest po prostu kawalerem, który nie ma nic do roboty poza pracą. Później okazało się, że nie nosi obrączki, ale ma całkiem uroczą żonę. Wtedy Deryło zaczął podejrzewać problemy małżeńskie i chęć odreagowania w pracy. Solidna teoria. Jednak i to wyobrażenie runęło, kiedy zaprzyjaźnił się z aspirantem i przekonał, że w związku jest całkiem szczęśliwy. Uznał go wtedy po prostu za dziwaka. Całkiem podobnego do siebie.

Mężczyźni przywitali się, a grubszy informatyk zastukał w ekran komputera.

– Proszę zobaczyć, komisarzu.

Deryło z trudem widział tam cokolwiek. Fotografia wyglądała jak

nocne ujęcie chropawej ściany.

– To całkiem dobrej jakości zdjęcie – mruknął informatyk w czarnej koszulce z nadrukiem przedstawiającym kufel pełny piwa. – Mówiąc obrazowo, zostało umyślnie przyciemnione i skontrastowane, aby ukryć jego treść.

– Więc dacie radę je odtworzyć?

– Powinno się udać.

– Pytam, jak długo to potrwa.

Informatycy popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami. Chudszy z nich, który i tak przypominał wielkiego hipopotama z okularami nasuniętymi na czubek nosa, wydał wargi.

– Do kwadransa – powiedział po chwili. – Jeżeli mamy szczęście i plik nie został dodatkowo przeformatowany.

– Szczęście to dziś złe słowo – Brzeski wtrącił się z ponurym uśmiechem.

– Właśnie – Deryło natychmiast podchwycił wątek – ktoś szukał informacji o tej grze?

– Nic takiego nie istnieje. Przynajmniej w świecie internetu. A jak wiadomo, skoro wujek Google o czymś nie słyszał, to tego nie ma. Ale szukamy dalej, w innych językach, przeszukując hasła książkowe, gazety i co tylko się da.

– Nie może nie być czegoś, o czym mówią dwie osoby.

– Właśnie... – Brzeskiego zdziwiło przygotowanie Deryły. – Ponoć naczelny tej gazety też słyszał te majaki. Kilukrotnie odwiedzał pismaka w szpitalu, w tym ostatniego dnia. Nie pamięta dokładnie, ale wydaje mu się, że również przy nim bełkotał o grze w szczęście. Znalazłem jednak coś bardziej interesującego.

Brzeski zawiesił głos, lecz Deryło cierpliwie czekał na dalszy ciąg historii. Od dawna pojedynkowali się z aspirantem na językowe przepychanki, w których wzbudzenie zainteresowania słuchacza było wysoko punktowaną umiejętnością. Upił łyk kawy i, udając znudzonego, popatrzył na wciąż ciemny ekran. Mimo to wszyscy wiedzieli, że emocje w nim dosłownie buzują, a przekroczenie

pewnej granicy może spowodować wybuch furii.

– W tym ostatnim liście napisano, że śmierć jest pocałunkiem Boga – Brzeski podjął po chwili. – To cytat z Karla Rahnera.

– Kim, do cholery, jest Karl Rahner?

– To dwudziestowieczny teolog i filozof. Właściwie nikt wyjątkowy, ale przynajmniej wiemy, że nadawca sam tego nie wymyślił.

– Tyle że w liście była wstawka o pustce.

– O nicości. – Ktoś zza pleców poprawił Deryłę. – O cholernej nicości.

Komisarz odwrócił się i utkwiał spojrzenie w Tamarze Haler. Kobieta również zaciskała dłonie na tekturowym kubku kawy. Po raz pierwszy ich zawodowe ścieżki się skrzyżowały. Dotychczas inspektor przydzielał im oddzielne sprawy, ale najwyraźniej tym razem uznał, że Deryło dojrzał, by zostać jej przełożonym. Albo, jak sam to traktował, partnerem.

– Jedno licho – skwitował. – Ale brzmiało wyjątkowo pesymistycznie.

– Nicość brzmi dosadniej. Psychologicznie jest pojemniejsza od pustki.

– Pojemniejsza: w sensie, że mniej pusta?

– Bardziej dojmująca.

Haler postawiła kubek na biurku obok ekranu komputera i zerknęła, czym zajmują się informatycy. Jak natchniona odwróciła się zaraz do komisarza. Brzeski z rezygnacją wbił dłonie w kieszenie spodni. Najwyraźniej nie był zadowolony, że Tamara została jego przełożoną. Albo że całkowicie wygryzła go ze sprawy.

– „To na zachętę”, te słowa mogą odnosić się właśnie do zdjęcia.

Deryło westchnął.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. – Haler przygryzła wargę. – Jeżeli miałabym zakładać najgorszy scenariusz, to w ten sposób psychol może wciągać nas do gry. Jeżeli złapiemy jakąś przynętę, teoretycznie

można uznać, że do niej przystąpiliśmy. To taka niewyrażona wprost deklaracja udziału.

– Coś jak składka na fundusz pracowniczy, z którego nigdy się nie korzysta?

Ironia komisarza wywołała jedynie chichot chudsze­go z informatyków. Deryło stanął bokiem do Halera i zerknął na pulpit monitora. Ciemny obraz zmąciło kilka refleksów światła, lecz nadal pozostawał nieczytelny. W tym samym momencie zdjęcie wyświetlone na monitorze drugiego z informatyków zaczęło szybko pulsować. Z każdym wyświetleniem zdawało się rozjaśniać i wyostrzać.

– Udało się. – Grubas tryumfalnie splótł dłonie i strzelił stawami. – Psikus! Stanowiło to, że zostało przekonwertowane dodatkowo na czerń i biel, ale zaraz wszystko zobaczymy. ViSir zawsze wygrywa.

Cała trójka policjantów pochyliła się za plecami informatyków. Najpierw na ekranie pojawiła się jasna płaszczyzna, która przypominała komisarzowi pomarszczoną powierzchnię księżyca. Po kilku kolejnych sekundach jakość obrazu się poprawiła. Powierzchnia księżyca okazała się taflą wody, za kilkoma drzewami i pojedynczym budynkiem. Fotografia pozostała czarno-biała, lecz obraz był wystarczająco wyraźny.

– Wiem, gdzie to jest. – Chudszy z informatyków założył okulary na czoło i zmrużył oczy. – To stary dom weselny przy Zalewie Zemborzyckim. Lokal padł i od lat budynek jest opuszczony, ale kiedyś były tam naprawdę porządne zabawy. Teraz to rudera, śmierdząca gównem bezdomnych.

Kolumna radiowozów pędziła w stronę zalewu. Nie wiedząc czego się spodziewać, Deryło wezwał pirotechników i zespół uderzeniowy. Łącznie trzy grupy bojowe oraz jedną – zaplecza. Coś w podświadomości kazało mu zabezpieczyć tę prowizoryczną akcję. Jednocześnie czuł, że może się mylić i że impulsywną reakcją zagłusza jedynie własne demony.

Samochodem, w którym jechał razem z Tamarą Haler, kierował Brzeski. Styl jazdy aspiranta na tyle odpowiadał komisarzowi, że zrobił go swoim nieformalnym szoferem.

– Myśli pan, że naprawdę tam na coś trafimy? – zapytał Brzeski, dynamicznie wychodząc z zakrętu.

– Nie mam bladego pojęcia. Ale spodziewam się totalnego bajzlu.

– Zwabia nas w pułapkę?

– A jak inaczej to wszystko rozumieć? Łudzisz się, że naprawdę chce się spotkać i zagrać w debilną planszówkę?

– Może to rzeczywiście maniak gier, który chciał się zabawić na całego. Taki numer życia, z zaangażowaniem mediów i policji. Lepsza wersja zadzwonienia z budki i oznajmienia, że pod komisariatem jest bomba.

– W dowcipach nie ma niczego o grach w szczęście i trupach.

– To też może być zwykły żart.

– Trochę słaby, skoro można za niego trafić na parę lat do pierdła, a nie wypłacić się do końca życia.

Po wyjściu z łuku Brzeski przyspieszył. Pomimo wyboistej drogi pruć grubo ponad setkę.

– Nie z takimi debilami się spotykaliśmy.

– Czytając te wiadomości, mam dziwne wrażenie, że w tym przypadku to nie jest zwykły debil.

Haler dotąd bez słowa przysłuchiwała się wymianie zdań policjantów. W tym momencie zabębniła dłońmi o kolana i odchrząknęła.

– Debil, ale uzdolniony – odezwała się, zamyślona. – Choć w zasadzie wcale nie debil, lecz ktoś całkiem bystry. Bystry sukinsyn. Ma naprawdę bogate spektrum słów, a do tego dobitnie ostry sposób formułowania myśli.

– To znaczy?

– Dowcipnisie zazwyczaj dzwonią na alarmowy, mówią, że tu a tu jest bomba i się rozłączają. Jemu zależy na interakcji. Dlatego z pewnością jego działanie zostało przemyślane, nie motywuje go wypita flaszka wódki.

– Może to notorycznie nachlany alkoholik. – Brzeski zredukował bieg i wszedł w kolejny zakręt. – To by wiele tłumaczyło.

Haler pokręciła głową.

– Nie. Jego wiadomości są zbyt przemyślane. Nie boi się, że zlokalizujemy, skąd je wysyła, a do tego treść drugiej jest ściśle powiązana z pierwszą. To świadczy o planie i rozmyślnym jego realizowaniu. Nie widzę żadnej impulsywności.

Minęli tamę, przy której kończyła się utwardzona ulica. Zwalniając, wjechali na alejkę spacerową. Całe szczęście o tej porze w okolicy nie było wielu przechodniów. Pojedynczy nocni spacerowicze na widok kolumny pojazdów rozbiegali się na boki. Mimo to komisarz zabronił używania klaksonów i stroboskopów.

Ostatnie kilkaset metrów to była żwirowa dróżka, która przecinała pole nieużytków. Na jej końcu znajdował się duży, jednopiętrowy budynek ze sztapowym frontem przypominającym szlachecki dworek. Wokół panowała ciemność. Nie było żadnych latarni, a reflektory policyjnych wozów rzucały tylko rozproszone światło.

Nagle rozległo się trzeszczenie radiodbiornika. Brzeski

natychmiast podgłośnił.

– Mówi inspektor Knap – zachrypiał szorstki głos. – Przejmuję dowodzenie. Od tej pory każdą decyzję konsultujecie ze mną.

Deryło był zaskoczony. Po raz pierwszy od dawna inspektor mieszał się w jego sprawy. Do tego w takim momencie. Od razu pomyślał o ingerencji prokuratury, wystraszonej potencjalnym nagłośnieniem tematu w mediach. Walnął w przycisk nadawania.

– Rozumiem, że pan inspektor zna plan operacji?

– Tak.

– Ale go nie kwestionuje?

– Nie mam żadnych zastrzeżeń. Chcę jedynie akceptować kolejne kroki.

Brzeski zatrzymał auto niedaleko głównego wejścia do rudery. Deryło nie zamierzał dać się upokorzyć.

– Skoro ja nie dowodzę – powiedział z ironią – wchodzę z moimi ludźmi.

– Może pan wejść na czele grupy wschodniej.

Nie jechali zdobywać gangsterskiej willi, więc nakreślony na odprawie plan pozostał ogólny. Może dlatego Deryło poczuł ulgę, że nie będzie odpowiadał za jego realizację.

– W takim razie wchodzimy od bocznego wejścia.

– Grupa aspiranta Brzeskiego wejdzie od frontu. Teuton ubezpiecza od zewnątrz, a Rudecki – cały teren.

– Zgodnie z instrukcjami.

Rozległy się potwierdzenia z kolejnych radiostacji.

– Chcę zatwierdzać każdy krok, posługujcie się odbiornikami.

– Przyjęto.

Deryło wymienił z Haler zafrasowane spojrzenia i otworzył drzwi.

– No to do dzieła. Jaśnie pan inspektor zaprasza do środka.

Przez wybite okna nie dostrzegli żywej duszy. Dawny dom weselny był całkowicie ogołcony z jakichkolwiek sprzętów. Przypominał rozpadającą się ruderę z filmów o Dzikim Zachodzie. W świetle latarek mignęły pozostałości tymczasowych lokatorów i imprez organizowanych zapewne przez okoliczną młodzież. Poza tym żadnych innych śladów ludzkiej obecności.

Policjanci ostrożnie przeszli wzdłuż ściany i zatrzymali się przy skorodowanych bocznych drzwiach. Były zamknięte na klucz. Deryło skierował usta w stronę zawieszzonego na ramieniu odbiornika.

– Zgłaszam blokadę i utrudniony dostęp – powiedział z pewną dozą satysfakcji. – Mamy wybijać?

– Wybijać.

Komisarz miał wrażenie, że rozmawia z papugą. Zewnętrzne koordynowanie operacji było pomysłem całkowicie bezsensownym, wręcz niebezpiecznym. Sprawdzało się przy najbardziej spektakularnych akcjach, prowadzonych przy użyciu sprzętu lokalizacyjnego i skomplikowanej aparatury. Lubelska policja nie była tak wyposażona. Poza tym operacja nie miała statusu terrorystycznego lub podwyższonego ryzyka. Nie mogli ośmieszyć się sprowadzeniem wozów bojowych w sprawie, w której zachodziło jedynie podejrzenie czynu przestępnego, a i to oparte na mglistych przesłankach i potencjalnej nadgorliwości Deryły.

Komisarz skinieniem głowy nakazał wybicie drzwi ręcznym taranem. Wchodzenie oknem wiązało się z koniecznością usunięcia szklanych kawałków i połamaniem resztek ram. Strata

czasu i zawracanie głowy. Taran w takich sytuacjach sprawdzał się doskonale. Jedno uderzenie wymierzone przez sierżanta wybiło drzwi z futryny. Rozbity zamek z brzękiem upadł na betonową podłogę i rozbił się na mniejsze elementy.

– Policja! – krzyknął Deryło.

Pokazał dłonią kierunek, w którym mieli się poruszać. Światło latarek omiotło długi korytarz.

– Pusto – zameldował policjant ubezpieczający lewą stronę.

– Pusto – potwierdziła Haler.

Przemieszczali się wzdłuż ściany. Rozkład pomieszczeń był zgodny z planem, który jakimś cudownym przypadkiem znaleźli w internecie. Nawet zwykła restauracja miała kiedyś swoją stronę, która jeszcze działała. Zaoszczędziło im to mnóstwo czasu, który straciliby na kontaktowanie się z inwestorem lub nadzorem budowlanym.

Po niespełna minucie od wtargnięcia do budynku dotarli do kuchennego zaplecza. Drzwi dawno wyrwano i z pomieszczenia ziała ciemna pustka. Światło latarek omiotło połamane regały, których nie opłacało się nawet wywozić.

Nagle coś przykuło uwagę Deryły. Jakaś myśl przemknęła przez jego umysł, ale nie pozwalała się schwytać. Gestem nakazał, żeby jego partnerzy skierowali latarki na ścianę pokrytą aż po sufit graffiti.

To było to.

Pośród przekleństw, tagów i chujów w dupę policji był duży, najwyraźniej świeży napis. Deryło mocniej zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

– Sukinsyn!

Inspektor Knap odłożył papierosa elektronicznego na rozłożone akta. Powoli wypuścił kłąb dymu o brzoskwiniowym aromacie i przegładził dłońmi twarz.

Zamiast korzystać z odbiornika, skorelował częstotliwości funkcjonariuszy Deryły ze specjalną aplikacją na komputerze. Kolejne meldunki dobiegały z dwóch głośników. Mógł im odpowiadać przez niewielki, ale wyjątkowo praktyczny mikrofon. Urządzenie doskonale wygładzało jakość słów i nie zbierało dźwięków z całego pomieszczenia. Lepiej, żeby w nadajnikach zespołu operacyjnego nie brzęczały łopaty klimatyzatora z jego gabinetu.

Jednak od kilkudziesięciu sekund nie spłynął żaden komunikat. O ile się dowiedział, Deryło zamierzał wejść do budynku z dwóch stron, a jednocześnie paru jego ludzi zabezpieczało teren z zewnątrz. Cała akcja wydawała się zorganizowana na wyrost, lecz ani przez moment nie zamierzał jej odwoływać. Nawet siłowe wdarcie się do środka uważał za uzasadnione. Gdyby sala weselna działała nadal, pewnie miałby większe wątpliwości. Natomiast rudery nie mógł zdemolować nawet szturm antyterrorystów.

– Policja!

Okrzyk komisarza zwiastował faktyczne rozpoczęcie operacji. Kolejne komunikaty informowały, że pierwsze z pomieszczeń jest puste.

– Zejście do piwnicy zabezpieczone.

– Schody na poddasze również. Mamy tu niezły burdel.

Deryło przed rozpoczęciem akcji przekierował łączność na pasmo

Knapa. Dzięki temu słyszał komunikaty kierowane nie tylko do poszczególnych grup, lecz także te na częstotliwości ogólnej. W ten sposób komisarz umył ręce od odpowiedzialności. Naprawdę sprytnie.

Knap odchylił się w fotelu i przymknął oczy. Dotknął palcami skroni. Oba głośniki od kilkunastu sekund milczały. W każdej chwili spodziewał się komunikatu o bezowocnym przeszukaniu budynku.

Poruszył się i sięgnął po papierosa. Dopiero z tej odległości dosłyszał regularny świst dobiegający z głośników. Cichy, ale wyraźny.

Przekręcił gałkę podgłośnienia o kilka pozycji, aż odgłos wypełnił pomieszczenie, choć jednocześnie zaczął tracić na jakości. Świst stał się niewyraźnym szemraniem. Jakby oddechem dobywającym się z podduszanej krtani.

– Sukinsyn!

Wrzask Deryły omal nie przyprawił go o zawał. Komisarz musiał mieć nastawione permanentne nadawanie, a świst rzeczywiście był jego oddechem.

Knap zerwał się i ściszył głośnik. Niechcący trącił mikrofon, który zachybotał się na biurku.

– Co się stało?!

Przyciągnął nadajnik niemal do ust.

– To nie żaden dzieciak wysyłający z nudów głupie maile – Deryło odpowiedział dopiero po chwili. – Przynajmniej tyle wiemy już na pewno.

Nie pomylili się. Trafili do właściwego budynku i oby we właściwym czasie. Deryło i Haler kilkukrotnie omietli latarkami całe pomieszczenie, lecz nikogo w nim nie było. Zaraz za nim znajdowała się kuchnia, a w głębi – betonowa ściana bez okien. Zgodnie ze znalezionym w internecie planem pomieszczenie miało kształt litery L, której krawędź podstawy zamykało wyjście awaryjne.

Komisarz jeszcze raz zerknął na napis nabazgrany fluorescencyjną, zieloną farbą.

„Dołączyłeś do gry”.

Czy jakiś psychol odnosił się bezpośrednio do niego? Czy do każdego wchodzącego? Nim zdążył przetrwać pytania, ciszę przeciął pisk. Stłumiony przez ściany, ale przerażający.

– Cholera! – Deryło, nasłuchując, przymknął oczy. – Skąd to?

– Trudno powiedzieć – wyszeptała Haler. – Już niczego nie słychać.

Rzeczywiście pisk ucichł. Komisarz nachylił się w stronę nadajnika.

– Grupa zachód – wywołał wyraźnie.

– Grupa zachód, słucham?

– Słyszeliście to?

– Tak.

– Wiecie skąd dobiegał ten pisk?

– Jakby z głębi tej rudery. Cholernie tu dużo zaułków i poruszamy się powoli. Trudno się zorientować...

Deryło przyłożył usta niemal wprost do nadajnika.

– Jest pan, inspektorze?

Chwila szumu.

– Odbiór.

– Ktoś jest w tym budynku. Jeżeli ten psychopata rzeczywiście prowadzi z nami jakąś grę, nasz czas ucieka. A może i czyjś. Słyszeliśmy krzyk, ale w tym tempie potrzebujemy kolejnego zespołu.

Znowu szum, westchnięcie i odgłos wydychanego powietrza.

– Nie ma na to czasu. Podzielcie się na mniejsze oddziały i szukajcie. Niech każdy odpowiada za siebie.

– Zrozumiano – odparł dowódca drugiej grupy.

– Zrozumiano – potwierdził Deryło.

W takim razie powinien działać sam. Obrócił się do Halera i nakazał jej podążać z sierżantem do kuchni.

– Uważajcie na siebie – mruknął. – Wdepnęliśmy w niezłe gówno...

Rzucił im zafrasowane spojrzenie i nie czekając na reakcję, skierował się w głąb korytarza. Ostrożnie, z wyciągniętą przed siebie bronią, pokonywał kolejne metry. Nasłuchiwał, lecz dziwny pisk już się nie powtórzył.

Wkrótce Deryło stanął przed wejściem do jednej z głównych sal. Na drugim końcu korytarza dostrzegł światło latarek. Ktoś z grupy zachód musiał już się zbliżyć. Komisarz odwrócił się i skręcił w wąskie przejście. Tak jak się spodziewał, prowadziło do pomieszczenia, które dawniej było łazienką. Na środku leżała potłuczona umywalka, a w głębi ciągnęły się rozpadające drewniane drzwi kabin toaletowych.

Deryło się cofnął.

Wtedy instynktownie poczuł, że ktoś jest za załomem ściany.

Tuż obok niego.

Deryło jednym susem wyskoczył na korytarz. Światło jego latarki przemknęło po ścianie i oświetliło czyjaś sylwetkę. Natychmiast się uchylił, ale kątem oka odnotował, że ten ktoś nie jest uzbrojony. Dopiero po chwili zrozumiał, że kilka kroków od niego stoi Natalia Lec. Widział ją na komisariacie jedynie przez moment, ale wystarczyło, aby zapamiętał jej sympatyczną buzię i burzę włosów. Tkwiła bez ruchu pośrodku korytarza, gestem nakazując milczenie. Komisarz powoli opuścił pistolet i oświetlił korytarz.

– Słyszał to pan? – Dziennikarka nie wyglądała na zaskoczoną. Mówiła cicho, ale z rezonem.

– Co pani tu, do cholery, robi? – Komisarz pozostawił jej pytanie bez odpowiedzi. – Nie wiedziała pani, że do środka wchodzi pieprzony oddział szturmowy?

– Miałam wybiec, przywitać się i dać zastrzelić? Wie pan, ile będzie warta fotka z tego budynku?

Komisarz zaklął. Typowa dziennikarska hiena. Dostrzegł wielki aparat przewieszony przez jej szyję. Pewnie nawet w takich ciemnościach zrobiłaby doskonałe zdjęcia.

– Skąd się tu pani wzięła?

– Przeanalizowałam dołączoną do maila fotografię i udało mi się ją wyostrzyć. Kiedyś trochę się tym bawiłam. Zadzwoiłam na numer, który mi dzisiaj podano, ale moją wiadomość potraktowano wyjątkowo olewczo. Uznałam, że pewnie wasi informatycy już mnie uprzedzili...

– Proszę się stąd nie ruszać.

Dziennikarka się roześmiała.

- A jeśli nie to co? Aresztuje mnie pan?
- Z cholerną przyjemnością.
- Przełożeni by panu nie wybaczyli. Nie chce pan mieć przeciw sobie mediów.

Deryło zakipiał ze złości. Na terenie operacji nie zamierzał się patyczkować. Tym bardziej z przekłętymi dziennikarzami. Wściekłym ruchem sięgnął po zawieszony przy pasie kajdanki i dokładnie w tym momencie znowu usłyszał przeraźliwy wrzask.

I zaraz potem kolejny.

Jeszcze głośniejszy.

W tym samym czasie aspirant Bujak krok po kroku kierował się do piwnicy. Swego czasu była to zapewne kolejna sala weselna, ale teraz mógł ją określić jedynie jako zapleśniałą piwnicę. Płytki na schodach były potłuczone i pokryte wilgotnym brudem. Ściany jeszcze szczelniej niż gdzie indziej były zamalowane graffiti. Aż dziw, że nie trafili dotąd na żadnych narkomanów albo bezdomnych. Może jedni i drudzy w lecie woleli biwaki pod chmurką.

Aspirant poruszał się powoli, trzymając w jednej dłoni latarkę, a w drugiej – pistolet. Rozległe pomieszczenie było całkowicie puste. W umieszczonych pod samym sufitem okienkach z potłuczonymi szybami hulał nocny wiatr. Na przeciwległym końcu Bujak dostrzegł drzwi.

Zgodnie ze starymi wizualizacjami pod całym budynkiem znajdowały się dwie duże sale służące niegdyś za parkiety taneczne. Aspirant nigdy nie był w tym lokalu, ale słyszał o hucznych zabawach nad Zalewem. O ile dobrze pamiętał, całe przedsięwzięcie upadło na skutek sporów prawnych pomiędzy wspólnikami. W końcu doszło do nieumyślnego podpalenia, parę razy ktoś postraszył gości weselnych i w końcu zła sława zabiła dobry interes. Nikt nie chciał ryzykować w dniu ślubu.

Bujak, skupiony na zamkniętych drzwiach, nie patrzył pod nogi. Przez przypadek kopnął leżącą na podłodze butelkę tak, że rozbiła się o ścianę. Brzęknięcie poniosło się pustym echem. Ułamek sekundy później usłyszał krzyk. Przerazający pisk, dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia.

Ścisnął mocniej pistolet.

Na sztywnych nogach przebiegł do drzwi i zatrzymał się za załomem ściany. Furiacki wrzask nie ustawał.

– Tu Bujak, jestem na poziomie minus jeden – wymamrotał do nadajnika. – Ten krzyk dobiega chyba z sąsiedniego pomieszczenia.

Rozległ się szereg potwierdzeń i odpowiedzi. Przerwał je głos inspektora.

– Chłopaki z grupy zachód na dół – rzucił on ostro. – Aspirancie Bujak, macie wstrzymać się z jakimkolwiek działaniem. Powtarzam, stójcie tam, gdzie jesteście.

Aspirant przygryzł nerwowo wargę. Krzyk świdrował mu w uszach, wypełniał umysł i napawał przerażeniem. Był to dźwięk pełen bezkresnego strachu, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. Rozpaczliwy i dziki.

Pozbawiony jakiegokolwiek nadziei.

Niemal zwierzęcy.

Nagle Bujak zrozumiał, że wrzask układa się w słowa, ale ich nie rozumiał. Wydawało mu się, że wyłapuje błagalnie powtarzane „nie”.

A to jedno słowo pociągało za sobą cały szereg najpotworniejszych skojarzeń.

Musiał działać. Nie mógł dłużej stać w miejscu. Nawet sekundy.

Naprężył mięśnie, nacisnął z całej siły klamkę i wyciągnął przed siebie pistolet. Nim zdążył oświetlić pomieszczenie latarką, było już za późno.

Przesunięcie drzwi spowodowało ruch przymocowanej do sufitu liny. Zerwany węzeł upadł na ziemię i uwolnił spod stropu ostre jak brzytwa kosy. Ostrza ich wszystkich zostały postawione na sztorc. Nie miało znaczenia, że tylko jedno wbiło się wprost w głowę uwięzionej kobiety. Rozłupało ją, jakby czaszka była kruchym kłosem zboża. Przebiło kości, mózg, przykuło podbródek do piersi i utkwiło głęboko w brzuchu.

Tuż poniżej żołądka.

Na amen.

Interwencja służb ratunkowych była niepotrzebna. Kobieta nie miała żadnej szansy na przeżycie, choć jeszcze przez kilka sekund po wtargnięciu aspiranta Bujaka z jej gardła dobywał się bulgoczący charkot. Był to dźwięk powietrza wypychanego z płuc przez mięśnie zgiętego w nienaturalnej pozycji ciała.

Bez dwóch zdań – martwego ciała.

Niespełna godzinę później Deryło oraz Haler, ubrani w stroje ochronne, przyglądali się zwłokom. Ekipa kryminalistyczna już rozpoczęła swoją benedyktyńską robotę na miejscu zbrodni. Rozstawiono pierwsze tabliczki znaczące miejsca odnalezienia śladów, sprowadzono sprzęt fotograficzny, a dwie wypchane różnymi narzędziami walizy leżały w rogu pomieszczenia.

Dopiero w świetle reflektorów widać było całą konstrukcję, która spowodowała zerwanie się postawionych na sztorc kos.

– Nic skomplikowanego. – Deryło powiódł palcem, wskazując przeciągniętą pod sufitem linę. – Sznur zapleciono na starej lampie i wzmocniono węzłem. Właściwie węzeł nie był nawet szczególnie potrzebny. Wystarczyło pchnąć drzwi, splot się zerwał albo zsunął z klamki i pozamiatane.

Komisarz klasnął. Nachylił się, spoglądając na rozrzucone wokół kosi. Klingi dwóch z nich wygięły się od uderzenia o podłogę. Drzewisko kolejnej pękło, choć to mogło również zostać umyślnie spreparowane przez zabójcę.

Deryło przeniósł wzrok na ciało. Ostrze przeszło przez głowę i klatkę piersiową, a jego zakrzywiona końcówka wystawała z jamy brzusznej. Podczas spadania żelastwo musiało się zrotować

i uderzyć pod kątem, choć równie dobrze mogło to być wynikiem tego, że minimalnie ześlizgnęło się po pokrywie czaszki tuż przed jej przebicciem.

Kosa zerwała knebel, który – wraz ze szczątkami zębów – zwisał z szyi kobiety. Fragmenty jej mózgu wyciekły przez lekko rozchylone usta, a część galaretowatej tkanki pobrudziła ciemną garsonkę. W związku z rozerwaniem układu pokarmowego z ciała wydobywał się nieprzyjemny zapach żółci i zgnilizny. Uzupełniał go metaliczny aromat krwi, która oblepiła przytwierdzone do betonowego podłoża krzesło. Niewielka kałuża zebrała się również pomiędzy jego nogami, ale krwawienie nie było zbyt obfite. Jeżeli została przebita jakakolwiek tętnica, ostrze kosy, tkwiąc w ciele, zablokowało erupcję. Poza tym śmierć nastąpiła zbyt szybko, by serce zdążyło się napracować.

Deryło przyjrzał się twarzy kobiety. Ta została niemal nienaruszona, choć martwe oczy spoglądały gdzieś ku sufitowi. Gałki zostały nienaturalnie wypchnięte, a pod powiekami kładły się plamy rozmytego przez łzy makijażu. Białe usta rozchylił śmiertelny grymas. Mimo to bez problemu można sobie było wyobrazić jej rysy sprzed paru godzin. Delikatne, niemal nijakie, a zarazem bijące pełnym subtelności urokiem. Ciemne blond włosy, pełne, ale nieumalowane usta, gładkie kości policzkowe. Elegancka garsonka pasowała do obrazu statecznej, poukładanej czterdziestolatki bez aspiracji do skoków w bok.

Komisarz zerknął na dłoń kobiety. Złota obrączka i pierścionek z szafirem na jednym palcu wywołały niepotrzebne wspomnienia. Gwałtownie podniósł się i odwrócił do Halera. Policjantka stała ze wzrokiem utkwionym w suficie.

– Dlaczego do cholery on otworzył te drzwi?!

Deryło uderzył pięścią w otwartą dłoń. Haler odsunęła od twarzy maseczkę i przesunęła się, robiąc miejsce technikom.

– Mówił, że słyszał powtarzane „nie, nie, nie”. Knebel tłumił resztę...

– Kategorycznie zakazano mu wchodzić.

– A ty? Nic byś nie zrobił? Nie wszedłbyś, gdybyś był przekonany, że właśnie kogoś mordują?

Deryło westchnął. Taka była prawda. Nikt nie powstrzymałby się przed odruchem ratowania drugiego człowieka. Poza tym brak reakcji mógł pociągnąć te same konsekwencje. Aspirant musiał błyskawicznie ocenić swoje położenie i podjąć decyzję.

Niestety, miał pecha.

Haler ponownie zadarła głowę i skinęła w stronę zwieszanej liny.

– Teoretycznie mógł nie otworzyć tych drzwi, tylko zaczekać na kogoś ze sprzętem termowizyjnym.

– Teoretycznie – Deryło fuknął.

– Również teoretycznie zwolniona lina mogłaby rozbujać kosy tak, że żadna nie trafiłaby w tę kobietę.

– To mało prawdopodobne.

– Wcale nie. – Haler kucnęła i wskazała na jedno z drewnianych styliśk. – Tu jest nacięcie, przez które przeciągnięto sznur. Zostało bez wątplenia wykonane przez zabójcę. Miałam dziadków na wsi, więc kilka razy zdarzyło mi się trzymać kosę w dłoni. Na pewno nie nacina się ich fabrycznie.

– Nawet jeśli, jakie to ma znaczenie?

– Wystarczyłoby, żeby zamiast tak dużego otworu zrobić nieco węższy. Wtedy margines ich ruchu byłby minimalny. Poza tym wszystkie pięć kos można by powiesić jedna obok drugiej, bez odstępów.

– Fakt. – Deryło zmrużył oczy. W głębi umysłu przewinęła mu się projekcja ostatnich chwil zamordowanej. – Słyszac kroki Bujaka, ta kobieta najprawdopodobniej minimalnie pochyliła się do przodu. Tyle, na ile pozwoliły jej więzy. Gdyby tego nie zrobiła, przy odrobinie szczęścia kosa spadłaby pomiędzy jej nogami. Co najwyżej przebiłaby pierś lub udo. Szereg zbiegów okoliczności.

– Wcale nie.

Komisarz zerknął na Haler spode łba.

- Co: wcale nie?
- Nie chodziło o zbiegi okoliczności. – Tamara pokręciła głową. – To była właśnie jej gra w szczęście. Przegrała swoją partię.
- Nim zdążył przetrwać jej słowa, jeden z członków ekipy kryminalistycznej cicho zaklął.
- Może pan tu podejść, komisarzu? Chyba mam coś, co pana zainteresuje...

Natalia Lec została potraktowana przez Deryłę w najbardziej humanitarny sposób. Kazał ją wyprowadzić z budynku i przesłuchiwać tak długo, aż przejdzie jej ochota na prowadzenie dochodzeń na własną rękę. Oczywiście polecił też sprawdzić jej aparat fotograficzny i usunąć zdjęcia.

Ściągnięta z domu starsza posterunkowa Nowak protokołowała odpowiedzi na własne pytania. Doskonale rozumiała, że komisarz chce w ten sposób dać jedynie dziennikarce w kość. Nowak mimo zmęczenia zgadzała się z nim. Zawsze miała go za dobrego szefa i nie śmiała by podważać jakichkolwiek jego decyzji. Możliwość samodzielnego poprowadzenia przesłuchania stanowiła wyróżnienie. Bez względu na pobudki przełożonego. Poza tym podczas przesłuchań nordycki wycinek jej genów czerpał prawdziwą satysfakcję.

– Ile wam płacą za zdjęcie trupa? – dopytywała po raz kolejny. – To nienormalne, żeby polować na tak obrzydliwą sensację.

Lec założyła ręce na piersi i pochyliła głowę. Wyraźnie zaczynała żałować własnej dociekliwości.

– To misja.

– Misja?

– Nie miałam pojęcia, że trafię tam na taką rozpierduchę. Boże...
– Z trudem opanowała głos. – Chciałam jedynie zrobić materiał. Myślałam, że to wszystko jest jakąś cholerną zabawą.

– A jednak nie wyszła pani z tego budynku, nawet po przyjeździe policji.

Dziennikarka bezwiednie pokręciła głowę.

– Już to tłumaczyłam! Nie słyszałam syren, a wrzaski, że do środka wchodzi policja, raczej nie zachęcały do zdradzenia, gdzie się jest. Wolałam przeczekać.

– I niefortunnie wpadła pani prosto na komisarza...

Cień uśmiechu przemknął przez usta Nowak. Było to nader rzadkie zjawisko i posterunkowa natychmiast z powrotem przybrała marsową minę.

– Znowu usłyszałam krzyk. – Lec zaczerpnęła powietrze i przełknęła ślinę. – Rozpaczliwe wołanie o pomoc, choć stłumione. Domyślałam się, że przez obluźowany knebel.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Jestem dziennikarką śledczą. Może morderstwa to nie jest codzienność, ale mam do cholery trochę wyobraźni.

Nowak powoli notowała. Przełożyła stronę protokołu i sięgnęła po załącznik. O tej porze już dawno powinna spać. Mimo to nie czuła zmęczenia. Wreszcie miała wrażenie, że jest potrzebna, i dawała upust emocjom. Zadręczanie przesłuchiwanego było dla niej sposobem na rozładowanie się. Właśnie się spełniała. Kątem oka dostrzegła, że Lec ociera łzy.

– Mogliśmy to odwlec... – szepnęła.

– Co takiego?

– Tę cholerną makabrę.

– Co ma pani na myśli?

Dziennikarka podniosła głowę i spojrzała Nowak prosto w oczy.

– „Jeżeli mój list ukaże się w gazecie, uczestnicy być może dostaną łaskę czasu” – zacytowała. – Gdybyśmy opublikowali ten pieprzony list choćby w serwisie internetowym, ta kobieta może dalej by żyła.

Deryło zerknął na fragment kartki trzymanej pincetą przez technika. Został wyciągnięty z buta zamordowanej kobiety. Właściwie tkwił między wycięciem schludnego pantofla a kostką ofiary.

– „Nie wiem jak wy, ale ja obstawiam, że będzie miała pecha. Skoro to czytacie, nie myliłem się”. – Haler przeczytała na głos. – Przynajmniej utrzymuje się w jednym klimacie.

Komisarz obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

– Cholernie mi się ten klimat nie podoba. Niech laboratorium zbada papier i sprawdzi, czy pisano to na maszynie, czy wydrukowano na drukarce. O ile ma to jakiegokolwiek znaczenie...

Technik posłusznie schował kartkę do woreczka na dowody i wrócił do pracy. Deryło odciągnął od szyi ściągacz kombinezonu ochronnego. Zrobiło mu się gorąco i duszno. Czuł pot zbierający się na plecach.

– Wychodzimy? – zapytał, zauważywszy, że Haler znów wpatruje się w sufit.

– Tak, tak...

– Coś tam widzisz, do cholery?

Podkomisarz wzruszyła ramionami.

– Sprawca musiał się sporo napracować, żeby przeciągnąć linę nad lampą. Albo miał wysoką drabinę, albo próbował aż do skutku...

– Albo jest cholernym Johnem Wayne'em i rzuca sznurami jak lassem.

Deryło poluzował zamek kombinezonu i ruszył w stronę wyjścia.

Haler powoli podążyła za nim. Kiedy kilka minut później znaleźli się na zewnątrz, również zdjęła strój ochronny. Zmiała go i wyrzuciła do kosza ustawionego przy wozie techników.

– To miasto robi się popieprzone. – Deryło zerknął w niebo. Pojedyncze chmury przesuwwały się po podświetlonym przez łunę i księżyc tle. – Statystycznie nie miał prawa pojawić się tu kolejny psychol.

– Statystyka to myślenie życzeniowe.

– Tylko wtedy, gdy się nie sprawdza.

Uwaga Deryły rozśmieszyła Haler. Od początku pobytu w Lublinie polubiła komisarza, ale po raz pierwszy spędzili ze sobą tyle czasu. Prawie dwie dekady starszy od niej mężczyzna mógłby być jej ojcem, a jednocześnie miała wrażenie, jakby spotkała gburowate, choć w głębi duszy absolutnie szczerze dziecko.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła zmięte zawiniątko. Rozprostowała je.

– Chcesz?

Deryło zerknął na torebkę czekoladowych draż.

– Po takiej dawce cukru nie mógłbym spać przez pół nocy. A jutro nie dopiąłbym się w pasie. – Wymownie klepnął się po brzuchu i ruszył w stronę radiowozów. – Nic tu po nas.

– Może wolisz waniliowe?

– Jaja sobie robisz?

Haler sięgnęła do drugiej kieszeni, ale widząc, że komisarz nie jest w humorze, powłokła się za nim. Obok radiowozu stał pojazd techników, dalej dwa nieoznakowane auta i furgonetka pirotechników. Deryło miał nosa do paskudnych spraw.

– „Dzielnice, osiedla i miasta”...

– Co takiego?

– „Pierwsza gotowa do gry wkrótce pozna swoje przeznaczenie. – Haler wyrecytowała z pamięci. – Czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy wszyscy się zabawili? Całe dzielnice, osiedla i miasta? Uwierzcie mi, że wspaniale jest podarować komuś szczęście”.

– Nauczyłaś się tego na pamięć?

– Szybko łapię.

Deryło zatrzymał się i odwrócił do podwładnej. Okolicę rozświetlały reflektory tylko kilku aut oraz przenośna lampa ustawiona przed wejściem do opuszczonego domu weselnego. Mimo to Haler widziała, że szef utkwiał w niej świdrujące spojrzenie.

– Sugerujesz, że porwie mieszkańców całej dzielnicy? – zapytał komisarz.

– Może ich tylko zaszantażować. Albo zastraszyć.

Deryło parsknął.

– Sądzę, że chodzi mu o coś znacznie gorszego.

– Na przykład?

– Nie wiem. – Komisarz odruchowo dotknął trzymanej w kieszeni srebrnej monety. Obrócił ją między palcami. – Do licha, nie mam pojęcia.

Haler rozgryzła kolejną drażę. W myślach raz po raz odtwarzała treść maili. Właściwie na razie mogli być jedynie pewni, że ich nadawca każde zdanie traktował szalenie poważnie. Nie była jednak w stanie uchwycić jego zamysłu. Deryło jakby podłapał jej wątpliwości.

– Gra w szczęście? – fuknął. – Co to w ogóle do cholery jest?

– Być może wie to tylko jedna osoba. W każdym razie napisał, że reguły są dla nas nieważne.

– Może wcale ich nie ma...

Haler chciała kontynuować temat, ale usłyszała za sobą kroki. Jeden z policjantów ochraniających okolicę szybko maszerował w ich stronę.

– Mamy świadka – obwieścił grobowym tonem.

Tym razem Deryło uznał prowadzenie przesłuchania na miejscu za jak najbardziej uzasadnione. Przynajmniej w części mniej oficjalnej. Zawsze można było je potraktować jako tak zwane rozpytanie, co pozwalało zaoszczędzić na czasie. Tym bardziej, że przyprowadzony dwudziestojednolatek był wyraźnie wstawiony, a otaczała go mgła marihuany. Komisarz dosłownie wyczuwał aromat zielska bijący od jego ubrania.

Młody mężczyzna mierzył około metra dziewięćdziesięciu, miał szerokie ramiona, ale szczupłą, pociągłą twarz, która zupełnie nie pasowała do atletycznej sylwetki. Był równie postawny jak Deryło, lecz w jego ruchach była niezwykła miękkość i zgrabność. Być może jedna i druga wywołane przez krążące w organizmie substancje psychoaktywne.

– Wpadł na nas prawie ze skrętem w dłoni – wyjaśnił puciołowaty policjant, gdy komisarz i Haler stanęli przy policyjnej furgonetce. – Palił trawkę w krzakach naprzeciw tego budynku.

– I nie prysnął, kiedy zajechaliśmy?

– Chyba zżarła go ciekawość i chciał poobserwować, co się dzieje.

– Myślałem, że to jakaś tajna operacja. Jak przewożenie elementów bomby atomowej czy coś...

Młodzieniec szarpnął się, ale policjant nie pozwolił mu się wyrwać.

– Mam go skuć? Znalazłem przy nim woreczek z resztkami ziola.

– Nie. – Haler uprzedziła komisarza i nerwowo pokręciła głową. – Zostaw nas tu samych, a zawartość woreczka rozwiej na wietrze. – Odwróciła się w stronę mężczyzny. – Udajmy, że nic się nie stało

i nie mamy pojęcia o żadnej trawce. To nagroda za obywatelską postawę.

– Obywatelską postawę? – Deryło prychnął. Podkomisarz właściwie wyjął mu to z ust. – Przy takich słowach opada mi zwis męski przedni. I nie mówię o krawacie.

Haler nawet nie spojrzała na przełożonego. Zaczynała się do niego przyzwyczajając, ale zatrzymany wyglądał na skołowanego.

– Zapomnimy o trawce, jeśli opowiesz nam wszystko, co widziałeś, odkąd zjawiałeś się w okolicy. Przypuszczam, że jesteś tu co najmniej od trzech godzin. Prawda? – Obróciła w dłoni dowód męczyzny. – Panie Michale Pawlaku? Trawka już wypalona, oczy nie stoją w słup, jak powinny, więc od ostatniego bucha minęło już trochę czasu.

– Wyszedłem się rozluźnić po osiemnastej – mruknął Pawlak.

Deryło z uznaniem pokiwał głową i splótł dłonie na piersi.

– To twoje codzienne miejsce... rozluźnienia?

– Nie.

– Wyczuwam kłamstwo, synu. – Deryło zrobił groźną minę. – Dlaczego paliłeś akurat w tych cholernych krzakach?

– Bo...

– Jesteś idiotą. Albo masz pecha.

– Po prostu można tędy spacerować i nikomu się nie przeszkadza. Mieszkam parę bloków dalej, a jutro mam egzamin, wie pan, kończę sesję i...

– Dość. – Komisarz machnął dłonią. Odwrócił się do Halera i przestąpił z nogi na nogę. Dawał znać, że zły policjant kończy rolę i przekazuje pałeczkę. – Niech się wypowie pani, która właśnie kazała rozwiązać dowód twojego ćpania.

Pawlak był skołowany. Mimo gabarytów sprawiał wrażenie, jakby z każdą minutą zapadał się w sobie.

– No dobrze. – Haler powoli wypuściła powietrze. – To od której tędy spacerowałeś?

– Myślę, że przyszedłem około wpół do siódmej.

– Skręta odpaliłeś już po drodze?

Na to pytanie twarz mężczyzny wykrzywił nerwowy tik.

– Spokojnie. Ani tego nie protokołujemy, ani nie nagrywamy.

– Podkomisarz chce ustalić, kiedy mogłeś mieć haluny – uściślił Deryło.

– Można tak powiedzieć...

Pawlak spuścił głowę i odezwał się przyciszonym głosem.

– Nie. Zapaliłem dopiero na miejscu. Mamy tam z chłopakami miejscówkę, w której się czasem spotykamy. Było jeszcze zupełnie jasno, więc uznałem, że dobrze będzie się pouczyć w luźniejszej atmosferze. W domu rodzice by mnie zabili...

– Uczyłeś się? Dlaczego nie masz ze sobą żadnych podręczników?

– Wszystkie materiały mam na komórce.

Deryło wymienił z Haler porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie patrz tak na mnie. – Podkomisarz spolegliwie uniosła dłoń. – Aż tak młoda nie jestem. Za moich czasów był już internet, ale na komórce głównie grało się w snake'a. A do nauki paliło się chyba za twoich lat. No dobra, ale wróćmy do rzeczy. – Wycelowwała palec w stronę Michała Pawlaka. – Czy coś zwróciło twoją uwagę? Widziałeś, żeby ktoś poza tobą kręcił się po okolicy?

– Właściwie to tak. I zapewniam, że kiedy to zobaczyłem, jeszcze się nie zaciągnąłem.

Mariusz Witt wyłączył telewizor. Od godziny na oddziale panowała cisza nocna, ale dyżurka i tak była wyciszona solidnymi drzwiami. Jednak na żadnym z pasm opłacanego przez szpital taniego pakietu nie emitowano nic ciekawego. Po prawie dwóch dekadach dyżurowania amerykańskie seriale kryminalne znał prawie na pamięć, a jeżeli nie, to i tak w znakomitej większości potrafił przewidzieć rozwój intrygi.

Na spanie było jeszcze za wcześnie. Z doświadczenia wiedział, że jeżeli przemykał oczy przed północą, zaraz zaczynała się hekatomba. Albo przynajmniej kilka zbiegów okoliczności przekonało go, żeby kłaść się dopiero, gdy kalendarz przeskoczy na kolejny dzień. Nie miał się za przesądny, a jednak pora spania była jego zajęczą łapką.

Witt dopił sok marchwiowy i odstawił szklankę do niewielkiego zlewu. Opłukał ją wodą, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Miał czterdzieści trzy lata, pierwsze siwe włosy na skroniach i zmarszczki w kącikach oczu. Od roku zamierzał zacząć korzystać z karty sportowej, która stanowiła dodatek do jego pensji, lecz ciągle znajdował wymówki. Poza tym odkąd urodziła mu się córka, wolał spędzać jak najwięcej czasu w domu. Nieplanowane ponowne ojcostwo w momencie, gdy jego syn wkroczył w okres dojrzewania, przywróciło mu wiarę w rodzicielstwo. Dziewczynka przynajmniej sprawiała wrażenie zakochanej w ojcu. Zamiast siłowni musiało mu wystarczyć dość regularne bieganie.

Kiedy usiadł na wersalce, poczuł wibrację telefonu. Wyciągnął go i pospiesznie zerknął na ekran. Edyta. Zaniepokojony natychmiast

odebrał.

– Halo?

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

W głosie żony nie wyczuł niczego niepokojącego.

– Nie. Przecież wiesz, o której się kładę. Coś się stało?

– Po prostu nie mogę zasnąć.

Odetchnął. To zdarzało się raz na parę tygodni, ale za każdym razem telefon po dwudziestej trzeciej przyprawiał go prawie o zawał.

– Weź połówkę hydroksyzyny.

– Nie chcę się faszzerować. Po tych tabletkach rano czuję się jak zombie, a znając życie, Tosia zerwie mnie skoro świt.

Pomysł nazwania córki Antoniną najpierw potraktował jak fanaberię żony, lecz z czasem uznał, że nie wyobraża sobie, by mała mogła mieć inne imię. Tosia. Rozkoszna Tosia miała cztery miesiące i stała się jego oczkiem w głowie.

– Jak się ma mała? Zasnęła bez problemu?

– Tak, w przeciwieństwie do mnie. Obudzi się albo lada moment, albo kiedy tylko zamknę oczy.

– Jak zwykle oboje jesteśmy na dyżurze.

– O tak. Tyle że ty swój skończysz rano, a ja zostanę na bezpłatnym posterunku.

– Jeszcze tylko parę miesięcy. Maksymalnie rok.

Edyta zachichotała.

– Z Jaśkiem trwało to trochę dłużej.

– Właściwie trwa nadal... – Witt pomyślał o bezsennych godzinach, gdy zgadzali się, by syn nocował u kolegów. – Dzieci...

– I tak przez całe życie. Tosia jeszcze da nam popalić... – Edyta zawiesiła głos. Odchrząknęła i po chwili odezwała się przyciszonym tonem: – Nie zawracam ci głowy. Chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham.

– Sprawdzałaś mnie.

– Wcale nie!

– Przyznaj się.

Żona Witt'a wyraźnie nie miała ochoty na droczenie się. Niemowlę potrafiło odebrać siłę nawet do tego motoru napędowego ich związku.

– Dobranoc – pożegnała się. – Śpij dobrze.

Cmoknęła w słuchawkę i się rozłączyła. W tym samym momencie rozległo się pukanie. Nim Witt zdążył się odezwać, do gabinetu weszła pielęgniarka. Przypominała wysoką tyczkę bez zarysu bioder i piersi.

– Może partyjka warcabów? – zaproponowała. – Na dobry sen.

– Chyba dziękuję.

– Jak na razie mamy zaskakujący spokój.

– O tak. – Witt uśmiechnął się drapieżnie. – Jak na razie.

Zgodnie z relacją Michała Pawlaka około dziewiętnastej pod budynek dawnego domu weselnego zajechało stare czarne kombi. Jak to ujął chłopak, auto było w typie trupowatych tumnowozów z lat dziewięćdziesiątych. Mogło to być volvo, ale równie dobrze wszystko inne. Zwróciło jego uwagę tylko z tego względu na to, że od dawna nie widział, żeby na opuszczonym parkingu ktoś się zatrzymywał. Po pierwsze, mało kto wiedział, że żwirową alejką można tam dojechać, po drugie, miejsce sprawiało wrażenie takiego, w którym można prędzej stracić samochód niż go przechować na czas spaceru wokół zalewu.

Mężczyzna nie widział kierowcy ani tego, co działo się później. Miejsce, w którym siedział i które Deryło zdołał jeszcze w nocy obejrzeć, miało ograniczoną perspektywę. Budynek w większości zasłaniał parking. Kombi ponownie przejechało żwirówką po mniej więcej pół godzinie. Maksymalnie czterdziestu pięciu minutach. I choć Pawlak starał się mówić z przekonaniem, co do tego jego reakcja nie wyglądała zbyt wiarygodnie. Z pewnością widział auto, gdy zaczął już tracić poczucie czasu.

Poza tym nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Nie zwrócił uwagi, czy w budynku zapalono światła, nie słyszał z niego żadnych odgłosów, a zbliżył się w jego stronę dopiero, gdy pojawiła się policja. Naturalnym odruchem powinno być wycofanie się albo ucieczka, lecz w jego przypadku trawka podkreśliła ciekawość. Obsesyjnie zainteresował się tym, co się dzieje.

Deryło nakazał jedynie go spisać. Znalezione resztki trawki i lufka zgodnie z umową poszły w niepamięć. W telefonie chłopaka

rzeczywiście były materiały do nauki, poza tym miał czystą kartotekę, a opowiedziana przez niego historia trzymała się kupy. Nie było sensu psuć mu nocy przed decydującym egzaminem.

Komisarz obszedł jeszcze dwa razy okolicę, ponaglił techników oraz zadbał, by sekcję wykonał zaprzyjaźniony z nim doktor Gawiński. Niczego więcej nie mógł zrobić. Haler wyglądała na przybitą, lecz dzielnie dotrzymywała mu kroku. Oboje zatopieni w myślach niemal się do siebie nie odzywali. Deryło jedynie co rusz wzdrygał się, obserwując tempo, w jakim podkomisarz pochłaniała paczki draży. Rozstali się dopiero około drugiej nad ranem, gdy ciało zamordowanej kobiety zostało zabrane z budynku.

Deryło nie mógł zasnąć. Przez godzinę setki razy gładził każdą z linii składanego żurawia origami. Załamania papieru były tak ostre, że mogły rozciąć skórę, lecz usilnie powstrzymywał się przed wykonaniem ostatnich ruchów. Gdy wystarczyło już tylko finalnie rozłożyć ptaka, cofał się do początku i zaczynał od odwrotnej strony.

Na biurku przed nim leżały wydrukowane maile, które trafiły na skrzynkę pocztową Natalii Lec. Analizował je słowo po słowie, lecz nie potrafił uchwycić sensu. Tak naprawdę nadawca nie stawiał w nich żadnych konkretnych żądań. Sprawiał wrażenie mistrza gry, do której nie zapraszał żadnej określonej osoby. Nie wyjaśniał reguł, nie wspominał o nagrodzie, jedynie groził konsekwencjami nieopublikowania swoich wypocin.

Gra w szczęście...

Po setnym roztrząsaniu tego terminu myśli Deryły zaczęły ulatywać ku sennej nicości. W pół drogi między jawą a koszmarami zamajaczyło wspomnienie brata. Roman od lat tkwił w stanie ocierającym się o wegetatywność. Miał pecha lub zbyt mało szczęścia. Najprawdopodobniej buszując po strychu jednej z kamienic, przez kontakt z ptasimi odchodami zakaził się kryptokokożą. Ta szybko doprowadziła do zapalenia mózgu i śpiączki. Mimo że przed kilkoma miesiącami jego stan zaczął się

nieoczekiwanie poprawiać, wszystko wkrótce wróciło do ponurej normy.

Do tego w tym samym czasie, kiedy powinien święcić ujęcie Cztery Iksa, doszło do okropnego wypadku. Samochód, w którym miał być sam, a w którym była jego żona i córka, został sprasowany przez rozpędzony tir. W starciu z kilkunastoma tonami stali stary citroen był bez szans.

Deryło wciąż słyszał tamten huk i jęk gnącej się karoserii. Pisk opon mieszał się z syrenami karetek, wrzaskami strażaków i swądem spalenizny. Odgłosy wibrowały i wżynały mu się w umysł. Powracały raz po raz, płacząc myśli. Starał się je oswoić, przyzwyczaić do nich i...

Otworzył oczy.

Na jawie wciąż słyszał ten dźwięk. Dopiero po chwili zorientował się, że przez szparę rolet wpada światło poranka. Leżąca obok wydrukowanych maili komórka miała podświetlony ekran.

Wibrowała.

Deryło był zbyt zaspany, by sprawdzić, kto dzwoni. Mechanicznie odebrał i przyłożył telefon do ucha.

– Tak?

– Technicy właśnie uprzątnęli zabawki. – Krótki meldunek przywołał go do rzeczywistości. – Mamy wstępny raport.

– Już jadę.

Tissot na jego nadgarstku wskazywał, że właśnie minęła szósta.

Tamara Haler wpatrywała się w pięciusetlitrowe akwarium. W pokoju było zgaszone światło, ale zbiornik rozświetlały specjalne moduły. Dwa filtry uspokajająco bulgotały.

Podkomisarz niemal przytykała nos do tafli specjalnie utwardzonego szkła. Obserwowała, jak ciemnofioletowa rozgwiazda wspina się na świeżo dostarczoną kolonię koralowców. Jej osiemnaście pokrytych ostrymi kolcami ramion poruszało się w ślimaczym tempie.

Haler wiedziała, że rozgwiazda za chwilę dopasuje się do powierzchni koralowca, a potem wyrzuci przez jamę gębową swój żołądek. Ten rozciągnie się niemal do wielkości ciała drapieznika. Następnie enzymy trawienne zaczną rozpuszczać tkankę rafy i powoli ją trawić. Większość akwarystów traktowała rozgwiazdy z gatunku zwanego koroną cierniową jako niechcianych gości, przemyconych często razem z fragmentami interesujących skał. Dla podkomisarz nie było piękniejszego zwierzęcia.

Dotknęła dłonią szyby i zostawiła na niej odbicie. Wciąż analizowała treść wiadomości od Mistrza Gry. Jej umysł pracował na wytężonych obrotach, lecz wciąż nie odnalazła w tych słowach głębszego sensu.

„Czas gry upływa, ale jeżeli mój list ukaże się w gazecie, uczestnicy być może dostaną łaski czasowe. W przeciwnym razie ich szczęściem będzie nadzieja, że śmierć jest pocałunkiem Boga, a nie nicości. To na zachętę”.

Czasem nienawidziła swojego umysłu. Bez problemu potrafiła zakodować wiele linijek tekstu, dziesiątki stron informacji, ale

później niewidzialne tryby miały je raz po raz, nie pozwalając jej na odpoczynek. Wpatrywanie się w akwarium, w którym pełzała rozgwiazda, przynosiło ulgę. Przemykające ławice ryb drażniłyby ją, rozpraszały i zmuszały do jeszcze mocniejszego skupienia. Rozgwiazda poruszała się powoli i dostojnie. Zawzięcie dążyła do swojego celu. Nie mogły jej powstrzymać prądy, zmiana pory dnia ani większość drapieżników. Zetknięcie się z jej nafaszerowanymi toksyczną saponiną tkankami mogło być śmiertelne nawet dla dorosłego człowieka. Substancja ta miała właściwości podobne do detergentów, przez co na powierzchni wody unosiła się delikatna piana.

Haler często przed zaśnięciem wyobrażała sobie, że jest tkwiącą na dnie ciepłego oceanu rozgwiazdą.

„Czy nie byłoby pięknie, gdybyśmy wszyscy się zabawili? Całe dzielnice, osiedla i miasta? Uwierzcie mi, że wspaniale jest podarować komuś szczęście. Darowując pecha, mówi się «trudno».

Tak musiało być.

Amen”.

Kolejne zdania przewijały się w umyśle podkomisarz jak fragmenty irytującej piosenki. Nadała im własny rytm i melodię.

Czy można podarować komuś szczęście lub pecha?

Gdyby Haler zadała sobie to pytanie przed rokiem, pewnie odpowiedziałaby twierdząco. Oświadczyły, dziecko, zamieszkanie razem... Do każdego z najprzyjemniejszych momentów życia niezbędna była druga osoba. Jednak z perspektywy czasu wołała myśleć, że o byciu szczęśliwym lub pechowym każdy decyduje sam. Przynajmniej taka nauka płynęła z większości poradników psychologicznych, które pochłonęła w ostatnich miesiącach. O dziwo, mimo że naiwne, w znacznej mierze korelowały z jej wiedzą wyniesioną ze studiów.

Różniła się tylko perspektywa.

Szczęście lub pech.

Życie lub śmierć.

Haler zmrużyła oczy, obserwując, jak rozgwiezda przywiera do koralowca. Kolce na jej odnóżach zafalowały, a po chwili zastygły w bezruchu. Korona cierniowa była gotowa do zerwania.

„Dołączyłeś do gry”.

Fluorescencyjny napis rozblysnął w projektorze umysłu podkomisarz. Wyprostowała się i przygryzła usta. Jeszcze przez chwilę obserwowała z góry rozgwiezdę, po czym zgasła w akwariium światło.

– Dołączyłeś do gry – wyszeptała zamyślona.

Jeszcze przed paroma miesiącami Deryło nie wyobrażał sobie, by mógł wyjść z domu bez ogolenia się. Za czasów szkoły policyjnej nosił okresowo krótki zarost, ale niemal przez trzy kolejne dekady nie było po nim śladu. Tymczasem ostatnio golił się raz, maksymalnie dwa razy na tydzień, aby zapobiec wrastaniu włosów. Poranną toaletę również zminimalizował: z prysznicza do szybkiego przemycia się. Nie robiło mu to różnicy. Z planu dnia usuwał wszelkie czynności, podczas których dopadała go gonitwa myśli.

Po niespełna trzech kwadransach od telefonu posterunkowego wkroczył na komendę. Kupił w automacie kawę i popijając ją, ruszył w stronę gabinetu. Zaskoczony, zobaczył, że drzwi naprzeciwko są otwarte. W środku niewielkiego pomieszczenia przy biurku siedziała Haler. Przeglądała akta i nawet nie zwróciła uwagi, że komisarz stanął tuż za jej plecami.

– Spałaś?

Drgnęła zaskoczona. Odwróciła się gwałtownie i opuściła na biurko plik przeglądanych dokumentów.

– Przepraszam, drzwi były otwarte...

Niedbale machnęła ręką.

– Chciałam tu zrobić jakikolwiek ruch powietrza. – Skinęła w stronę okna. – Mózg mi się zacina, ale o przewiewie mogę pomarzyć.

Deryło postawił przed nią kubek kawy.

– Pij. W gabinecie serwuję lepszą, ale nie chciało mi się czekać...

– Zaraz sobie kupię.

– Pij. Mówię do ciebie jak do studentki na imprezie w akademiku.

Pij!

Haler uśmiechnęła się i siorbnęła.

– Dziękuję.

– W porządku, teraz zacznijmy od początku. Spałaś?

– Powiedzmy. Chyba tak samo dobrze jak ty.

– Zdrzemnąłem się w fotelu. Patrząc na moje ostatnie standardy, to i tak nieźle. – Deryło zerknął na rozsypane akta. – Czy to przypadkiem nie raport, dla którego wyrwano mnie ze słodkiej drzemki?

– Sądzę, że tak. Choć właściwie szkoda na to czasu. – Haler strąciła z blatu kilka pustych opakowań po drażach i pchnęła nogą krzesło stojące z drugiej strony biurka. – Siadaj, to oszczędzę ci czytania.

Kiedy Deryło ciężko usiadł, podkomisarz przymknęła oczy. Po chwili odezwała się, jakby recytowała wyuczone na pamięć notatki:

– Ciągłe nie ustaliliśmy tożsamości ofiary, ale rejestry zaginionych są wertowane w tę i we w tę. Niestety, w budynku nie znaleziono żadnych pomocnych śladów. Nul. Muł. Dno do kwadratu. Na kosach nie ma odcisków palców, nie ma ich też na krześle, do którego przywiązano tę kobietę, ani nigdzie w pobliżu. O dziwo, nawet menele musieli od jakiegoś czasu unikać tego budynku, bo nie trafiliśmy na żadne świeże ślady biologiczne. Nawet graffiti, poza jednym, wiadomym, wydają się wyblakłe. Sprawca pewnie starannie sprawdził otoczenie, zanim zorganizował tę całą głównianą grę. Z pewnością nie chciał, żeby ktoś przeszkodził mu w zabawie.

Haler otworzyła oczy, upiła kolejny łyk kawy i przesunęła kubek w stronę Deryły.

– Masz, napij się albo zaraz ci kupię. Mam wrażenie, że lada moment padniesz.

– Do południa się rozruszam. – Komisarz otarł twarz dłońmi. – W moim wieku zrozumiesz, że czasem lepiej wstać lewą nogą niż obudzić się obunóż. Albo trójnóż, gdyby się przesadnie skupić na

fizjologii.

Haler parsknęła śmiechem, jednak widząc kamienną twarz przełożonego, natychmiast się opanowała. Zrobiło się jej go zwyczajnie szkoda. Wyciągnęła dłoń w stronę ramienia komisarza, lecz zaraz ją cofnęła. Ponownie przymknęła oczy i powróciła do streszczania raportu:

– W promieniu pięciuset metrów od budynku nie ma żadnego monitoringu. Są dwie kamery skierowane na obiekty, których strzegą, w odległości dokładnie pół kilometra i siedmiuset metrów. Zasięg kilometra to już inna bajka, więc nie ma co sobie zawracać nimi głowy. Chyba że pod kątem przejeżdżających aut, co kazałam zrobić.

– Strzelam, że bez skutku.

– Jedna z kamer obejmuje fragment ulicy Zemborzyckiej. To właśnie z niej mógł zjechać sprawca, ale miał do wyboru co najmniej trzy inne drogi oraz kierunki dojazdu. – Haler, nie otwierając oczu, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła czekoladową drażę. Obróciła ją między palcami. – Chłopaki wyłapali między osiemnastą a dwudziestą dokładnie trzydzieści siedem ciemnych kombi. Sto sześć, jeśli liczyć modele produkowane po dwutysięcznym roku. Właśnie sprawdzają, czy któryś z nich jechał potem w drugą stronę.

Podkomisarz schrupała drażę. Deryło nie wytrzymał i sięgnął po kubek kawy. Z namaszczeniem pociągnął spory łyk. Wiodło nim jakieś podświadome przeczucie, gdy zamiast zwyczajowego espresso wziął dużą czarną.

– Czyli jesteśmy w lesie – mruknął. – Powiedz, że mamy chociaż jedną dobrą informację. Tyci, tyci. Cokolwiek...

Haler pokręciła głową.

– Niestety. Nie znaleziono nawet żadnych nadających się do analizy śladów traseologicznych. Susza jest dobra na piasku, ale na żwirze i glinie powoduje...

– Nie traktuj mnie jak idioty. – Nie wiedziała, czy Deryło

naprawdę się obruszył, czy tylko udaje. – Domyślam się, że na zwirze nie ma śladów opon.

– Nie ma też śladów podeszew.

– A to znaczy tylko tyle, że morderca nie wlaź w suchy, pylący się piasek. I nie napisał nigdzie czubkiem buta, że...

– Właśnie. – Haler weszła Deryle w słowo. – W sumie jest jedna dobra wiadomość.

– Długo miałem na to czekać? Mam otworzyć szampan?

– Nie. Po prostu to żaden wielki sukces.

– Ale zamierzasz go odtrąbić na mój rozkaz czy mam zacząć błagać?

Haler odczuwała coraz większą przyjemność z droczenia się z komisarzem, choć wołała nie przegiąć i nie przekroczyć granicy wzajemnej przyjaznej uszczypliwości.

– Wiadomość znaleziona w bucie tej kobiety nie została ani nakreślona atramentem, ani wydrukowana. Przynajmniej nie w ostatnim czasie. – Nie mogła powstrzymać się przed krótką pauzą, jednak odezwała się, nim komisarz zdążył się zirytować. – Stanowi fragment strony wyciętej najprawdopodobniej z książki. Choć jeszcze nie wiemy jakiej.

Deryło zmarszczył brwi.

– Nie wiem jak wy, ale ja obstawiam, że będzie miała pecha.

To brzmiało jak fragment kryminału, ale równie dobrze mogło pochodzić z komedii, stanowić nagłówek artykułu, fragment libretta lub czegokolwiek. Nie potrafił go z niczym skojarzyć, choć wydawał mu się jednocześnie znajomy.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Dzień zaczynał się naprawdę fantastycznie, a wszystko było jeszcze przed nimi.

Tym razem przezornie zerknął na wyświetlacz komórki, po czym pospiesznie odebrał.

– Wisisz mi porządną przysługę albo flaszkę – głos Gawińskiego zdradzał potworne zmęczenie, ale patomorfolog brzmiał tak zawsze. – Byłem jak ekspres. Rozumiesz? Nigdy więcej nie przywóz mi w środku nocy trupa z adnotacją „śmiertelnie pilne”. To nie jest śmieszne...

Deryło zerknął na Halera i lewą dłonią nakreślił na piersi literę Y. Nie trzeba jej było dobitnie pokazywać, że dzwoni patomorfolog.

– Zdaje się, że to już inwencja moich ludzi.

– Musisz ich krócej trzymać. Wykorzystują mnie.

– Nie.

– Nie?

– To było śmiertelnie pilne. Nie wiem, kto tak to sformułował, ale wyjął mi to z ust.

Gawiński westchnął. Odchrząknął, dając znać, że przechodzi do sedna.

– Przyjedziesz czy przesłać ci wszystko mailem?

– Wolałbym na razie przez telefon. – Deryło przechylił tekturowy kubek, ale w środku nie było już ani kropli kawy. – Chyba nie mam czasu ani nastroju tłuc się po prosektoriach...

– Nawet dla starego kumpla?

– Nadrobię kolejnym razem. Obiecuję.

Patomorfolog cicho gwizdnął.

– Źle komuś życzysz. Każda nasza okazja... – urwał w pół zdania i po raz kolejny odchrząknął. – Dobra. Do rzeczy. Będę leciał nie według protokołu, a zgodnie z twoją standardową listą pytań.

– Bogu niech będą dzięki. – Deryło machnął do Halera i wyszedł na

korytarz. Skierował się w stronę automatu z napojami. – Słucham śmiertelnie pilnie.

– Zgon nastąpił między dwudziestą pierwszą trzydzieści a dwudziestą drugą trzydzieści. Bezpośrednią przyczynę, jak się pewnie domyślasz, stanowiło uszkodzenie mózgu. Już same odłamy kostne sklepienia czaszki doprowadziłyby do zgonu, ale ostrze dosłownie rozbabrało całą strukturę mózgu. Pęknięte opony, krew, płyn, natychmiastowy obrzęk... Trochę się z tym namęczyłem.

– Cierpiała?

– Co takiego?

Deryło wyjął z automatu kubek kawy i zaciągnął się jej intensywnym aromatem. Zatręsknił za zapachem espresso z własnego ekspresu. Za zapachem, który kiedyś wypełniał jego gabinet.

– Pytałem, czy ta kobieta cierpiała.

– Nie miała na to czasu. Zgon nastąpił niemal natychmiastowo.

– Znalazłeś jakieś ślady wcześniejszych tortur, gwałtu czy innych czynności?

– Nic. Poza klasycznymi otarciami o sznury, które krępowały jej ciało, nic jej się nie stało. Poza tym treść żołądka była tylko częściowo strawiona. Obrzydliwa fastfoodowa papka zalega w żołądku ponad normę, ale musiała jeść dosłownie trzy, co najwyżej cztery godziny wcześniej.

– Czyli mniej więcej wtedy ją porwano. – Komisarz skinął głową do dwójki policjantów przemykających korytarzem. – Około dziewiętnastej.

Na skutek stresu ofiary uprowadzeń, a także wszelkich przestępstw związanych z pozbawieniem wolności często zwracają pokarm. O przyjmowaniu jedzenia od porywaczy w pierwszych stadiach nie ma mowy. Strach pozbawiał apetytu. Dopiero w przypadku dłuższych interakcji porwani oswajali się z sytuacją i go odzyskiwali. Albo przynajmniej świadomość, że bez jedzenia oraz picia zrobią na złość nie tylko oprawcom, lecz przede

wszystkim samym sobie.

– Nie interesuje mnie twoja interpretacja. – Gawiński zwyczajowo nie chciał nic wiedzieć o śledztwie. – Co więcej, dodaj do swojej układanki, że w jej przewodzie pokarmowym znalazłem ślady środka zwiotczającego. I to w znacznej dawce.

– Musiał ją spacyfikować...

– Powtarzam ci, że nie interesuje mnie, co ktoś musiał. Wykładał ci fakty.

– Kiedy i jak podano ten środek?

– Około trzech, czterech godzin przed zgonem, więc twoja teoria się zgadza. Przypuszczam, że dożył. Nie chwając się, na szyi denatki znalazłem ślad potencjalnego nakłucia.

– Chciał uniknąć walki. – Deryło zlekceważył wcześniejsze utyskiwania doktora. – Sprawca podał jej środek zwiotczający, żeby nie stawiała oporu. Przy porwaniu lub krępowaniu.

– Eryk...

– Potraktuj to jako pytanie do fachowca. Czy taka wersja jest możliwa?

Gawiński sapnął.

– Tak – odezwał się niechętnie. – Podobnie przeprowadza się egzekucje w USA. Najpierw środek przeciwbólowy, potem zwiotczający, a na końcu chlorek potasu.

– Tyle że ona nie dostała ani niczego przeciwbólowego, ani nie umarła od żadnego chlorku. Cholerna kosa w głowie robi pewną różnicę.

– No i, zdaje się, nie była skazana. A to drobny szczegół.

Po tych słowach patomorfolog się rozłączył.

Deryło w kilku zdaniach streścił Haler przekazane przez patomorfologa wieści. Właściwie sekcja nie przyniosła odpowiedzi na żadne istotne pytanie. Wykrycie środka zwiotczającego w organizmie kobiety nie było zaskoczeniem. Niestrawione jedzenie stanowiło wskazówkę, żeby jej danych szukać wśród osób, których zaginięcia zgłoszono jako ostatnie. Takie też polecenie zostało natychmiast skierowane do komórki zajmującej się identyfikacją.

Mimo wszystko Deryło obawiał się, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by liczyć na to, że ktokolwiek oficjalnie zgłosił się na policję. Zamordowana nie miała piętnastu lat, była dużą dziewczynką. A dużym dziewczynkom rodziny i znajomi dają zazwyczaj więcej czasu na odnalezienie się bez pomocy służb. Często wystarczały portale internetowe. Ogłoszenie, parę zdjęć, dramatyczny apel do społeczeństwa i zaraz pojawiały się komentarze, lajki, buźki i udostępnienia. Wiadomość o poszukiwaniach docierała do zaginionych wcześniej niż zdołali się zdobyć na refleksję, że ktoś może się martwić.

Jednak w tym przypadku było inaczej.

Haler przyjęła wiadomości ze stoickim spokojem. Zagryzła je kilkoma garściami draż i zastygła w bezruchu.

– Czy doktor wspominał, co jadła? – zapytała po chwili.

Deryło spojrzał na nią z ukosa. Upił solidny łyk kawy i odstawił kubek.

– Masz na myśli ostatni posiłek naszej ofiary? – Wzruszył ramionami. – Mówił o fastfoodowej papce. I jeżeli liczysz na to, że każę swoim ludziom chodzić po wszystkich kebabach w okolicy,

grubo się mylisz.

– Gdyby znalazł w jej żołądku na przykład grzybki mun, wybór byłby ograniczony.

– Do jakichś kilkudziesięciu sklepów, barów i knajp...

– Ale zawsze. – Haler założyła nogę na nogę i obróciła się dokoła na fotelu. Zatrzymała go, po czym splótła dłonie na koszuli munduru. – Poza tym staram się odtworzyć jej sposób bycia. Zabójca nie zawracał sobie głowy uprzątnięciem jej kieszeni. Znaleziono w nich zapalki oraz listek aciprexu.

– Aciprexu? To antydepresant?

– Tak. Oraz szeroko rozumiany lek przeciwłękowy.

– Szkoda, że nie zdążyła go łyknąć, nim dopadł ją ten zwyrodnialec.

Podkomisarz przytknęła palec do podbródka. Przymknęła oczy i ciągnęła formalnym tonem:

– Jestem wyjątkowo wrażliwa na zapachy. Wczoraj kilkakrotnie pochylałam się nad zwłokami i czułam od nich wszystko, ale na pewno nie zapach papierosów. A słowo daję, że palacza wyczuję na kilometr.

– Zmierzasz do tego, że zapalki były jej potrzebne do czegoś innego niż do odpalania papierosów. – Deryło podchwycił tok rozumowania podwładnej. – Tabletki antydepresyjne, pospiesznie pochłonięty fast food, niemalże brak makijażu...

– Proste ubranie, brak wyczuwalnych perfum, obrączka na palcu i nieciekawa bielizna. – Haler uniosła dłonie. – Nie patrz tak. Dzwoniłam rano do zakładu medycyny, żeby o to zapytać.

Deryło zerknął na tarczę tissota. Nie było jeszcze wpół do ósmej, a podkomisarz odbębniła kawał roboty.

– Okej, i jaki z tego morał? Obrączka wyklucza rozwód, Gawiński nic nie wspominał o śmiertelnej chorobie, możemy przypuszczać, że... – Pstryknął palcami. – Żałoba. To by wiele wyjaśniało.

Haler się uśmiechnęła.

– Właśnie. Mało kto odpala papierosy zapalkami. Ale znicze już

raczej tak.

W tym momencie dobiegł ich metaliczny dzwonek telefonu. Deryło zmarszczył brwi i nagle jak oparzony wystrzelił w stronę swojego gabinetu. Przeciął korytarz, pchnął drzwi, po czym dopadł do słuchawki.

Po wymianie kilku zdań rozłączył się. Kątem oka dostrzegł, że Haler stoi w progu.

– Wiemy, kto to – szepnął. – Zidentyfikowano ofiarę.

Statystyka się potwierdziła. Albo, innymi słowy, zabobon się sprawdził. Witt położył się spać dopiero przed pierwszą, ale rzadko miał tak udane dyżury. Żadnego budzenia, żadnego zamieszania, żadnych zgonów i pozaterminowych przyjęć. Dopiero tuż przed siódmą obudziło go pobrząkiwanie wózków z jedzeniem. Gromadzono je na korytarzu, by na rozkaz oddziałowej garkuchnia znalazła się w siedmiu salach i przy łózkach dwudziestu czterech pacjentów.

Witt się odświeżył, odbębnił poranny obchód i punktualnie o siódmej trzydzieści pomachał do tyczkowatej pielęgniarki.

– Do jutra!

– Żałuję, że nie udało mi się skusić cię na tę partyjkę warcabów.

– Przynajmniej nie straciliśmy całej nocy na moich próbach odegrania się.

Jeszcze raz jej pomachał i pchnął drzwi oddziału. Prawda była taka, że nie znosił warcabów. Ten, kto zaczynał, zawsze miał większe szanse na wygraną. Zdaje się, że o ile nie popełniał błędów, wręcz musiał wygrać. Tak samo jak w kółko i krzyżyk, w którym drugi gracz mógł jedynie walczyć o remis. Znacznie większą frajdę sprawiały mu szachy lub poker. Ale prawdziwym hitem miało być playstation, w które w geście szczodrości od paru miesięcy planował wyposażyć dyżurkę. To dopiero umiliłoby mu nocne zmiany.

W dobrym humorze wsiadł do auta i wyjechał z zamkniętego parkingu dla personelu. Odkąd władze szpitala wprowadziły opłaty nawet dla pracowników, przynajmniej zawsze było na nim miejsce.

Zapełniły się natomiast uliczki okolicznych osiedli. Większość ludzi wolała dziesięć razy zaoszczędzić na opłacie parkingowej, a raz na jakiś czas wściekać się na kolejną rysę na lakierze.

Witt poczuł, że kiszki grają mu marsza. Był głodny, ale nigdy nie zdecydował się na pochłonięcie śniadania w szpitalnej stołówce. Hot dog lub inne świństwo na którejś ze stacji benzynowych też nie wchodziły w grę. Liczyły się dwie kanapki, z miodem i dżemem, które czekały na niego w domu. Do tego zielony big active z pigwą, a na trawienie – filiżanka kawy. Kolejny powtarzany od lat rytuał powinien zagwarantować udany dzień.

Statystyka lub zabobon.

Nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Dokładnie w momencie, gdy wyłączył silnik i otworzył drzwi auta, usłyszał krzyk. Wibrował w porannym powietrzu, niosąc się po całym ogrodzie. Rozpływał się w promieniach czerwcowego, podnoszącego się słońca.

Witt chwycił teczkę i pospiesznie przemaszerował przez podjazd. Dwa razy uderzył kluczem w zamek, nim trafił w dziurkę. Mimo to okazało się, że drzwi są otwarte. Zdziwiony wszedł do domu i zatrzymał się w holu.

Nasłuchiwał.

Krzyk bez wątpienia dobiegał z jednego z pokoi na dole. Był rozpaczliwy i spazmatyczny. Mieszał się z gardłowym, charkoczącym zawodzeniem, urywał, a potem znów wzręgał.

Witt, głośno tupiąc, skierował się w głąb domu. Minął kuchnię i zatrzymał się dopiero w progu prowizorycznie urządzonej sypialni. Odkąd na świat przyszła Tosia, uznali, że przeniosą się z góry do jednego z pokoi na parterze. Skracało to w razie potrzeby drogę do kuchni oraz największej z łazienek. A przy małym dziecku, o dziwo, największa łazienka okazywała się czasem zbyt mała.

– Już, spokojnie, ciii....

Edyta przytulała małą i chodziła z nią po pokoju. Prawie

podskoczyła, gdy usłyszała za sobą męża.

– Jezu! Przestraszyłeś mnie.

– Defilowałem przez dom jak kolumna wojskowa. – Witt pocałował ją w czoło. Następnie nachylił się nad płaczącą córką i zrobił krzywą minę. – Ej, księżniczko, patrz jaki brzydal. Czemu się mażesz? Przeraża cię moja twarz?

– Nic nie słyszałam przez to wycie... Nie wiem, co jej się stało, ale to chyba już poranny rytuał. Nasza córka najwyraźniej ma dzień w dzień depresję przed ósmą. Lada moment powinno jej przejść...

Witt dotknął czoła Tosi. Nie było rozpalone, a oczy nie szklily się. To jedna strona medalu. Najważniejsze, że Edyta nie popadała w panikę, jak wiele matek, których dzieci po prostu płaczem zwracają na siebie uwagę.

Pogładził złote włosy córki i zacmokał. Dziewczynka na chwilę się uspokoiła.

– Dlaczego nie zamknęłaś drzwi?

– Były otwarte? – Edyta bezsilnie westchnęła. – Wystawiałam rano śmieci i musiałam zapomnieć. Jak widzisz, mam tu sajgon.

Witt dostrzegł ruch w korytarzu. Odruchowo odwrócił się i zobaczył, że do sypialni zagląda Jasiek, ich syn. Miał na sobie jedynie krótkie bokserki. Z dumą eksponował bladą, zapadniętą klatkę piersiową.

– Nie możecie jej uciszyć? – skrzywił się, mrużąc zaspane oczy. – Nie mogę się wyspać, nawet jak mam na później do szkoły!

– Okaż trochę zrozumienia godnego starszego brata.

Apel ojca wywołał na twarzy nastolatka jedynie grymas zdumienia. Po chwili zastąpiło go politowanie, ale na pewno nie wobec siostry.

– Jestem na to zbyt śpiący.

– Najwyższy czas się rozbudzić.

Tosia jak na zawołanie ponownie wybuchła spazmatycznym szlochem. Janek pokręcił głową i zniknął w korytarzu. Witt zerknął wymownie na żonę, a kiedy wydawało mu się, że odnalazł jej

aprobatę, poszedł za synem. Dogonił go przy wejściu do kuchni.

– Skoro masz na później do szkoły może pójdziemy razem pobiegać? – zagaił beztroskim tonem. – Mógłbym cię później podrzucić autem. Mam parę spraw do załatwienia w centrum.

– Dzięki.

– Dzięki tak czy dzięki nie?

– Nie.

Ostatnimi czasy komunikacja z synem przypominała próby nawiązania porozumienia z obcymi. Wychowywanie nastolatka było gorsze od opieki nad noworodkiem. A jeszcze niedawno w życiu by w to nie uwierzył. Każda próba zajrzenia w świat syna, podpytania go o cokolwiek więcej niż plany obiadowe, spełzała na niczym.

– Na pewno nie masz ochoty?

– Powiedziałem już, że nie. Mam dużo roboty.

– Niby co takiego?

– Poza tym już się umówiłem.

No, tak. Tego Witt mógł się spodziewać.

– Zgłoszenie złożono na trójce.

Trzeci komisariat w Lublinie mieścił się przy Kunickiego. Nowa siedziba przed paru laty zastąpiła wynajmowane klity w jednej z kamienic, mimo to nie było to upragnione miejsce pracy, choćby ze względu na okolicę. A raczej: przede wszystkim przez nią.

– Połączyli fakty, sprawdzili rekonstrukcję twarzy, którą w nocy zajął się grafik, i ponoć nie mają wątpliwości. Ostatni raz zaginioną widziano wczoraj po południu, gdy wychodziła z roboty.

– Nie dotarła do domu? – Haler przechyliła głowę. – Wykluczałam rodzinę, ale z drugiej strony...

– Zaginięcie zgłosiła jej koleżanka z pracy.

– To by się zgadzało.

– Aż tak cię cieszy, że miałaś rację?

Podkomisarz rezolutnie przytaknęła.

– Każda pomyłka albo błędna dedukcja odbiera pewność następnego osądu. Ostatnio parę razy porządnie się pomyliłam.

– A najporządniej w Krakowie? – Deryło zerknął spode łba na podwładną. Zaraz jednak opanował chęć odgryzienia się i machnął ręką. – Nieważne. Przepraszam.

Haler nigdy nie wspominała o zawodzie miłosnym i życiu prywatnym, ale w tym środowisku poczta pantoflowa miała bogatą tradycję. Poza tym jako atrakcyjna singielka wzbudzała zainteresowanie wielu mężczyzn. Sprawdzenie jej przeszłości szybko stało się elementem wydziałowej gry lub wręcz rywalizacji. Odpryski plotek i domysły mimochodem trafiły do uszu komisarza.

– Chciałeś coś zasugerować? – Haler spochmurniała. – Wal

śmiało.

– Nie dąsaj się. Po prostu nie lubię, gdy to nie ja mam rację.

– Typowy facet.

Deryło ruszył w stronę korytarza i spojrzał na nią z góry.

– Chciałaś coś zasugerować? – Nieudolnie naśladował jej ton. –

Wal śmiało.

– Typowy facet.

Uśmiechnęli się do siebie i wyszli z gabinetu.

– Gdzie jedziemy? – Haler starała się nadażyć za niemal biegnącym szefem.

– Kobieta, która zgłosiła zaginięcie, pracuje w banku przy Krakowskim Przedmieściu. Nie chcę jej ciągać po komisariatach. Najpierw porozmawiamy z nią na jej terenie, a potem zajmiemy się papierkami. – Deryło, zbiegając po schodach, złapał zadyszkę. Mimo że starał się utrzymywać formę, od dawna czuł się paskudnie. – Podobno zaginiona nie ma rodziny, więc dobrze byłoby wziąć na spytki jej koleżanki. Może do czegoś się przydadzą.

– Mam się zająć tym sama?

– Wyjdzie w praniu. Swoją drogą, wiadomo, czy informatycy próbowali namierzyć nadawcę maili?

Na dolnym korytarzu Deryło wyraźnie zwolnił. Rozkaszał się i poczuł okropną suchość w gardle. Haler z niepokojem popatrzyła na jego bladą twarz, ale zaraz odwróciła wzrok.

– W raporcie wzmiankowano tylko, że się starają – odparła. – Moim zdaniem to bezcelowe podrygiwania nad trupem. Robią to pewnie po to, żeby nie dostać innej roboty.

– Jesteś pesymistką.

– Raczej rozsądną realistką. Jeżeli ktoś konstruuje zabójczą maszynę z kos, zabawia się w pieprzonego mistrza gry, to raczej nie daje się złapać po numerze IP. W dzisiejszych czasach ukrycie się w sieci jest jeszcze łatwiejsze niż kiedyś.

– Nie pocieszasz mnie. – Deryło przytrzymał drzwi, przepuszczając Haler w progu. W głowie od dłuższego czasu

pulsowało mu pewne pytanie, ale wahał się, czy je zadać. Sam powinien znać odpowiedź. Przerwany napad kaszlu przechylił szalę. – Pamiętasz, co studiował ten gówniarz z wczoraj?

– Pawlak?

Komisarz, powstrzymując kolejny skurcz krtani, skinął jedynie głową.

– Chemię. Ale podejrzewam, że coś jeszcze, bo w folderze dotyczącym studiów miał prawie sto plików. Po co komu na chemii podręczniki? – Haler zatrzymała się pośrodku parkingu. – Obstawiam, że dla nich najważniejsze są ćwiczenia. A dlaczego pytasz?

– Sam nie wiem... Chodźmy do auta.

Deryło wyciągnął z kieszeni kluczyki. Zamiast tracić czas na papierologię i branie nieoznakowanego wozu, skierował się do swojego auta.

– Nie żartuj – Haler parsknęła. – To ty jeździsz tym złodem?

– Coś nie tak? Zależało mi na dobrej widoczności.

– Boże...

Stali obok szarego citroena H. Masywna furgonetka ze spłaszczonym przodem, potężnym grillem z logo marki oraz okrągłymi reflektorami była zachowana w zaskakująco dobrym stanie. Jedynie koła pokrywał śladowy rdzawy nalot, ale chromowane lusterka i wycieraczki wręcz lśniły.

– Ile to ma lat? Sto?

Napad duszności uwięził Deryle słowa w gardle. Oparł się o bok kabiny i pochylił. Podobne ataki zdarzały się ostatnio co jakiś czas. Tłumaczył to stresem, zmęczeniem albo tęsknotą. A najpewniej tym wszystkim jednocześnie.

– W porządku?

Uniósł uspokajająco dłoń i odkaszlnął. Powoli się wyprostował.

– Tak – szepnął. – Ale ty prowadzisz.

Rzucił podkomisarz kluczyki.

Prowadzenie citroena przypominało jazdę wozem drabiniastym. Haler miała wątpliwości, czy jej prawo jazdy upoważnia do kierowania podobnymi zabytkami, a polisa ubezpieczeniowa przewiduje wypadek w muzeum na kółkach. Zanim wczuła się w pojazd i zrozumiała jego obsługę, kilka razy zgasł jej silnik. Przy każdym obrocie kierownicą miała wrażenie, że ta odpadnie, a koła się rozjadą.

Mimo wszystko po krótkim czasie przyzwyczała się i zaczęła odczuwać satysfakcję. Doskonała widoczność oraz wygodne fotele naprawdę pozwalały czerpać przyjemność z jazdy. Deryło również wyglądał lepiej, więc mogła się w pełni skupić na prowadzeniu.

Znalezienie miejsca parkingowego okazało się, oczywiście, problematyczne. Po kilkunastu minutach straconych na kluczenie wąskimi uliczkami komisarz kazał Haler zatrzymać się przed bramą, która najprawdopodobniej prowadziła na wewnętrzny parking banku.

– Jeżeli ktoś zechce odjechać, znajdzie nas – stwierdził filozoficznie. – Będzie o nas głośno na Ukrainie.

– Nigdy nie lubiłam Sienkiewicza.

To, że Haler zrozumiała nawiązanie, zaskoczyło Deryłę.

– Zbyt romantyczny?

– Zbyt małostkowy. Norwid był romantyczny i niemalostkowy.

Komisarz zbył ten komentarz machnięciem dłoni. Siłąc się na zwawy krok, ruszył w stronę wejścia do kamienicy. Wbiegł po kilku schodkach i zatrzymał się tuż przed drzwiami.

– Zrobimy tak. Ja wyciągnę babeczkę, która zgłosiła zaginięcie,

na kawę. Porozmawiam z nią gdzieś na uboczu, a ty zajmiesz się jej kumpelkami.

– Na kawie?

– Może być na kawie, na wódce, na czym tylko sobie zamarysz. Byle gadały. I pamiętaj, ani słowa o tym, że ich koleżanka jest trupem, bo nie dowiesz się później już niczego. Tylko pot i łyzy.

– *Gladiator* natomiast mi się podobał. Pot i łyzy...

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i komisarz pchnął drzwi, przepuszczając Halera przodem. Niecałe dziesięć minut później siedział w bankowej sali socjalnej naprzeciwko zgrabnej, wymalowanej brunetki. Nazywała się Daria Zaharowa i poza wschodnimi korzeniami miała też wyraźny wschodni akcent.

Deryło z podziwem patrzył na jej kilkucentymetrowe, fioletowe szpony, którymi co rusz odgarniała z czoła niesforny kosmyk włosów. Gdyby znalazł się na jej miejscu, już dawno wydłubałby sobie oko. Albo zrobił dziurę w głowie.

Dzięki wczesnej porze byli w pomieszczeniu tylko we dwoje. Kobieta zrobiła dwie mocne kawy i po opróżnieniu połowy kubka wyglądała na gotową do rozmowy o konkretach.

Deryło pochylił się nad pełnym okruchów stolikiem.

– Nie do końca rozumiem... – Zrobił pauzę, by zaczerpnąć tchu, i odciągnął koszulę od grdyki. – Dlaczego właściwie pani uznała, że po kilku nieodebranych telefonach powinna zgłosić zaginięcie?

Kobieta objęła dłońmi kubek i wbiła wzrok w ścianę za plecami komisarza.

– Kamila miała do mnie zadzwonić wczoraj wieczorem – oznajmiła ponuro. – Prosiłam ją o przepis na ciasto, które robiła dawno, dawno temu. Obiecała mi go podyktować.

– To, że ani nie zadzwoniła, ani nie odebrała telefonu, było wystarczającym powodem? Ludzie przecież zapominają...

Zaharowa przeniosła wzrok na komisarza i potarła wierzchem dłoni czoło.

– Chce mnie pan oskarżyć o niesłuszne zawracanie głowy policji?

Zgadza się? – Zmarszczyła wąskie, starannie wyskubane brwi. – Proszę tylko powiedzieć, że Kamila się odnalazła...

– Nie zamierzam, a przede wszystkim – nie mogę o nic pani oskarżać. Pytam o powód.

Kobieta odetchnęła.

– Proszę sobie wyobrazić najbardziej pedantyczną, najbardziej systematyczną osobę świata. – Patrzyła komisarzowi prosto w oczy.

– Taką, dla której spóźnienie się do pracy o minutę to tragedia narodowa i która reguluje zegarek z sygnałem Polskiego Radia.

– Chyba jestem w stanie ją sobie wyobrazić.

– Proszę do tego dorzucić głęboką depresję i nawroty wisielczego nastroju. Kamila przed śmiercią męża była aktywną, zabawną dziewczyną. Później stała się kursującym między bankiem, cmentarzem i domem żywym trupem. – Kobieta pokręciła głową i parsknęła ironicznie. – Nie mogę jej wyciągnąć ani na zakupy, ani na drinka. Ale nigdy nie odrzuciła ode mnie telefonu. Tym bardziej, jeżeli się umawialiśmy.

Deryło odruchowo wsunął dłoń do kieszeni. Wyczuł chłód sesterca i obrócił go między palcami.

– Czy ostatnio z kimś się spotykała?

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Powiedziałyby mi o tym. Sama namawiałam ją, żeby wróciła do żywych i znalazła sobie faceta. Wiadomo, żaloba żalobą, ale...

Kobieta przerwała i splotła dłonie pod brodą. Deryło nie pozwolił jej na zadanie pytania, które ewidentnie zbierało się jej w ustach.

– A może wspominała o czymś nietypowym? Skarżyła się na kogoś albo nadepnęła komuś na odcisk? Na przykład klientowi banku.

– Kamila pracuje w departamencie egzekucji, ale nie ma żadnej styczności z klientami.

– Żadnej?

– Absolutnie. To praca przed komputerem, nawet bez telefonu.

– I nie wspominała o niczym nietypowym?

Zaharowa wydeła usta. Jej oczy powędrowały na prawo i w dół, zdradzając, że kobieta głęboko się nad czymś zastanawia. Deryło na mowę ciała zwracał niewiele mniejszą uwagę niż Haler. Natychmiast przystąpił do ataku.

– Muszę wiedzieć o wszystkim – powiedział z naciskiem. – Każda potencjalna bzdura może mieć znaczenie.

– To głupie...

– Proszę mi zostawić osąd.

Kobieta wyprostowała się, ale utrzymała spojrzenie wbite w ziemię.

– Jakiś miesiąc temu Kamila wspomniała o dziwnym mailu. Bardzo dziwnym...

Pół godziny później Deryło i Haler siedzieli w kabinie zabytkowego citroena. Tym razem komisarz ulokował się za kierownicą. O dziwo, dotychczas nikt nie zrobił awantury, że zablokowali bramę, więc nie uruchomił go od razu. Wysłuchał relacji podwładnej i podzielił się z nią własnymi przemyśleniami.

– Mail? – Haler zmrużyła oczy. – Co w nim było?

– Chyba nikomu go nie pokazała. Ale wspomniała w pracy o idiotycznym spamie dotyczącym „jakiejś debilnej gry w szczęście”. Przynajmniej tak to ujęła Zaharowa.

– Gra w szczęście...

Deryło położył dłonie na kierownicy i się wyprostował.

– Ktoś napisał, że od tej gry nie ma wymówek i że stawką jest życie lub śmierć. Choć to pewnie parafraza.

– Powinniśmy sprawdzić jej skrzynkę pocztową.

– Nie sądzę, żeby trzymała taką wiadomość. Podzieliła się nią z koleżanką z pracy, pewnie, mimo początkowego lęku, uznała za durny dowcip i usunęła. Choć z opowieści nie wygląda na osobę, która cokolwiek uznaje za dowcip.

– No właśnie. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, utrzymują, że była dosłownie opętana przeżywaniem żałoby.

– Nic dziwnego... – Deryło bąknął bardziej do siebie niż Haler. Po chwili drgnął i sięgnął do kluczyka. Odpalił silnik. – Co sądzisz o całym tym szambie?

Podkomisarz oparła głowę o szybę. W citroenie było okropnie duszno, ale nie widziała korbki, którą mogłaby ją opuścić. Deryło nadchodzący upał zdawał się już nie przeszkadzać. Napady

duszości minęły, a jego twarz w pełni nabrała kolorów. Skupienie i ferwor pracy wyraźnie mu pomagały.

– Zamordowana nie stanowiła typowej kandydatki na ofiarę. Nie została zgwałcona, nie była przesadnie atrakcyjna, określiłabym ją nawet jako nudną...

– Zdaje się, że przed śmiercią męża była nieco żywsza.

– Nieco. Nudna razy nieco dalej daje nudną.

– Tylko atrakcyjne i intrygujące kobiety nadają się na ofiary zabójstw?

– Istnieje typ mężczyzn podniecający się kobietami w typie nerda, ale... – Haler urwała, widząc minę Deryły – Nerd to kobieta o urodzie filmowego kujona, okularki, brak makijażu, bluzeczka pod szyję, kojarzysz ten typ – wyjaśniła pośpiesznie. – Ale tu chodzi o coś innego. Gra w szczęście, jakby na nią nie patrzeć, nie dotyczy fantazji seksualnych.

– Jednak z jakiegoś powodu zabójca wybrał właśnie ją. Wysłał jej mail i wszystko przygotował. To konkretnie ona miała stać się uczestnikiem jego gry.

– Ale nie tylko ona dostała mail.

Deryło przyspieszył, aby zdążyć na złotym świetle. Silnik citroena zawył, a mimo redukcji biegu, wzrost prędkości był ledwie odczuwalny.

– Też prawda – westchnął. – Sądzisz, że powinniśmy się martwić o Lec?

– Z jakiegoś powodu ona również dostała mail...

– Bo jest w redakcji? Ten świr może przede wszystkim chcieć rozgłosu. Co, wbrew pozorom, okazałoby się całkiem dobre, bo gwarantowałoby dziennikarce nietykalność.

– I tak lepiej, gdyby ktoś miał na nią oko.

– Przede wszystkim powinna... – Deryło urwał i odwrócił się w stronę Haler. Zabębnił palcami o kierownicę. – Czy ktokolwiek sprawdził tego dziennikarza? Tego, który miał przed śmiercią gadać o grze w szczęście...

Podkomisarz wydeła usta w dumnym uśmiechu.

– Jeszcze w nocy kazałam się nim zająć. Ale w raporcie nie znalazłam o nim nawet słowa, więc pewnie nad tym pracują.

– Świetnie. W takim razie zostaje nam tylko czekać na wieści.

– I formalną identyfikację ciała.

Deryło ponownie łypnął na podwładną.

– Spodziewasz się, że ta zaginiona może wcale nie być naszym trupem?

– Po prostu lubię mieć wszystko potwierdzone. Na zakończenie rozmowy z jej współpracowniczkami zaznaczyłam, że skoro nie miała żadnej rodziny, mogą się szykować do organizowania pogrzebu. Ale najpierw identyfikacja.

– Jesteś bezwzględna.

– Raczej pragmatyczna. Poza tym jestem też podobno pesymistką.

– Nie mam co do...

Deryło zamilkł, czując wibrację komórki. Po chwili kabinę wypełniły rzewne tony Haendla. Wyciągnął telefon i natychmiast odebrał. Przez kilka sekund słuchał, wreszcie zerknął na Haler i docisnął gaz do dechy.

– Co takiego?! – wrzasnął.

Tym razem citroen skoczył, wyrywając do przodu.

Bieganie od lat stanowiło jeden z rytuałów Witta po udanym dyżurze. Jeżeli miał ciężką noc, po powrocie do domu kładł się spać na godzinę lub dwie. Jeżeli choćby znośną, zakładał jaskrawoczerwone sportowe buty i po krótkiej rozgrzewce ruszał do lasu na przebieżkę. Mieszkanie na obrzeżach Lublina miało tę zaletę, że od bezludnej ścieżki dzieliło go kilkaset metrów.

Przed wyjściem Witt jeszcze raz zajrzał do sypialni. Tosia przestała płakać, a Edyta zajęła się przygotowaniami do obiadu. Z kuchni dobiegała przedpołudniowa audycja muzyczna, która w holu mieszała się z łupaniną spływającą z pokoju Janka. Rap? Nie. To, co było u niego ostatnio na topie, nazywało się jakoś inaczej. Trap?

Być może.

– Wracam za jakieś czterdzieści pięć minut.

Witt ucałował żonę w kark i ruszył do wyjścia. Jeszcze raz zerknął na śpiącą w łóżeczku córkę. Miał ochotę również jej dać całusa, ale obudzenie potwora było ostatnią rzeczą, którą powinien zaserwować Edycie.

Zamknął drzwi i schował klucz do niewielkiej saszetki przypiętej do spodenek. Mieścił się w niej również telefon komórkowy, do którego miał podpięte słuchawki. Przygotowując się do biegu, zawsze uruchamiał playlistę.

– Muzykalny dom – mruknął, truchtając po podjeździe. – Tylko czemu nikt na tym nie zarabia...

Pchnął furtkę i wybiegł na szutrową drogę. Kolejni kandydaci na prezydentów lub radnych zaklinali się, że uliczka zostanie

porządnie wykończona. Oczywiście, po wyborach obietnice brały w łeb, a mieszkańcy rozrastającej się dzielnicy po czterech latach znów dawali się nabrać.

Witt minął ostatnie domy i skręcił w stronę pól. Na prawdziwych rubieżach miasta rosły łąny pszenicy. Ponoć zakusy na tę okolice mieli wielcy deweloperzy, lecz ich ekspansję utrudniał bałagan w planie zagospodarowania przestrzennego. Lub w czymś takim.

Witt za każdym razem cieszył się, że w zasięgu wzroku nie ma ani jednego wieżowca, obskurnego bloku ani supermarketu. Nie przeszkadzało mu, że na większe zakupy musi jeździć do oddalonego o ponad trzy kilometry centrum handlowego. W pobliskim sklepiku mógł dostać jedynie produkty pierwszej potrzeby. Papierosy, piwo i całkiem niezły chleb.

Kolejną zaletą była odległość od hałaśliwych ulic. Najbliższa z wylotówek biegła prawie kilometr dalej, a obwodnica i tak przejęła większość ruchu. Coś pięknego. Dzięki temu położeniu ceny nieruchomości co roku wzrastały o solidny procent, więc inwestycja sprzed paru lat wydawała się strzałem w dziesiątkę. Najpierw razem z Edytą mieli sporo wątpliwości co do tego, czy gigantyczny kredyt na dekadę to dobry pomysł. Co prawda, Janek był jeszcze berbeciem, a na świecie nie pojawiła się Tosia. W ogóle nie mieli jej w planach. Gdyby tak było, z pewnością nie zdecydowaliby się na tak wielkie ryzyko. Noworodki i cięża pobudzają odpowiedzialność.

Na prostym odcinku prowadzącym przez polny wąwóz Witt przyspieszył. Zsunął słuchawki i wsłuchał się w odgłosy natury. Ćwierkanie ptaków, szum drzew, rytmiczne uderzanie podeszew o wysuszoną, twardą ziemię.

Pot spływał mu po czole i do oczu, ale nie przeszkadzało mu to. Wszedł już w rytm biegu, a bodźce, na które z rozmysłem nie zwracał uwagi, mogłyby nie istnieć. Któregoś razu przebiegł prawie trzy kilometry ze stłuczoną kostką. Była opuchnięta do rozmiarów solidnego jabłka, ale za nic w świecie nie potrafił sobie

przypomnieć, co się stało. Ból również pojawił się dopiero wtedy, gdy dotarł do domu.

Dawne czasy...

Przy wylocie wąwozu Witt dostrzegł zaparkowany samochód. Od czasu do czasu ludzie zapuszczali się tutaj, chcąc skrócić sobie drogę do obwodnicy, a potem przekonywali się, że droga jest zbyt wąska. Pół biedy, gdy było sucho. Jeżeli spadł deszcz, cofanie oznaczało kilkaset metrów lawirowania po śliskiej, glinianej nawierzchni. Prawdziwe wyzwanie tylko dla najlepszych kierowców. Nic dziwnego, że w skarpach wyryte były ślady po lusterkach i zderzakach.

Witt zwolnił. Tak jak się spodziewał, kierowca wrzucił bieg wsteczny. Podjął ostatnią próbę przeciśnięcia się między skarpią i porastającymi przeciwną krawędź krzakami. Delikatnie cofnął, zmienił ustawienie auta, po czym ruszył do przodu. Opony zaboksowały na pokrywających dno wąwozu korzeniach.

– Zły wybór...

Witt biegł tuż obok skarpy, by obiec samochód. Gdy znalazł się tuż obok niego, usłyszał odgłos opuszczającej się szyby.

– Trzeba pokierować? – zapytał, przewyciężając lekką zadyszkę.
– Do przodu nie da rady. Maluchem albo motocyklem tak, ale...

Gdy zatrzymał się przy aucie, oblał go zimny dreszcz. Nim zdążył przetrwać, co potwornego właśnie widzi, gwałtownie otworzone drzwi powaliły go na ziemię. Wypuszczony prosto w twarz gaz zakotłował jego zmysły.

A potem Witt poczuł delikatne ukłucie.

– Spóźniłeś się. – Jak zza mgły dobiegł go potworny szept. – Tyle że ja mam cierpliwość... A ty okropnego pecha.

– Lec dostała kolejną wiadomość.

Deryło wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Wbił wzrok w drogę i zacisnął szczęki. W jednej chwili jego rysy nabrały ostrości, a mięśnie napięły się. Był w swoim żywiole.

Haler utkwiała w komisarzu zaciekawione spojrzenie.

– Jedziemy do redakcji?

– Nie. Nowak wysłała już do niej informatyka. Kazała przesłać mail na mój adres.

– Wiemy, czego dotyczy?

– Ponownie: nie. Nikt go jeszcze nie ruszał. Teraz chłopaki sprawdzają, czy nie ma jakichś ukrytych wirusów albo innego syfu.

Komisarz gwałtownie nacisnął pedał. Citroen wyhamował z piskiem opon tuż za taksówką, która zatrzymała się na czerwonym świetle.

– Przepraszam – fuknął. – Myślałem, że skurczybyk jeszcze przejedzie.

Haler nie zwróciła na to żadnej uwagi.

– Gra w szczęście – szepnęła. – Pierwsze wiadomości dotyczyły tej chorej rozgrywki. Obawiam się, że właśnie rozpoczął się jej drugi etap...

– Kolejna ofiara?

– Mam nadzieję, że jeszcze nie. Temu zwyrodnialcowi chodzi o danie złudzenia wyboru. Ktoś może mieć pecha lub szczęście. Nie wiem tylko, kto tym razem będzie o tym decydował.

Deryło zacisnął dłonie na kierownicy. Ruszył za taksówką i zaraz nerwowo ją wyprzedził. Z tyłu rozległo się trąbienie, ale komisarz

nawet nie zerknął w lusterko.

Niecałe dziesięć minut później przemierzali korytarz komisariatu. Haler odnotowała, że po napadach duszności Deryło nie było już śladu. W ferworze działania odzyskał siły i odmłodził. Jego sylwetka wyprostowała się, twarz – zaokrągliła, a spojrzenie stało się żywsze. Nie przypominał już trupa wyciągniętego przez pomyłkę z grobu. Na korytarzu ludzie rozstępowali się przed nim nie z racji rangi, a nie chcąc zostać stratowanymi. Jak czołg wpadł do gabinetu i natychmiast włączył laptop. Gdy sprzęt się uruchamiał, nerwowo bębnił palcami w biurko. Nie odzywał się. Fukał, jakby na widok jego rozszoszczonej twarzy procesor miał zacząć pracować szybciej. Całą wewnętrzną wściekłość i rozpacz kierował w stronę zabójcy. Haler nie widziała go jeszcze w takim stanie, ale tak właśnie przedstawiano jej komisarza w opowieściach. Jako potulnego niedźwiedzia, który w starciu ze zbrodnią staje się nieobliczalny.

Kiedy laptop się uruchomił, Deryło natychmiast włączył skrzynkę pocztową. Następujące po sobie dzwonki informowały o kolejnych wiadomościach. Spłynął skan protokołu sekcji, raport, z którym rano zapoznawała się Haler, dokumentacja fotograficzna opuszczonego domu weselnego...

– Szybciej... – komisarz wycedził w stronę ekranu. – Cholerny stary złom!

– Może informatycy zablokowali mail ze względu na wirusy...

Haler obawiała się, że Deryło zaraz chwyci laptop i ciśnie nim o ziemię. Albo przywali w niego pięścią. Na szczęście po chwili skrzynka odbiorcza załadowała wszystkie maile.

– Jest...

Na samej górze znajdowała się wiadomość przekierowana z konta Natalii Lec. Deryło musiał dwa razy klikać, aż udało mu się ją uruchomić. Pospiesznie przebiegł wzrokiem kolejne zdania.

Haler nachyliła się przy nim i zmrużyła oczy. Wiadomość została napisana samymi wielkimi literami przez co ich szeregi mieniły się

jej w oczach. Z każdym przeczytanym słowem jej serce coraz szybciej tłoczyło krew. Dotknęła dłonią podbródka.

Komisarz przewinął wiadomość i ciężko sapnął. Nie przeczytał jej, lecz sprawdzał, czy zawiera jakiegokolwiek załączniki. Obawiał się, że sprawca dołączył jakieś makabryczne zdjęcie lub filmik. Na szczęście niczego takiego nie było.

– Zobacz, kto jest docelowym adresatem tej wiadomości – szepnęła Haler.

Deryło dopiero teraz zerknął na adnotację znajdującą się w nawiasie. Umieszczono ją przy tytule maila.

Przebiegł go nieprzyjemny dreszcz.

Ciąg dalszy gry nastąpił. (DW: Sz. P. Eryka Deryły).

Komisarz przeciągnął dłońmi po twarzy. Nabrał głęboko powietrza i zerknął na Haler.

– Co to jest, do kur...?

Uciał w pół słowa. Jeszcze raz odczytał kilkudzaniową wiadomość, ale nie odnalazł w niej żadnych ukrytych sensów.

Przystąpił pan do gry, komisarzu. Co prawda, jeszcze nie o własne szczęście, ale widzowie też biorą w niej udział. A daję słowo, że wkrótce będą w nią grały tysiące.

– To stek cholernych bzdur. O co chodzi temu świrowi?

Haler pokręciła głową. Sięgnęła Deryle nad ramieniem i przewinęła mail do góry. Analizowała każdy znak, każdą kropkę i każdy przecinek. Po chwili odezwała się rozemocjonowanym tonem.

– W pierwszej wiadomości pisał o dzielnicach, osiedlach i miastach. Teraz wspomina o tysiącach.

– Dalej brzmi tak samo bezsensownie.

– Przynajmniej jest konsekwentny. A to znaczy, że prawdopodobnie również przewidywalny.

Deryło westchnął. Obrócił się i wyczuł od Haler przyjemną woń perfum. Niemal ocierała się biustem o jego ramię.

– Jakoś mnie to nie pociesza – mruknął. – Nawet jeśli znam całe to psychologiczne gładzenie o łatwości złapania sprawców

przewidywalnych.

– To nie jest gładzenie. – Haler wyprostowała się i naciągnęła koszulę mundurową. – Oczywiście, wcześniej trzeba się zorientować, w czym ci sprawcy są przewidywalni. A to jest główny problem.

– Czyli gładzenie.

Podkomisarz podeszła do okna. Wsunęła dłoń do kieszeni, ale wyraźnie rozczarowana, nie znalazła w niej opakowania draży. Przymknęła oczy i przez chwilę stała bez ruchu.

– W jaki sposób widzowie mogą być uczestnikami? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

– W „Milionerach” jest możliwość skierowania pytania do publiczności. Ale trudno mi dostrzec analogię...

– Ten psychopata raczej nie przewiduje nagród.

Haler miała niemal fotograficzną pamięć. Mimo że spoglądała za okno, w myślach wciąż odtwarzała każdy szczegół maila. Nagle oderwała wzrok od ruchliwej ulicy i wróciła do biurka. Jeszcze raz nachyliła się obok Deryły. Przewinęła wiadomość do samego początku.

– Zastanawia mnie ta liczba.

– Która?

Wskazała na prawy górny róg maila. Maleńką czcionką wpisano tam: 128. Deryło wcześniej nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

– Może to jakiś błąd systemu?

– Nie. To ewidentnie fragment wiadomości.

– W ten sposób może zapisywać datę. – Komisarz nie sprawiał wrażenia przekonanego. – Sto dwudziesty ósmy dzień roku?

– Miejsce w treści by się zgadzało, ale... – Haler przymknęła oczy i błyskawicznie policzyła. – To ósmy maja. W latach przestępnych siódmy. Więc raczej odpada.

Urwała i, nachylając się nad Deryłą, chwyciła myszkę. Pospiesznie przełączyła zakładki, po czym wpisała kilka haseł. Po chwili laptop wypluł wyniki wyszukiwania.

– Sto dwadzieścia osiem to również liczba atomowa unbioctium, czymkolwiek by to nie było, oraz numer planetoidy Nemesis.

Deryło pstryknął palcami.

– O ile pamiętam, Nemesis to bogini zemsty. Ale od niej teoretycznie zależało też ludzkie szczęście lub pech.

– Nie wiem, czy nie doszukujemy się pierdylionowego dna...

– Przynajmniej to dno pasuje do schematu.

Komisarz wstał od biurka i zacisnął zęby. Zerknął na leżącą na blacie kwadratową kartkę. Podniósł ją, ale tym razem jego dłonie nie zaczęły mechanicznego tańca z origami. Zamiast tego zmiął ją i cisnął do kosza.

W tym samym momencie rozbłysnęły czerwone diodki na bazie telefonu. Po chwili bodaj najstarszy aparat na komisariacie wydał z siebie żałosny dźwięk.

Deryło obszedł biurko i chwycił słuchawkę.

– Czego? – warknął zniecierpliwiony.

Odpowiedział mu zniekształcony, upiorny śmiech.

– Halo? Przedstaw się, sukinsynu!

Deryło nigdy nie był orłem w technikach negocjacyjnych. Zamiast wykazać się opanowaniem, zainteresować rozmówcę i gadać z nim tak długo, aż zostanie namierzony, miał ochotę rozbić telefon na drobne kawałki. Złowrogi śmiech nie wzbudził w nim lęku, lecz ślepą furię. Złość z bezsilności, że przez łącza nie może chwycić człowieka po drugiej stronie słuchawki i sprać go na krwawą miazgę.

Nie miał wątpliwości, kto dzwoni. W takich sprawach przecucie nigdy go nie zawodziło. Do tego tym razem to przecucie graniczyło z pewnością.

– Odezwij się, gnoju!

Nagle śmiech się urwał. Zastąpił go odgłos wypuszczanego w słuchawkę powietrza.

– Wedle życzenia, komisarzu. – Głos mówiącego został poddany obróbce i przypominał skrzek robota. – Doskonale wpisał się pan w kontekst, choć o wielu sprawach nie miałem do niedawna pojęcia.

– Wpisałem się w kontekst?

Deryło odwrócił się do Haler. Na migi pokazał jej, żeby natychmiast zajęła się sprawdzaniem połączenia. Podkomisarz wyciągnęła komórkę i pospiesznie wybrała numer z listy kontaktów.

– Kiedyś pan zrozumie – potworny głos znowu zamienił się w śmiech. Elektroniczny, pozbawiony emocji rechot. Zimny i martwy.

– Przedstaw się.

– Chciałby mnie pan wylegitymować, komisarzu. Ale to nie takie proste.

– Jak mam więc do ciebie mówić? – Odruchowo zwracał się do rozmówcy na ty. Zacisnął lewą dłoń na krawędzi krzesła tak mocno, że pobiełały mu kłykcie. Nagląco zerknął na Halera.

Policjantka właśnie dodzwoniła się do działu informatycznego i przekazywała krótkie rozkazy. Deryło zauważył, że jej policzki zaróżowiły się, a głos delikatnie drżał. Skupił się jednak na kolejnych cedzonych słowach.

– Jestem Mistrzem Gry. Może mnie tak pan nazywać.

– Mistrz Gry? – komisarz parsknął. – A co to za chora gra, której mistrzem niby jesteś, co?

– Gra w szczęście – spokojnie wyjaśnił mechaniczny głos. – Gra, w której uczestniczy każdy z nas, ale ja nieco zmieniłem jej zasady. Urozmaiciłem ją.

– Zabójstwo to nie jest gra.

– Zgadza się, komisarzu. Śmierć to jedynie jej konsekwencja, o której w trakcie rozgrywki nie powinniśmy w ogóle myśleć. Po co myśleć o śmierci?

Deryło przytrzymał słuchawkę ramieniem i pochylił się nad biurkiem. Sięgnął po bloczek kwadratowych kartek, po czym pospiesznie zanotował kilka spostrzeżeń. Początkowa wściekłość mijała, zastępowana przez rozsądną determinację. Deryło zdawał sobie sprawę, że niczego nie osiągnie milczeniem.

Zerknął na Halera, lecz ta jedynie bezradnie rozłożyła ręce. Informatycy pewnie dopiero się rozbudzili.

– Posłuchaj, gnoju – wycedził ponownie, zaciskając dłoń na słuchawce. – Masz jeszcze szansę to przerwać. Na razie przez ciebie zginęła jedna osoba. Jeżeli na tym się skończy, być może sąd się nad tobą zlituje i nie dostaniesz dożywocia. A nawet jeśli, to z możliwością przedterminowego zwolnienia. Nie wiem, jakie masz usprawiedliwienia, traumy i bajki o molestującym cię od dziecka

ojcu, ale adwokat na pewno coś ci podpowie.

Potwór ponownie się zaśmiał.

– Myśli pan, że to takie proste? Z tej gry nie można zrezygnować.

– Wszystko zależy od ciebie. – Deryło nabrał tchu i starał się mówić spokojniej. – Skoro jesteś Mistrzem Gry, możesz też ją zakończyć.

– Myśli pan bardzo schematycznie. Rozczarowuje mnie pan.

– To daj mi więcej informacji! Jeśli mam brać w tym udział, potrzebuję chociaż zarysu reguł.

Deryło zdał sobie sprawę, że Haler stoi tuż obok niego. Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

– Informatycy już działają – szepnęła policjantka. Po chwili przysłoniła usta i rzuciła kilka zdań do telefonu. Znowu spojrzała na Deryłę. – Nie mogą go namierzyć, bo szyfruje połączenie. Musimy czekać.

Komisarz zakrył dłonią mikrofon.

– Powiedz im, żeby spróbowali to nagrać.

– To raczej niemożliwe, ale...

– Jest tam pan, komisarzu? – Znowu ostry, mechaniczny ton. – Spodziewam się, że właśnie stara się pan mnie zlokalizować? Owszem, istnieje na to pewna szansa. Jednak musielibyście mieć mnóstwo szczęścia, a ja – sporego pecha.

– Czego chcesz?

– Może sam pan kiedyś zrozumie.

Deryło zacisnął pięść.

– Niczego nie rozumiem. Mam wrażenie, że rozmawiam z szaleńcem, który nie jest w stanie pojąć, że właśnie pieprzy sobie życie. I który sam nie wie, czego chce.

Elektroniczne westchnięcie przypominało odgłos z filmów o kosmitach usiłujących porozumieć się z Ziemiaininem. Komisarz ponownie nakreślił na kartkach kilka uwag i łypnął w stronę Haler. Nie wyglądało to dobrze. Policjantka odeszła parę kroków w stronę okna i tłumaczyła coś wzburzonym tonem. Najwyraźniej

informatycy nie mieli pokrzepiających wieści.

– Pytał pan, czego chcę – wysyczał potwór. – Sądzę, że jest pan teraz przy komputerze. Niedawno przesłano panu moją wiadomość ze skrzynki odbiorczej tej dziennikareczki.

– To też tylko...

Zabójca wszedł komisarzowi w słowo.

– Zaraz panu podyktuję adres strony internetowej.

– Co takiego?

W odpowiedzi syntezytor mowy wypluł kombinację liczb i znaków. Deryło pospiesznie wpisywał je w wyszukiwarkę. Kiedy na łączu nastąpiła cisza, odruchowo nacisnął enter.

A chwilę później przebiegł go lodowaty dreszcz.

Haler nachyliła się obok komisarza i utkwiała wzrok w ekranie. Strona internetowa nie zawierała żadnych treści poza okienkiem z nagraniem wideo. Nie dodano żadnych przycisków, aby je przewinąć albo zatrzymać. Jakość była całkiem dobra, choć co kilka sekund łączy jakby spowalniało i obraz się delikatnie rozmywał.

Kamera została zainstalowana nieruchomo. Pośrodku oświetlonego intensywnym światłem pomieszczenia siedział trzydziesto-, może czterdziestoletni mężczyzna. Usta miał obwiązane taśmą, a ręce skrępowane za plecami. Starał się uwolnić, lecz węzły zawiązano zbyt mocno. Wił się i nerwowo rozglądał na boki. Był przerażony. Rozbłyśki światła na jego czole, skroniach i policzkach świadczyły, że najprawdopodobniej jest cały zlany potem. Jego sportowy T-shirt miał ciemne plamy na piersi i pod pachami.

– Jak się pan pewnie domyśla, to transmisja na żywo... – Elektroniczny głos przywrócił Deryłę do rzeczywistości. – Oto kolejny uczestnik gry w szczęście.

– Co chcesz zrobić?

– Powoli, panie komisarzu. Powoli! Niech się pan tak nie niecierpliwi, na to jeszcze przyjdzie czas...

Deryło uchwycił spojrzenie Halera i przytknął palec do ust. Gdy podkomisarz skinęła głową, ostrożnie położył słuchawkę na biurku, po czym nacisnął jeden z przycisków na bazie telefonu.

– Przepraszam za nie najlepszą jakość, to przez problemy techniczne. – Głos potwora poniósł się po całym pomieszczeniu. Nagle zapanowała cisza, którą przerwało głośne parsknięcie. –

Słyszę, że przełączył mnie pan na tryb głośnomówiący. Proszę się nie stresować, nie przeszkadza mi to. Pewnie słucha mnie większe grono. Mam rację?

Deryło wymienił z Haler nerwowe spojrzenia. Podkomisarz zagryzła usta i odeszła na bok, poza zasięg mikrofonu telefonu. Przyciszonym głosem zamieniła kilka słów z informatykiem. Przyłożyła palec do lewego ucha, dając znać, że też słucha.

– Jestem tu sam – zapewnił Deryło. – Tak jest mi wygodniej oglądać tę głównianą transmisję.

Jego rozmówca zachichotał.

– Jak pan myśli, ten człowiek ma szczęście czy pecha? – zapytał zdeformowanym głosem. – Mnie wygląda raczej na szczęściarza. Drogi strój sportowy, drogie adidas, telefon, bezprzewodowe słuchawki... Chociaż pozory często mylą.

– Po co to robisz?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Jak dla mnie, ludzie są szaleni, jeśli chcą sprawdzać, czy mają szczęście, czy pecha. Nie wiem, dlaczego sprawia im to diabelną przyjemność.

– Niby w jaki sposób to robią? Nie znam nikogo, kto by...

Potwór wszedł Deryło w słowo.

– Nie ciągnął pan dla zabawy losów albo zapalek? Nie obstawiał pan kolorów i tak dalej...? – westchnął. – Teraz także im na to pozwolimy. Tyle że będą sprawdzali nie swoje szczęście.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Wkrótce się pan przekona. Ale teraz wróćmy do tego biedaka. Albo bogacza. Wszystko, jak zawsze, jest kwestią perspektywy. Wie pan, od czego zależy jego szczęście?

Deryło nie spuszczał wzroku z ekranu. Mężczyzna wciąż się szarpał, ale wyraźnie opadł z sił.

– Nie wiem, do diabła. Wypuść go, wtedy...

– Wtedy co, panie komisarzu? Jego szczęście będzie trwało sto sekund.

W tym momencie w rogu okienka z transmisją wyświetlił się licznik. Po chwili odliczanie ruszyło.

Dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dziewięćdziesiąt osiem.

Dziewięćdziesiąt siedem...

– Jakie cholerne sto sekund? – Deryło poderwał się od biurka i uderzył w nie pięścią. – Zastanów się! Co oznacza ten pieprzony licznik?!

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie, więc zrobię to za pana. Szczęście tego człowieka będzie zależało od innych. Właśnie takie jest życie. Życie lub śmierć, panie komisarzu. Życie lub śmierć.

Odliczanie wciąż trwało.

Sekundy upływały.

ViSir. Pod takim loginem działał w sieci Kamil Darski. Gdy w wieku siedemnastu lat włamał się na serwery Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zapewnił sobie świetlaną przyszłość. Namierzono go, ale w środowisku rozeszła się plotka o młodym wilczku internetowych przestworzy. Kilka miesięcy później lubelska komenda zaproponowała mu etat oraz pokrycie kosztów kursów doszkalających.

I czystą kartotekę, rzecz jasna.

Szybko się okazało, że kursy doszkalające są zbędne. ViSir był wirtuozem łamania zabezpieczeń oraz namierzania adresów pierwotnych serwerów. Tych, które pozwalały następnie zlokalizować przestępców. Oprócz tego z doskoku zajmował się inwigilowaniem darknetu, ale uważał to za stratę czasu.

– Dołu kloaczego nie opróżnisz językiem – powtarzał.

Teraz jego palce wygrywały na klawiaturze podniosłą melodię. ViSir co chwilę przełączał otwarte na dwóch ekranach okienka pełne cyfr, znaków oraz wykresów. Mimo że za oknem temperatura nie przekroczyła jeszcze dwudziestu kilku stopni, w pomieszczeniu było potwornie gorąco. Niewydolna klimatyzacja nie potrafiła sobie poradzić z ciepłem generowanym przez kilkanaście komputerów, monitorów i innych urządzeń.

ViSir poprawił przytknięty niemal do ust mikrofon. Jego małe, przekrwione oczy poruszały się błyskawicznie, śledząc tekst. Opięta na otłuszczonej piersi koszulka z nadrukowanymi zarysami mięśni i napisem „Klata się sama nie robi” była mokra od potu.

Chłopak zawiesił w powietrzu dłoń, jakby szykował się do

zadania finalnego ciosu. Nagle opuścił ją i nacisnął enter. Monitor zamrugał.

Informatyk przygryzł wargę i w skupieniu obserwował rzędy wyników wyświetlanych w kolejnych okienkach. Otarł ściekającą po skroni kroplę potu i przełknął ślinę.

– No dalej... – szepnął.

Odepchnął się od podłogi i przejechał na fotelu do stanowiska obok. Monitory były sprzężone i pokazywały te same wyniki, lecz w nieco innej kolejności. ViSirowi zrzędała mina. Bezgłośnie zaklął i założył dłonie za wygoloną na łyso głowę. Po ułamku sekundy jego palce znów zbombardowały klawiaturę.

– To bez sensu – oznajmił ponuro. – Ten koleś używa urządzenia szyfrującego, którego nie dam rady obejść. Korzysta z zagranicznych stacji bazowych i żeby to złamać...

Urwał w pół zdania. Kilkukrotnie kliknął, po czym na ekranie przed nim wyświetliła się transmisja ze strony internetowej, której adres podyktowała mu przed chwilą Haler. Jednak informatyk nie zwrócił szczególnej uwagi na obraz. Pospiesznie zagłębił się w ustawieniach i kodach.

– Mam pewien pomysł... – wycedził, bębniąc w klawisze.

– Jaki? – podkomisarz natychmiast podchwyciła. – Zgodnie z tym licznikiem zostało nam niecałe pół minuty. I obawiam się, że ten świr na poważnie mówił o śmierci...

– Chwila.

ViSir jak oszalały wpisywał kolejne komendy. Z delikatnie otwartymi ustami i niemalże nie mrugając, przypominał nafaszerowanego lekami szaleńca.

– Piętnaście sekund. Powiedz mi, co chcesz zrobić?

– Ciii...

– Dziesięć.

– Mam! Wszedłem na tę cholerną stronę i dostałem się do kamery. Skoro nie możemy namierzyć połączenia, namierzę, gdzie ona jest...

– Myślisz, że to coś zmieni?

ViSir zatarł dłonie i przywołał okienko z podglądem strony. Transmisja trwała, ale licznik niespodziewanie zniknął. Odliczanie nie mogło jeszcze dobiec końca.

– Co jest...

Nagle licznik ponownie wyświetlił się w rogu ekranu. Jednocześnie rozpięła się kłódka, którą miał na dłoniach skrępowany mężczyzna, a z umieszczonej obok niego rury uniósł się obłoczek dymu.

– Co się tam, do diabła, dzieje?

Haler z satysfakcją zacisnęła pięść. Szybkim krokiem podeszła do Deryły i spojrzała na ekran komputera. Skrepowany dotąd mężczyzna ze zdziwieniem rozprostował ramiona. Rozejrzał się, po czym ostrożnie wstał. Musiał zrobić kilka kroków, by rozruszać zdrętwiałe mięśnie. Nieomal upadł. Przez chwilę szarpał się z węzłem wetkniętego do ust sznura, ale szybko zrezygnował. Jego priorytetem stała się ucieczka, a nie wołanie o pomoc.

– To ty rozpiąłeś mu te kajdanki? – Haler przycisnęła telefon do ucha. – Były powiązane z systemem elektronicznym czy co?

– Nie – odparł informatyk.

– Jak to nie?

– Po prostu nie. Ja jedynie staram się ustalić położenie kamery... Chyba nawet zaraz mi się to uda.

Deryło nie zauważył grymasu zmartwienia, który wykrzywił twarz jego podwładnej. Przytknął pięść do ust. Pochylił się nad klawiaturą i niemal dotknął nosem ekranu.

Obłoczek dymu wydobywającego się z rury zgęstniał, a filmowany mężczyzna zaczął kaszleć. Jednocześnie intensywnie pocierał dłońmi oczy. Jego ruchy stały się nieskoordynowane, jakby stracił orientację. Sięgnął do ściągacza T-shirtu i odciągnął go od szyi. Przez moment był obrócony twarzą w stronę obiektywu. Jakość obrazu pozostawiała wiele do życzenia, ale napięte, pełne przerażenia rysy mówiły wszystko.

Doskonale wiedział, że właśnie walczy o życie.

Komisarz nie słuchał przyciszonych słów Haler. Powstrzymując się od mrugania, obserwował transmisję. Drgnął, gdy po kilku

sekundach przerwy z głośników ponownie dobiegł upiorny głos.

– Wspomniałem o stu sekundach, ale dopiero teraz odmierzają prawdziwy czas. – Potwór wymownie westchnął. – Rozumie pan? Czas już nie ma czasu. Pech tego człowieka polegał na tym, że powiązałem system kamer ze zdolnościami pańskich informatyków. Skoro udało im się włamać do mojego systemu, uczestnik gry wylosował po raz pierwszy złą stronę monety. – Krótka pauza nastąpiła dokładnie w momencie, gdy mężczyzna na ekranie zaczął się panicznie miotać. Wpadł na ścianę i wyciągnął przed siebie dłonie. – Gdyby nie pan, ten człowiek pewnie by przeżył i się wydostał. Pierwsze sto sekund wstępnie zdecydowało, czy ma pecha, czy szczęście. Ale jak pan widzi, odliczanie znowu ruszyło. Może jego los się odwróci? Został oślepiiony i po omacku dwie drogi ma. Jedna jest dobra, a druga zła. Czy to ładny wiersz?

Deryło nie odpowiedział. W skupieniu obserwował ekran. Nie odrywając od niego wzroku, przysłonił dłonią mikrofon telefonu.

– Namierzyli go? – zwrócił się do Haler. – Namierzyli tego skurwiela?!

Podkomisarz pokręciła głową. Jej źrenice były rozszerzone, a oddech przyspieszył. Co chwilę nerwowo przygryzała wargę.

– Jeszcze chwila! Informatyk jest już blisko.

– Szlag...

Oślepiiony mężczyzna starał się poruszać wzdłuż ściany. Po chwili znalazł się w rogu kadru i stanął, badając stopą grunt.

– Mieszanka dwutlenku węgla i gazu łzawiącego to sposób na dość łagodną śmierć – obwieścił elektroniczny głos. – Ten człowiek jednak o tym nie myśli. Ludzie zazwyczaj chcą działać...

– Zatrzymaj to, gnoju!

Deryło głęboko zaczerpnął powietrza. Mężczyzna wyszedł poza kadr i w tym samym momencie z głośników laptopa dobiegł dźwięk kroków.

– Zamiast wizji ma pan fonię. Czy to satysfakcjonujące rozwiązanie? Zresztą zdaje się, że trafiliśmy na pechowca...

– Co chcesz zrobić? – Komisarz zacisnął dłonie na krawędzi biurka. W ten sposób powstrzymywał się przed rąbnięciem pięścią w monitor. – Skończ z tym i wypuść go!

– Zaraz skończę. Obserwuje pan licznik?

Odliczanie wciąż trwało. Liczby się zmieniały i regularnie zmierzały ku zeru.

Dwadzieścia osiem.

Dwadzieścia siedem.

– Dlaczego mówisz o pechowcu? – Deryło odwrócił się do Haler, ale ta jedynie pokręciła głową. – Zastanów się. Możesz to jeszcze zatrzymać!

– Już panu mówiłem, że to niemożliwe.

Dziewiętnaście.

Osiemnaście.

– Dorwę cię.

– To również słyszałem. I wiem, że może się to panu udać. Ale jeszcze nie teraz. Szczęście lub pech. Życie lub śmierć.

Siedem.

Sześć.

Pięć.

Deryło wyprostował się i podkręcił głośnik laptopa. Starał się wychwycić każdy transmitowany odgłos. Wyraźnie rozróżniał szuranie kroków, otarcia o ścianę i stłumiony kneblem szloch. Nie słyszał natomiast żadnego pogłosu, więc uznał, że pomieszczenie musi być niewielkie. To, co obejmował obiektyw kamery, miało maksymalnie cztery na trzy metry, ale po bokach mogły ciągnąć się korytarze. Odgłosy zdawały się oddalać od mikrofonu, który zapewne zainstalowano gdzieś pośrodku.

Haler bezgłośnie nachyliła się do komisarza.

– Informatyk lada moment będzie wiedział, skąd jest to nagranie... – szepnęła mu do ucha.

W tym samym momencie białe liczby zmieniły się na czerwone.

Dwa.

Jeden.

Nagle obraz zamrugał. Z głośników dobiegł przerażający dźwięk.

Mariusz Witt poruszał się wzdłuż ściany. Opuszkami palców wyczuwał jej szorstką, nieotynkowaną powierzchnię. Kroki stawiał ostrożnie, ale zdecydowanie. Co chwilę pochylał się i wtykał nos w załamanie pomiędzy ramieniem a łokciem. Jednak ta prowizoryczna osłona w niczym nie mogła mu pomóc. Niezmiennie czuł intensywną woń gazu łzawiącego. Drapanie w gardle i duszność.

Do tego miał ochotę wydłubać sobie oczy. Od kilkudziesięciu sekund trzymał je kurczowo zamknięte. Wolał poruszać się po omacku niż pozwolić im wypłynąć. Poza tym i tak obraz był zbyt zamazany, by rozróżniał kształty.

Chciał jedynie jak najszybciej uciec.

Wydostać się na wolne powietrze z dala od tego szaleństwa.

Zaczerpnąć tchu.

Serce podeszło mu do gardła i waliło w opętającym rytmie. Czuł posmak krwi w ustach, a w uszach mu szumiało. Adrenalina pobudzała go do biegu, ale rzucając się na oślep, zaraz wpadłby na którąś ze ścian. Nie znał tego miejsca. Nie wyczuł nawet, czy wciąż znajduje się w tym koszmarnym pomieszczeniu, czy udało mu się już je opuścić. Przez gaz kompletnie stracił orientację.

Oderwał lewą dłoń od ściany i sięgnął za głowę. Chwycił węzeł sznura, który przewleczono mu przez usta. Nie mógł go rozwiązać, więc z całej siły wetknął palec między szorstkie konopne liny. Jedno z włókien wbiło mu się między opuszkę palca i paznokiec. Okropny ból przeszył całą dłoń. Wrzasnął, lecz knebel stłumił jego rozpacz. Wybuchnął spazmatycznym kaszlem.

Dławił się.

Nie potrafił powstrzymać histerycznego szlochu, pobudzanego przez dławiący gaz.

Delikatnie cofnął palec, lecz pęknięty paznokieć nadal zahaczał o szorstki splot. Węzeł nieco się poluzował, jednak wciąż nie na tyle, by mógł wypluć knebel. Musiał szarpnąć raz jeszcze.

Mocno.

Na trzy.

Oszukał sam siebie i bez odliczania z całej siły odciągnął palec. Paznokieć się złamał, a jego połówka stanęła na sztorc. Czuł to wyraźnie. Tym razem ból spłynął aż do łokcia i na kilka sekund sparaliżował mu dłoń. Odruchowo się skulił.

Gwałtownie naprężony sznur wywinął się z węzła, a knebel sam wypadł mu z ust. Witt poruszył zdrętwiałym językiem. Nie mógł zebrać choć kropli śliny, by zabić potworną suchość. Paliło go w gardle, a mięśnie szczęki pulsowały.

Wyprostował się i ściskając nadgarstek obolałej dłoni, ruszył dalej. Poruszał się wciąż z zamkniętymi oczami. Miał wrażenie, że woń gazu nieco się zmieniła. Stała się jakby bardziej słodka i mniej intensywna. Z pewnością musiał oddalać się od rozpylacza. A każdy krok w dal od tamtego miejsca był dla niego krokiem w dobrą stronę.

Gdy wyczuł krawędź ściany, odruchowo zacisnął lewą dłoń. Uszkodzony paznokieć po raz kolejny wjął się w ujścia nerwów. Tym razem nic nie stłumiło bolesnego syknięcia. Witta zdziwił własny głos.

Charkotliwy i szorstki.

– Pieprzyć to.

Otworzył oczy, z których natychmiast pociekły strumienie łez. Nie potrafił rozróżnić nawet konturów przedmiotów. Z pewnością oddalał się od światła, które rzucały lampy. Kierował się ku ciemności, ale w tym wypadku ona go nie przerażała. Przeciwnie, dawała nadzieję na schronienie się.

Otarł dłonią oczy i głęboko odetchnął. Zapach stawał się coraz bardziej słodkawy, a siła gazu łzawiącego zdawała się słabnąć. Z chaotycznej mozaiki kolorów powoli wynurzały się linie i cienie. Łzy nie płynęły już tak obficie. W gardle wciąż czuł ostry posmak, lecz zastępowała go specyficzna lepkość.

Intensywnie mrugał. Może to wszystko było jedynie idiotycznym żartem któregoś z jego znajomych. Przemęczeni dyżurami lekarze miewali naprawdę głupie pomysły. I fantazję.

Witt nieco się uspokoił.

Zwolnił kroku i rozluźnił mięśnie. Wciąż czuł ostre pulsowanie płynące od opuszki palca, lecz nadzieja, że wszystko zakończy się wybuchem śmiechu, stłumiła ból.

– Banda sukinsynów.

Mężczyzna miał wrażenie, że znalazł się na szczycie schodów. Odruchowo sprawdził butem przestrzeń tuż przed sobą. W rzeczywistości rysująca się przed nim ciemna plama nie była pustą przestrzenią. Podłoże zostało czymś polane, nasiąkło i...

Nim cofnął stopę, wokół buchnęły płomienie. W jednej chwili zapaliły się jego T-shirt oraz spodenki. Buty zaczęły się roztopiać i obklejać skórę.

Witt poczuł smród palących się włosów na nogach. Rzucił się na oślep do tyłu, lecz ogień zdawał się rozprzestrzeniać we wszystkich kierunkach.

Skórę mężczyzny błyskawicznie zaczęły pokrywać pęcherze. Witt miotał się i wrzeszczał z bólu, ale nie miał dokąd uciec. Ściany wokół zdawały się zaciskać. Tym razem obraz przysłaniały mu nie łzy, ale gęsty dym. Z każdym oddechem żar rozsadzał mu płuca. Miał wrażenie, że zasysa żywy ogień.

Próbował zedrzeć płonące ubranie, lecz ból nie do wytrzymania sparaliżował mu mięśnie i stawy. Każda komórka jego ciała przesiąkła potwornym cierpieniem.

Jednak wciąż pozostawał świadomy. Skulił się i spazmatycznie dotknął uda. Poczuł, że nadpalona skóra odchodzi całym płatem.

Mógł ją oderwać jak zwęgloną skórę kurczaka.

Nawet nie jęknął. Porażone nerwy zacisnęły mu szczękę tak mocno, że kilka zębów się pokruszyło. Odgryzł sobie kawałek języka.

Płomienie sięgały nieco powyżej jego pasa, a jego T-shirt zaczął się wtapiać w ciało. Rozpuszczał się i zamieniał w plamę spalonych tkanek i włókien. Nie czuł już niczego poza gęstym, zatykającym swądem.

Był to odór jego przypiekanej skóry.

– Słyszysz pan, komisarzu?

Dobiegający z głośników rozpaczliwy krzyk mieszał się z cichym pomrukiem, który przypominał odgłos przy odpalaniu oblanego benzyną ogniska lub kuchenki gazowej. Deryło bezwiednie przyłożył dłonie do ust. Stojąca obok Haler opuściła telefon i rozpaczliwie pokręciła głową. Nagle cichy pomruk przemienił się w huk pożaru, a krzyk – w przeraźliwy wrzask.

– Ten człowiek miał pecha – elektroniczny głos obwieścił bez cienia emocji. – Odcinek korytarza, który wybrał, oprószyłem fosforem i polałem benzyną. Natomiast na podeszwy jego butów nałożyłem warstwę chloranu potasu. Domyśla się pan, co się stało?

Deryło wyciągnął dłoń, by ściszyć głośnik, ale powstrzymał się. Choć nie mógł znieść agonicznego jęku, wiedział, że musi się starać wychwycić jakiegokolwiek odgłosy otoczenia. Cokolwiek, co mogłoby stanowić ślad. Strzęp dowodu.

Choćby poszlakę.

Pochylił się i schował twarz w dłoniach. Poza odgłosami walki o życie mężczyzny i hukami wysysających tlen z powietrza płomieni nie słyszał niczego. Doskonale jednak wiedział, co znaczy zetknięcie fosforu i chloranu potasu. Były to główne składniki używane do produkcji główek zapalek i drasek. Wiedział, że fosfor jest ogólnie dostępny, a sądził, że zdobycie chloranu potasu również nie stanowiło nadzwyczajnego wyzwania. Nawet w warunkach domowych.

– Ty chory gnoju... – wycedził w stronę telefonu. – Ty cholerny sukinsynu!

– Rozczarował pana brak relacji wideo?

– Marzę, żebyś cierpiał.

– Spokojnie, komisarzu. Może jeszcze przyjdzie na to czas? – Po wypowiedzianym upiornym szeptem zdaniu było przez chwilę słyszeć świst oddechu. Potwór zamilkł najwyraźniej po to, by nie zagłuszać płynących z głośników komputera wrzasków. Były znacznie cichsze i bardziej gardłowe niż dotychczas. Po chwili całkowicie zginęły w odgłosach pożogi. – Pozwoli pan, że posłużę za komentatora – elektroniczny głos odezwał się ponownie. – Ogień właśnie zajął włosy tego pechowca. Rzuca się na samym środku ogniska, ale nie potrafi się wydostać. Choć zadziwiająco, że jeszcze nie upadł.

– Pomóż mu, do cholery...

– Nie sądziłem, że temperatura będzie tak wysoka, że skóra dosłownie złuszczy mu się z nóg. Powinien to pan zobaczyć. Naprawdę niespotykany widok!

Haler przymknęła oczy i oparła się o biurko tuż obok komisarza. Ciągle czekała na pozytywne wieści z gabinetu informatyków. Oddychała głęboko i powoli, starając się opanować. Jej zaciśnięta na blacie dłoń drżała.

– To chyba koniec... – Rozległo się elektroniczne westchnienie. – Biedak upadł i wije się w agonii. Przypomina nabitego na rożen kurczaka, którego ktoś zapomniał zdjąć znad ognia. Słowo daję, komisarzu, odzież powinna mieć specjalne atesty przeciwpożarowe. Zamiast przypieczonej skórki, mamy papkę tworzyw sztucznych i strzępków spalonego ciała... Obrzydliwe.

Deryło wciąż wsłuchiwał się w dobywające się z głośników odgłosy. Były coraz cichsze i jakby coraz bardziej odległe. Nagle dźwięk urwał się, a transmisja – zakończyła. W okienku wyświetliło się czarne pole z niewielkim białym napisem: *error occurred*.

– To się nazywa śmiertelny pech – zaskrzeczał zmodyfikowany głos. – Do usłyszenia, panie komisarzu!

Po tych słowach połączenie zostało zakończone.

Deryło chwycił leżącą na biurku ryzę papieru i wściekle cisnął nią o ścianę. Opakowanie rozpadło się, a kartki rozsypały wokół. Komisarz głośno wypuścił powietrze. Przez chwilę stał, międląc trzymaną w kieszeni monetę. Nagle odwrócił się i spojrzał na Haler. Jego podwładna wciąż przyciskała do ucha telefon, ale milczała. Miała zaróżowione policzki i zaciśnięte usta.

– Ile mam, do cholery, czekać?! – warknął. – Dalej nic?

Haler pokręciła głową.

– Pracują nad tym...

– Skoro dostali się do kamery, chyba wiedzą też, gdzie ona jest?

– Mówiłam, że...

Deryło wyciągnął w jej stronę rękę.

– Mogę?

– Skoro musisz.

Haler drżącą dłonią podała mu komórkę. Ze wzrokiem wbitym w podłogę słuchała potoku inwektyw, którymi obrzucił Bogu ducha winnego informatyka. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ViSir robił, co mógł. Jednak rozumiała też, że jeżeli Deryło nie da w ten sposób ujścia emocjom, będzie musiał wyrzucić je z siebie inaczej. Najwyraźniej pohamował się przed wyładowaniem ich na niej, ale gdyby w pomieszczeniu znajdował się mężczyzna, z pewnością właśnie obrywałby za samą obecność.

– Mam cię ponaglić? – Komisarz odkaszlnął. – Mam cię, do cholery, ponaglić?! Mam zejść i wyrwać ci nogi z dupy czy co mam, do diabła, zrobić?

Deryło najwyraźniej nie zamierzał czekać na odpowiedź. Rzucił

telefon na biurko, zerknął na podwładną i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Wypadł na korytarz, po czym skierował się w stronę schodów. Jego niechęć do wind była powszechnie znana.

Haler schowała telefon do kieszeni i bez namysłu pobiegła za nim.

– Daj spokój. Informatycy zaraz wszystko nam przekażą...

Nie zatrzymał się. Pokaszując i podtrzymując się barierki, zbiegał po schodach. Tupot jego kroków niósł się echem. Mimo że przez ostatnie miesiące wyraźnie zmizerniał, nadal był potężnym mężczyzną o wadze przekraczającej sto kilo.

Mijani policjanci odruchowo rozstępowali się albo schodzili mu z drogi. Powszechnie znane były napady furii Deryły, które przed laty otarły się o postępowania dyscyplinarne. Wszystkie umarzone ze względu na tajemniczy brak świadków i pokrętne tłumaczenia pokrzywdzonych. Dostać od Deryły sierpowym stało się lokalnym wyrazem nobilitacji.

– Eryk! – zawołała.

Niemal nikt nie zwracał się do komisarza po imieniu ani po imieniu o nim nie mówił. Nie wiedziano, czy go nie lubi, czy go się wstydzi, ale znacznie częściej używano nazwiska. A najczęściej jedynie stopnia. Deryło odwrócił się. Na moment zwolnił kroku i posłał jej piorunujące spojrzenie. Mimo to nieco się uspokoił. Opuścił ramiona, przygarbił się, a chwilę później wbił wzrok w podłogę. Sapnął i ruszył w głąb korytarza na pierwszym piętrze.

Podkomisarz słyszała, że przez ostatnie miesiące Deryło był w gorszej formie, a współpracownicy zaczęli go unikać. Jednocześnie miała pewność, że mimo pozornej szorstkości w obyciu jest wyjątkowo wrażliwym mężczyzną, a choć ich wcześniejsze kontakty były raczej mało obfite, to ostatnie godziny utwierdziły ją w tym przekonaniu. Bez wahania pobiegła za nim i w chwili, gdy zbliżał się do drzwi gabinetu informatyków, chwyciła go za rękę. Była lodowato zimna, ale mokra od potu.

– Wściekając się, niczego nie zmienisz.

Deryło nie wyszarpnął się, ale też nie zwolnił.

– Powinno się wychrzanić na zbite pyski te leniwe dzieciaki, zatrudnili cholerne przedszkole.

– Wszyscy robią, co mogą.

– Nie widzę efektów. Liczy się tylko to! Rozumiesz? E-fe-kty!

– A efekty własnej pracy? – Haler puściła jego dłoń i się zatrzymała. – Czy nam udało się działać cokolwiek więcej? Też mnie coś trafia na moją bezsilność, ale... – Wzruszyła ramionami i bezwładnie klepnęła dłońmi o uda. – Wszyscy robimy tyle, ile jesteśmy w stanie.

– Też chciałbym wierzyć w te bajki.

Deryło stanął przed specjalnymi, wyciszonymi od środka drzwiami. Zerknął na Haler i nerwowo odkaszlnął. Przez kilka sekund pozostał w bezruchu, wreszcie nacisnął klamkę. Całkiem delikatnie pchnął drzwi, po czym wszedł do środka.

– Właśnie złamałem zabezpieczenie. Wiem, skąd nadawano transmisję!

Haler pomyślała, że na żywo ViSir brzmi jeszcze młodziej niż przez telefon.

Miękkie zawieszenie mercedesa połykało kolejne nierówności. Nawierzchnia była dziurawa, asfalt w wielu miejscach – popękany, a na poboczu zalegał żwir i kamienie. Kierowca prowadził pewnie, choć na zakrętach musiał mocno zwalniać. Pojazd był ciężki, ważył ponad półtorej tony, a opony pozostawiały wiele do życzenia. Nieuwaga mogła mieć tragiczne skutki.

Mężczyzna umyślnie wybrał mniej uczęszczaną trasę. Jazda obwodnicą zawsze była dla niego potwornie nudna. Prosta droga, ekrany dźwiękochłonne i rzędy barierek potrafiły obrzydzić każdą podróż. Trzydziestoletnie auto zostało, co prawda, wyposażone w tempomat, lecz kierowca nie ufał tej technologii. Teraz, rozparty w wygodnym skórzanym fotelu, pilnie obserwował drogę.

Po obu stronach ciągnął się las. Znaki ostrzegały przed zwierzętami, które mogły wtargnąć na jezdnię, lecz o tej porze mężczyzna się tego nie obawiał. Wiedział, że dziewięćdziesiąt procent zderzeń z sarnami, łosiami i innymi kopytnymi ma miejsce w nocy lub wczesnym rankiem. Wiele razy, pokonując tę trasę po zmroku, widział w głuszy skrzące się oczy.

– Jeszcze kwadrans – szepnął do siedzącej obok niego brunetki. – Może nawet mniej.

Kobieta miała zawiązaną na oczach przepaskę i opierała głowę o szybę. Jej brązowe włosy były zebrane w prosty kok. Na skórze odsłoniętego karku perliły się kropelki potu. Łapczywie łapała powietrze.

– Gdzie mnie wiesziesz?

– Miałaś o nic nie pytać. Obiecałaś, że będziesz milczeć.

– Proszę, powiedz, gdzie mnie wiesz?

Uśmiechnął się. Zacisnął dłonie na kierownicy i przyspieszył. Wyjechali na długi, prosty odcinek drogi, a widoczność była doskonała. Trzylitrowy silnik pozwalał na naprawdę dynamiczną jazdę. Należało jedynie uważać na wyboje. Gdyby poruszali się autem o sztywniejszym zawieszeniu, mogliby sobie rozbić głowy o podsufitkę.

Zerknął na kobietę. Upewnił się, że przepaska nie zsunęła się z jej oczu, i z powrotem skupił się na prowadzeniu. Przez kolejne minuty milczał.

Las zamienił się w szachownicę pól, a te po parunastu kilometrach – w gęstwinę sadów. Niemal wszystkie wydawały się opustoszałe. Nie widać było żadnych sprzętów, doglądających ich ludzi lub choćby bezpańskich psów.

Mężczyzna pomyślał, jak bardzo przez ostatnie lata zmienił się obraz wsi. Dawniej zarówno na polach, jak i w sadach toczyła się nieustająca praca. Obecnie technologia pozwalała oszczędzić mnóstwo zachodu. Kilka regularnych oprysków, kilka dodatkowych w razie zagrożeń zarazami i zbiory. Nawet na największych areałach nie trwały one dłużej niż kilka dni. Potężne maszyny przetrząsały drzewa i ogołacały je z owoców w ekspresowym tempie.

Odsunął od siebie te myśli i zwolnił. Droga znów stała się kręta, a nawierzchnia – jeszcze bardziej dziurawa. Kilukrotnie musiał niemal całkowicie wyhamować, by delikatnie pokonać wyrwy w asfalcie. Przez ostatnie parę kilometrów minęli jedynie dwa ciągniki i auto wlokące za sobą wyładowaną piaskiem przyczepkę.

– Już prawie jesteśmy. Jeszcze chwilka.

Zatrzymał się przed znakiem stop i uważnie rozejrzał. Przepuścił pędzący główną drogą samochód, po czym gwałtownie ruszył. Koła zabuksowały na żwirze, ale zaraz złapały przyczepność.

Kobieta posłusznie milczała. Wciąż opierała głowę o szybę i nabierała głęboko powietrza.

Po kilkuset metrach zjechał z drogi krajowej w wąską ścieżkę. Wertepy były znacznie większe niż poprzednio. Musiał poruszać się z prędkością niespełna dziesięciu kilometrów na godzinę. Dodając gazu, ryzykowałby rozbiciem podwozia albo uszkodzeniem zawieszenia.

Wreszcie zatrzymał się, przekręcił kluczyk i pchnął drzwi. Obszedł auto i pomógł kobiecie wysiąść. Popchnął ją, by szła przed nim.

– Uważaj na wyboje – szepnął. – Lepiej, żebyś się nie połamala.

Uśmiechnął się, widząc rozciągającą się przed nimi panoramę. Wisła skrzyła się w słońcu, a w oddali było widać zarys Gór Świętokrzyskich. Po raz kolejny delikatnie pchnął kobietę. Tuż przed nią opadał potężny klif. Kilkadziesiąt metrów przepaści, a w dole ostre głazy i wapienny miał.

To było naprawdę piękne miejsce.

Pół godziny po sukcesie ViSira trzy radiowozy i pojazd antyterrorystów zajechały na opuszczony teren przed dawną rzeźnią miejską. Ogromny betonowy budynek miał prawie sto metrów długości. Na pomalowanych graffiti murach odróżniały się prostokąty zionących pustką okien i ujść szyldów wentylacyjnych. Do środka prowadziło kilka wejść bez drzwi. W największym z otworów niegdyś musiała być zamontowana potężna dwuskrzydłowa brama, nie było po niej jednak ani śladu.

W okolicy znajdowały się same nieużytki, opuszczone baraki i kilka walących się kamieniczek. Żadnych zamieszkanym budynków, żadnych sklepów ani przedsiębiorstw. Kilkadziesiąt porzuconych, zapomnianych przez Boga hektarów, na których parę dekad temu temu kwitło życie.

Krajobraz niemal księżycowy.

W powietrzu unosił się smród z położonego po drugiej stronie ulicy zakładu przetwórstwa drobiu. To jedynie podkreślało morderczy klimat okolicy.

Deryło wysiadł z auta i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Niechętnie zgodził się na to, by to antyterrorysty pierwsi weszli do budynku. Razem ze swoimi ludźmi miał zabezpieczać tyły. Brzeski oraz posterunkowa Nowak nawet nie wysiedli z wozu, którym przyjechali. Najwidoczniej byli przekonani, że nie będą mieć tu nic do roboty.

Haler stanęła obok komisarza. Zerknęła w górę, obserwując nadlatujący nad rzeźnią helikopter. Pospiesznie zorganizowana akcja zyskała najwyższy priorytet i na jej potrzeby ściągnięto

najnowocześniejszy sprzęt. Ostatni zakup ministerstwa stanowił prawdziwy cud techniki. Kamery na podczerwień, czujniki substancji chemicznych, specjalny system wyciszający odgłos silników – to była tylko część gadżetów, o których wspomniano oficjalnie.

Deryło, zagryzając wargi, obserwował grupę antyterrorystów, zbliżającą się do największego z otworów wejściowych. Poruszali się w szyku, jeden za drugim. Druga grupa asekurowała ich z kilkudziesięciu metrów.

– Pechowe miejsce – mruknął komisarz. – Cholernie pechowe.

Haler zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Co masz na myśli?

– Kilka miesięcy temu też mieliśmy w tym gruzowisku trupa. Właściciela jednej z lubelskich galerii sztuki. Czy tam atelier...

Ostatnie słowo Deryło wymówił z wyraźną niechęcią.

– Coś chyba o tym słyszałam, akurat jak się przenosiłam do Lublina. Złapano sprawcę, prawda?

– Tak, jego kumpla malarza. Zawsze uważałem, że artyści to popieprzone środowisko, ale to była po prostu kretyńska zbrodnia. A na koniec jakiś pisarzyna wszystko opisał w książce. *Najszcześliwsza*, rozumiesz ten tytuł? – Komisarz lekceważąco machnął ręką.

– To ty prowadziłeś śledztwo? – dopytała Haler.

– Na szczęście nie. Byłem wtedy na zwolnieniu, ale słyszałem, że zrobił się straszny syf. Jedno wielkie gówno, do tego ze słabym materiałem dowodowym i masą wątpliwości.

– Wyrok?

– Dożywocie w pierwszej instancji. – Deryło klasnął. – Druga chyba jest jeszcze w toku. A żeby było ciekawiej, właśnie w tej okolicy hitlerowcy grupowali zwożonych ze wschodniej Polski Żydów. Potem *raus*, do getta.

Komisarz zamilkł słysząc szumienie zamontowanego w radiowozie odbiornika. Pospiesznie ominął drzwi i plasnął na

fotel. Przyciągnął nadajnik do ust w momencie, gdy głośniki ponownie zaszemrały.

– Schodzimy do poziomu minus jeden – zameldował dowódca antyterrorystów. – W powietrzu wyczuwalny jest smród dymu i zdaje się, że pochodzi właśnie z piwnicy.

– Zrozumiałem.

Deryło na migi pokazał Haler, że oddział uderzeniowy kieruje się na dół. Podkomisarz skinęła głową i odwróciła się w stronę dawnej rzeźni.

– Wejście i schody zabezpieczone.

– Meldujcie na bieżąco.

Zgodnie z pośpiesznie zdobytymi planami budynku na poziom poniżej gruntu prowadziła tylko jedna droga – wąskie schody w zachodniej części rzeźni. Podziemne korytarze musiały służyć jako skład sprzętów albo materiałów potrzebnych w procesie uboju. Innego ich zastosowania Deryło nie potrafił wymyślić. Tym bardziej, że znajdowały się tam jedynie dwa niewielkie pomieszczenia oraz łączący je wąski korytarz.

– Jest tu sporo dymu – odezwał się szorstko antyterrorysta. – Ale nie ma już śladu ognia. Zdaje się, że wszystko się dopaliło.

– Uważajcie. Ten gnój mógł nasaczyć podłogę benzyną.

– Poruszamy się powoli. Wchodzimy do pierwszego pomieszczenia.

Deryło rozmasował kark i wciągnął głęboko powietrze. Haler usiadła w fotelu obok niego. Delikatnie zatrzasnęła drzwi. Chwilę później na policyjnym paśmie ponownie rozległy się szумы.

– Widzę reflektor, krzesło i... Chwila. To chyba kajdanki.

Komisarz zacisnął pięści.

– Pomieszczenie jest puste. Powtarzam, pomieszczenie jest puste.

– Przyjąłem.

Antyterrorysta nagle odchrząknął.

– Boże...

Dokładnie o dwunastej pięćdziesiąt jeden Deryło wkroczył do niewielkiego pomieszczenia. Reszta jego ludzi została na zewnątrz, aby nie zatrzeć śladów i nie zabałaganić miejsca zbrodni. Antyterrorysty nie trafili w budynku na nikogo żywego, a ściągnięte psy nie zwietrzyły woni substancji wybuchowych. Materiał dowodowy zebrany w starym domu weselnym nie wystarczył też, by nakłonić je do pościgu za zabójcą. Prawdopodobnie ostra woń spalenizny i środków łatwopalnych stłumiła inne zapachy.

Dowódca antyterrorystów skinieniem wskazał, by komisarz szedł za nim. Mimo to Deryło zatrzymał się i uważnie obejrzał krzesło, do którego niedawno był przywiązany uprowadzony mężczyzna. Dziwnie się czuł w miejscu oglądanym przed godziną na ekranie laptopa. Mógł dokładnie odtworzyć kolejne ruchy porwanego i dotknąć tych samych rzeczy, które pamiętały jeszcze ciepło jego dotyku.

Przeniósł wzrok na leżące tuż obok rozpięte kajdanki. Miały nietypowy kształt i dziwne, masywne zapięcie.

– To zamek elektroniczny – wyjaśnił antyterrorysta. – Sami takich czasem używamy. Pozwala na rozpięcie z pewnej odległości.

– Albo o określonej godzinie?

– Przypuszczam, że i to da się zrobić.

Deryło się wyprostował i ruszył w głąb pomieszczenia. Na chwilę zatrzymał się przy instalacji, z której został wypuszczony gaz, ale nie zamierzał tracić przy niej czasu. Nie ona była najważniejsza. Tym bardziej, że z powietrza ulotnił się już jakikolwiek ślad użytej

substancji, choć kryminaliści pewnie mieli swoje metody na pobranie próbek.

Komisarz przeszedł wzdłuż obskurnej, pokrytej pleśnią ściany. Dokładnie tędy poruszał się usiłujący uciec mężczyzna. Deryło miał przed oczami to, jak biedak wyciągał przed siebie dłonie i starał się odnaleźć wyjście. Miał jedynie dwie możliwości.

Drogę, którą przyszli, i korytarz, którym – niestety – podążył.

Szczęście lub pech...

Antyterrorysta, jakby czytając w myślach Deryły, skinął głową w stronę korytarza.

– Gdyby poszedł w drugą stronę, wydostałby się na zewnątrz – mruknął. – Nic z tego nie rozumiem...

Komisarz jedynie machnął ręką.

– Daleko uciekł?

Nim skończył pytanie, wyczuł smród spalenizny. Spalonego ciała, skóry i włosów. Przytknął dłoń do nosa.

– Dobra... Nie musisz odpowiadać.

Ruch powietrza przywiódł jeden z najobrzydliwszych zapachów, jakie kiedykolwiek poczuł. Mdły, lepki odór dosłownie oblepiał mu krtań.

– Dlaczego on pobiegł akurat w tę stronę? – dopytywał antyterrorysta. – Jakby sam się pakował w ognisko...

Deryło nie zamierzał niczego tłumaczyć. Miał dość przesuwających się w tyle głowy wspomnień oglądanego nagrania. I towarzyszących mu odgłosów, które wryły mu się w pamięć.

Do większości zapachów człowiek potrafi się szybko przyzwyczaić, ale z pewnością nie należy do nich smród spalonych zwłok. Mimo że komisarz starał się jak najpłycej wciągać powietrze, zbierało mu się na mdłości. Miał wrażenie, że odór oblepił mu już żołądek. Jednak nie zamierzał czekać na kryminalistyków, którzy powinni mieć specjalne zapachowe maści, a już za żadne skarby nie pozwoliłby sobie na rezygnację z oględzin. Był jednym z tych gliniarzy starej szkoły, którzy działali zgodnie z zasadą, że tego, co się zobaczy na

własne oczy, nie można zastąpić nawet najlepszym nagraniem.

W tych okolicznościach ta myśl nabrała jeszcze głębszego znaczenia.

Deryło skręcił w ciemny korytarz. Nie rozstawiono w nim jeszcze żadnych lamp, jedyne światło wpadało z pomieszczenia, które zostawił z tyłu, i kilku świetlików przy suficie. Przeciwny kraniec tonął w zupełnej ciemności, ale o ile pamiętał, po kilkudziesięciu metrach kończył się ślepym zaułkiem.

Smród spalenizny wzrastał się z każdym krokiem. Nagle Deryło poczuł pod podszewkami specyficzną śliskość. Bez wątpienia stąpał po powierzchni, którą czymś polano. Zatrzymał się i klęknął na jedno kolano. Dotknął palcem podłoga.

– Piana gaśnicza – obojętnie stwierdził antyterrorysta.

– Jesteś pewny?

– Głowy za to nie dam, ale dychę mógłbym postawić. Kiedyś robiłem w straży pożarnej.

– Użył jej ktoś z naszych?

– W tym rzecz, że nie...

Deryło podniósł się i zacisnął usta. Nic nie trzymało się kupy. Najpierw zabójca natrudził się, żeby wzniecić ogień, a potem zajął się gaszeniem pożaru. Nim Deryło na dobre sformułował tę myśl, dowódca antyterrorystów chwycił go za ramię.

– Uważaj!

– Na co, do cholery?

Stanął jak wryty. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że u jego stóp leży powyginany, zwęglony szkielet człowieka. W półmroku omal na niego się nie wpackował. I nie to było najdziwniejsze.

Deryło oświetlił zwłoki podręczną latarką. Zwęglona sylwetka leżała na boku w pozycji embrionalnej. Podkulone nogi zdawały się splecione jak precelek, a ręce były przyciśnięte do piersi. Ciało zostało niemal całkowicie spalone, a z większości jego powierzchni odeszły płaty skóry. Przypominały kruszący się papier do pieczenia, który włożono do zbyt wysokiej temperatury. Spod ich zwojów wystawały fragmenty czarnego mięsa i osmolonych kości.

– Wiesz, jak pracownicy zakładów pogrzebowych nazywają ofiary pożarów? – Dowódca antyterrorystów stał kilkanaście metrów dalej i niemal krzyczał. Deryło nie odpowiedział, więc zaraz dodał: – Skwarki. Albo czarnuchy...

Komisarz nie zareagował. Od kilku minut niemal nie oddychał i wolał nie tracić tlenu na nerwowe, idiotyczne uśmiechy. Nadal uważnie przyglądał się zwłokom. O dziwo, w najlepszym stanie były adidasy zamordowanego. Tworzywo pomarszczyło się, niektóre szycia – spaliły, lecz na siłę można by ich używać dalej. Jedynie roztopione podeszwy wymagały solidnej naprawy.

Spodenki i koszulka mężczyzny niemalże całkowicie stopiły się z ciałem. Komisarz przypomniał sobie słowa zwyrodnialca o atestach przeciwpożarowych, ale dopiero teraz zrozumiał, co psychol miał na myśli. O ile w ogóle podobne zwłoki do trumien ubierało się w garnitury, to mężczyzna, który leżał przed nim, pod marynarką będzie miał sportowy T-shirt. Jego zarys zlał się ze zwęglonym ciałem, a strzępy tkaniny spłynęły między uwypuklone żebra. W niektórych miejscach płaty skóry całkowicie odeszły od kości. Gdyby spojrzeć pod odpowiednim kątem, zapewne zobaczyłby

mieszankę spalonych podrobów w klatce piersiowej zmarłego.

Na koniec Deryło przeniósł spojrzenie ku głowie. Przypominała główkę sałaty szczelnie pokrytej sadzą. Rozróżnienie rysów twarzy było niemożliwe, a w identyfikacji mogły pomóc jedynie błyszczące między resztkami policzków zęby. Gałki oczne ofiary zamieniły się w lepka, przypominającą asfalt papkę, nos pękł i spłynął w stronę ust, a sklepienie czaszki było doskonale łyse. Mimo że mężczyzna na nagraniu miał krótkie, ale gęste włosy, nie został po nich nawet ślad.

Najdziwniejsze Deryło wydało się jednak, że zwłoki mają delikatny, opalizujący odcień. Czern spalenizny skrzyła się, jakby oblano ją ropą albo pokryto lakierem. Piana gaśnicza nie dawała podobnego efektu. Poza tym już niemal całkowicie się rozpuściła.

Komisarz pochylił się i niemal dotknął czubkiem nosa zwęglonego ciała. Powoli wziął głęboki wdech, wciągając jego zapach. Gęsty odór natychmiast wywołał mdłości, lecz Deryło powstrzymał torsję. Odkaszlnął i jeszcze raz z najbliższej możliwej odległości powąchał zwłoki. Poza słodkawym aromatem benzyny wyczuwał coś jeszcze. Woń kojarzącą mu się z czystym powietrzem, lasem, drzewami... Nie mógł jej jednoznacznie zidentyfikować. Smród był zbyt mocny, aby mógł się skupić na jego rozdrabnianiu na nuty głowy, serca i głębi. Każda z nich cuchnęła przede wszystkim spalonymi podrobami.

Gwałtownie się podniósł i skierował do wyjścia. Przeliykał ślinę i starał się pohamować mdłości. Minał dowódcę antyterrorystów i pospiesznym krokiem przeszedł przez pomieszczenie, w którym więziono zamordowanego. Technicy już rozstawiali w nim swoje sprzęty.

Deryło skinął im głową, po czym wciąż wstrzymując powietrze, wypadł na główny korytarz. Dopiero na schodach złapał oddech. Łapczywie, ustami, jak człowiek uratowany od utopienia. Mimo to w nozdrzach i gardle wciąż czuł spaleniznę. Jej aromat oblepił mu wnętrze ust oraz język.

Odchrząknął.

Marzył o wypluciu zebranej w ustach śliny, lecz cały budynek stanowił miejsce zbrodni. Choć zasadnicze prace kryminalistów powinny ograniczyć się do piwnic, wiedział, że zbadany zostanie znacznie większy obszar. A lepiej, aby laboratorium nie straciło paru dni na badanie próbek jego płwociny.

Pospiesznie ruszył w górę schodów. Z daleka zobaczył, że przed zarysem dawnej bramy wjazdowej krążył już tłum funkcjonariuszy. Słyszał szczekanie psów i ryk silników helikopterów. Czerwono-biała taśma została naklejona na wszystkich wejściach. Pod jedną z nich właśnie przemknęła Haler. Pomachała do niego i nerwowo założyła za uszy niesfornie wymykające się spod gumki kosmyki włosów. Jej szybkie kroki niosły się echem po pustym wnętrzu.

– Już wiesz? – zapytała, gdy zbliżyli się na kilka metrów.

– Wiem co?

– Znalaziono sportowy pas biodrowy z saszetką. Były w niej telefon, parę złotych i dowód. Jeżeli facet z nagrania nie miał brata bliźniaka, to go zidentyfikowaliśmy.

– Myślisz, że gdyby ViSir nie włamał się do systemu kamer, ten człowiek by przeżył?

Pytanie Haler przerwało ciszę panującą od kilku minut w nieoznakowanym policyjnym oplotu. Deryło przygryzł wargę i podświadomie przyspieszył. Nerwowo lawirował między kolejnymi autami. Skierowany na jego twarz nawiew pracował pełną parą, a i tak nie był w stanie przegnać fetoru spalenizny.

– To ty jesteś psychologiem – mruknął po chwili. – Ja mogę nie wierzyć, że zaryzykowałby w taki sposób, ale naukowe wywody chciałbym usłyszeć od ciebie.

Przy kolejnych manewrach komisarza Haler zapierała się stopami o wycieraczkę. Wreszcie przymknęła oczy i starała się rozluźnić.

– Gdy zszedłeś do piwnicy, odsłuchałam fragment rozmowy, który nagrali informatycy.

– I?

– Mam wrażenie, że on naprawdę traktuje to jako grę w szczęście. A reguły stosuje również do siebie. Trudno mi wyjaśnić dlaczego, ale właśnie w tym tkwi *idée fixe* zabójcy i dzięki temu mamy szansę go dorwać.

– Na razie prysnął nam dosłownie sprzed nosa.

– „Wiem, że może się to panu udać. Ale jeszcze nie teraz. Szczęście lub pech. Życie lub śmierć” – zacytowała Haler, naśladowując elektroniczny głos. – Dokładnie tak powiedział.

Deryło na moment oderwał wzrok od drogi i łypnął na podwładną.

– Uczysz się tych kwestii na pamięć czy masz jakiś defekt mózgu,

który pozwala ci wszystko zapamiętywać? Słyszałem o autystykach z takimi zdolnościami.

Podkomisarz uśmiechnęła się ponuro.

– „Szczęście tego człowieka będzie zależało od innych” – zacytowała ponownie. – On to wszystko dokładnie zaplanował. Wiedział, że będziemy analizowali każde jego słowo. Tłumaczył ci reguły gry, choć nie mogłeś mieć o tym pojęcia.

– Dawał mi szansę, żebym powstrzymał informatyków przed namierzaniem kamery?

– Być może.

Deryło zabębnił palcami o kierownicę. Zerknął na ekran nawigacji i gwałtownie zmienił pas.

– Nie mogłeś tego wiedzieć ani się domyślić – ciągnęła Haler. – Nikt nie byłby w stanie. Ten świr zachowywał się jak osoba wygrywająca palcem rytm piosenki. Może rozpoznać ją tylko ona jedna, bo poza rytmem zna jeszcze melodię.

– Jakoś wcale mnie to nie pociesza. Gnój rechotał i bawił się ze mną jak z dzieckiem.

– Zrobił to z nami wszystkimi.

Komisarz odchrząknął. Posmak spalenizny się nasilił, a ślina przypominała ciekły węgiel wyssany z gnijącego trupa. Miał wrażenie, że jego ubranie przesiąkło odorem. Podejrzewał, że ze skóry nie zmyje go nawet w trakcie kilkugodzinnej kąpieli i szorowania się wybielaczem.

– Ani w jednym, ani w drugim przypadku ofiary nie zostały zabite bezpośrednio przez tego świra – odezwał się po chwili. – Ale nie można powiedzieć, że dał im wybór.

– Nikt nie może wybrać, czy będzie miał w życiu szczęście.

– A w ogóle istnieją pechowcy albo szczęśliwcy? Rodząc się, nie mamy wypisanego na gębach radosnego uśmiešku albo ponurej miny. Wszyscy, bez względu na płeć, kolor czy rozmiary, tak samo ryczymy. Zwierzęta również.

– Zgadza się, ale on przedstawił to nieco inaczej.

Deryło parsknął zrezygowany.

– Tak, wiem – ironicznie pokręcił głową. – W końcu jest Mistrzem Gry, no nie?

Edyta Witt była zgrabną, wysoką blondynką. Miała zebrane w kitkę włosy i podciągnięte do łokci rękawy sięgającej do kostek kwiecistej sukienki. Od razu było widać, że oderwano ją od prac domowych. Poza tym, kiedy tylko otworzyła drzwi domu, rozniósł się przyjemny zapach gotowanego obiadu.

Deryło i Haler przedstawili się, po czym pokazali legitymacje. Kobieta obrzuciła ich zaniepokojonym spojrzeniem. Była to reakcja, do której każdy policjant przyzwyczajał się w ciągu pierwszych miesięcy służby, lecz rzadko kiedy uzasadniona tak bardzo, jak teraz.

Komisarz założył dłonie za plecy. Zdawało mu się, że po samym bijącym od niego smrodzie Witt wywnioskuje, co się stało. A za wszelką cenę nie powinni zaczynać rozmowy od tego. Tym bardziej, że wciąż poruszali się w świecie domysłów i niedopowiedzeń. Szafowanie podejrzeniami na temat czyjejs śmierci nie było najlepszym sposobem prowadzenia żadnych czynności śledczych.

– Czy pani mąż jest w domu? – zapytał formalnym tonem.

Kobieta zareagowała całkowicie typowo. Nerwowo przegładziła sukienkę i odpowiedziała własnymi pytaniami.

– Co się stało? Czego od niego chcecie?

– Proszę powiedzieć, czy jest w domu.

– Nie... Wyszedł jakiś czas temu pobiegać, ale...

– Jak dawno temu?

Witt wzruszyła ramionami. Potarła dłonią podbródek i przeniosła wzrok z Deryły na Halera.

– Jakieś trzy godziny, może nieco więcej – odparła po chwili. – Ale

po bieganiu często zachodzi na kawę do znajomych albo na stację benzynową. Powinien być lada moment.

– Czy to jego pas do biegania i saszetka? – Deryło wyciągnął zza pleców przezroczystą torebkę dowodową. – Proszę odpowiedzieć.

Do oczu kobiety nabiegły łzy. Bezwiednie pokręciła głową i cofnęła się do holu.

– Co mu się stało? Mówcie, do diabła! Co mu się stało?!

Komisarz ciężko westchnął. Ponownie schował za plecami torebkę i zrobił krok w stronę Edyty.

– Podejrzewamy, że pani mąż może mieć związek z przestępstwem. Ale nie chciałbym o tym rozmawiać w progę...

Pięć minut później siedzieli przy prostokątnym białym stole w kuchni domu Wittów. Było to przestronne pomieszczenie z jasnymi meblami oraz wielką kanapą z kwiecistą tapicerką. Różany deseń przypominał ten z sukienki Edyty Witt. Kobieta dwukrotnie zaglądała do sypialni, w której spało kilkumiesięczne dziecko. Jej zachowanie było bardzo typowe. Zatroskani ludzie z jednej strony chcieli jak najszybciej uzyskać informacje, a z drugiej – lęk przed prawdą kazał im szukać jak najwięcej wymówek, by odkładać jej poznanie w czasie.

– Po pierwsze, muszę panią zapewnić, że staramy się rozeznaczyć w sytuacji. Jeszcze nie mamy żadnych konkretnych przesłanek, żeby sądzić...

– Co się stało? – zapytała z naciskiem Witt. Nić kobiecego porozumienia kazała jej szukać pomocy u Haler.

Podkomisarz wytrzymała jej świdrujące spojrzenie.

– Znaleźliśmy rzeczy pani męża na miejscu przestępstwa. – Celowo uniknęła słowa „zbrodnia”. – Poza tym niczego jeszcze nie wiemy na pewno.

– Co to za przestępstwo?

– Nie możemy, niestety, o tym mówić. Ale mogłaby nam pani bardzo pomóc. Być może nie ma najdrobniejszych powodów do niepokoju...

Z piętra dobiegły tony psychodelicznej muzyki. Elektroniczne dźwięki przywołały Haler wspomnienie upiornego głosu zabójcy.

– Przepraszam, mój syn...

Witt urwała i położyła dłonie na blacie stołu. Wbiła w nie martwe spojrzenie. Nagle się poderwała i wyciągnęła z kieszonki sukni telefon. Przez chwilę jej twarz rozświetlał płomyk nadziei.

– Zadzwoń do męża – niemal pisnęła. – Przepraszam państwa, zaraz...

Deryło bez słowa sięgnął po worek dowodowy i przez folię rozchylił saszetkę. W środku znajdował się telefon komórkowy. Kobieta nerwowo zacisnęła usta. Z powrotem usiadła i spłótła dłonie na piersi. Nadzieja zamieniła się w rozpacz.

– Proszę mi powiedzieć, czy mąż wspominał, by coś go ostatnio niepokoiło? – zapytała Haler.

Witt z nerwowym uśmiechem pokręciła głową.

– Nie. Co niby miałyby go niepokoić?

– Proszę się zastanowić. Czy nie wspominał o czymś nietypowym? Nie pokłócił się z kimś podczas zakupów, w szpitalu, cokolwiek...

– Boże... – Usta Witt zadrżały. – Coś mu się stało? Proszę mi natychmiast powiedzieć!

– Spokojnie. – Haler porozumiewawczo dotknęła dłoni kobiety. – Jak wspominaliśmy, jeszcze niczego nie wiemy, a pani może nam bardzo pomóc... Proszę spokojnie pomyśleć.

– Mariusz nie jest konfliktowy.

– Rozumiem, ale może jednak...

– To człowiek, który wszystko obraca w żart – ciągnęła Witt. – Nie potrafi nawet porządnie ochrzanić własnego syna. Jeżeli ktoś zębrze, a on nie ma przy sobie gotówki, pójdzie do bankomatu i wróci z datkiem. Nie ma wrogów. Nawet po sprawach sądowych ci pieniacze, którzy go pozywali, podawali mu rękę.

– Po sprawach sądowych? – dopytał komisarz.

– O błędy w sztuce lekarskiej. – Witt niedbale machnęła ręką. – Przez ostatni rok miał dwie, ale obie wygrał. Ludzie, którzy go

pozwal, w końcu przekonywali się, że nie popełnił żadnego cholernego błędu. A on ich na korytarzu sądowym jeszcze przeproszał!

Deryło i Haler wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Sprawdzisz każdego z tych ludzi. Ich rodziny, bliskich i dalszych znajomych. – Deryło podał Haler kartkę z nazwiskami. – Skoro pozywali Witta, mogli mieć do niego jakieś większe pretensje.

– Gdyby z tej perspektywy oceniać wszystkich lekarzy...

– Nie wszystkich. Nie chodzi zresztą o lekarza, a o świrniętego pacjenta, który mógł się trafić każdemu.

Podkomisarz nakreśliła w powietrzu cudzysłów.

– Pechowego pacjenta.

– Kwestia perspektywy.

Deryło uruchomił silnik i jeszcze raz zerknął w okna domu Wittów. Czuł się parszywie. Do końca nawet słowem ani on, ani Haler nie wspomnieli, z jaką sprawą wiążą lekarza. Dowiedzieli się o nim wielu nieistotnych rzeczy, doprowadzili jego żonę na skraj obłądu, po czym taktownie wyszli. A raczej wymknęli się pod naciskiem pełnego rozpaczony spojrzenia. Żadne z nich nie miało odwagi poruszyć sedna sprawy. Nie stanowiło to, co prawda, ich obowiązku, jednak komisarz wiedział, że oszukiwanie się, że przed trzema godzinami wpadł na zwłoki kogoś innego, byłoby naiwne. Tak samo naiwne, jak opóźnianie przez rozpytywane rodziny uzyskania odpowiedzi na pytanie, co do diabła w ich domu robią gliniarze.

Jednak dziecięca kołyska przeważała. Deryło nie mógł pozbawić nadziei kobiety, która miała na głowie popłakujące co chwilę dziecko. Powinna mieć ją tak długo, jak długo będą ku temu przesłanki. Być może Witt uciekł. Być może wszystko było tylko ukartowane, a ojciec dziewczynki lada moment wróci do domu

i uściska rodzinę. Może nawet jego dojrzewający syn zwlecze się z góry, ściszy muzykę i poklepie go serdecznie po plecach.

Identyfikacja potrwa.

Tylko tyle mógł im podarować Deryło.

Nadzieję.

Metoda odontoskopijna była czasochłonna, ale przynajmniej dawała pewność. Mało kto zdaje sobie sprawę, że jama ustna ma około dwóch i pół miliarda charakterystycznych cech. Nawet po wypaleniu policzków, zwęgleniu języka, dziąseł i podniebienia zostają zęby. A te stanowią jeden z najbardziej odpornych na zniszczenie ludzkich narządów. Potrafią wytrzymać ogromne siły nacisku, rozciągania i ciśnienia. Nawet w temperaturze półtora tysiąca stopni zachowują swoje właściwości i stanowią doskonały materiał do pobrania DNA.

Nie należało zabierać nadziei matce z maleńkim dzieckiem. Jeszcze nie.

– Halo? Eryk? Ziemia do Eryka...

Deryło drgnął. Zamrugnął i oderwał wzrok od domu Wittów. Zerknął na Haler, ponuro się uśmiechnął, po czym uruchomił silnik. Powoli ruszył w stronę głównej drogi.

– Niech ktoś sprawdzi trasę, którą biegł ten lekarz – mruknął. – Skoro jego żona zapewnia, że raczej jej nie zmieniał, to powinno się udać ustalić potencjalne miejsca, w których mógł zostać porwany.

– Coś jeszcze?

– Ciągle męczy mnie pytanie, dlaczego wiadomość do mnie trafiła na skrzynkę akurat tej dziennikarki. Przecież sukinsyn mógł od razu zadzwonić, tak jak zrobił to, kiedy odczytałem mail.

Haler zapięła pas i przytknęła dłonie do skroni. Powoli je rozmasowywała.

– Może jest jedną z tych osób, które według Mistrza Gry – oderwane na moment od głowy dłonie znów nakreśliły cudzysłów – są widzami, którzy biorą w niej udział. Mają siac zamęt i rozmywać śledztwo...

– Myślałem o tym. – Deryło z piskiem opon wyjechał na drogę krajową i skierował się ku zjazdowi na obwodnicę. – I wiem, że nie ma przesłanek, aby przydzielić jej ochronę, ale musi być ostrożna. Jakiś patrol powinien się kręcić pod jej domem.

– Załatwię to.

– Poza tym – komisarz ciągnął szorstkim tonem – skoro mieliśmy Nemesis, możemy mieć Bellerofonta.

Haler spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Chyba mnie zagiąłeś. Ponoć jestem inteligentna, ale jeśli chodzi o mitologię, to mam spore braki.

– To osoba, która przekazuje złe wieści. Miał doręczyć list od Projtosa do króla Licji, Jobatesa, ale...

Komisarz zawiesił głos.

– Co: ale?

– Ale w tym liście Projtos nakazywał zabicie doręczyciela.

Za kwadrans dwudziesta Deryło wyłączył silnik citroena i sięgnął po kubek kawy. Od dwóch godzin bezmyślnie krążył po mieście, starając się posklejać fakty. Zamordowany lekarz, zamordowana pracownica wydziału egzekucji jednego z banków, pośrednicząca w wymianie maili dziennikarka. Wreszcie wiadomość o tym, że i on został wciągnięty do wymyślonej przez pomyleńca gry. I że wpisuje się w jakiś chory kontekst.

Upił łyk gorącej kawy. Lura ze stacji benzynowej nie była w stanie pobudzić komórek mózgowych do szybszej pracy.

Komisarz czujnie obserwował dwupiętrowy, przeszklony budynek. Mimo że na dworze nie zapadł jeszcze zmrok, w niektórych gabinetach biurowca paliło się światło. Za oknami przemykały cienie.

Nagle drzwi się otworzyły i ze środka w towarzystwie krępego, siwego mężczyzny wyszła Natalia Lec. Przez kilka minut rozmawiali obok wejścia. Wreszcie pomachali do siebie i dziennikarka skierowała się w stronę parkingu.

Deryło niespiesznie wyszedł z samochodu. Był ciepły wieczór, a mimo popołudniowego prysznica wciąż miał wrażenie, że jego pot ma zapach spalenizny. Przynajmniej kilka wypitych kaw zabiło jej obrzydliwy posmak.

Komisarz przecisnął się między zaparkowanymi tuż obok siebie autami i znalazł się przed dziennikarką. Obrzuciła go zaskoczonym spojrzeniem. Po chwili sięgnęła do kieszeni i zabrzczała kluczykami. Szybko odzyskała rezon. Zatrzymała się tuż obok Deryły, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

– Dziękuję za tortury zafundowane po pańskiej chwalebnej akcji w tamtej ruderze. – Wygięła usta w drapieżnym uśmiechu. – Powstał już z tego niezły materiał.

– Niech się pani cieszy, że nie trafiła za kraty.

– Wtedy materiał byłby dwa razy dłuższy.

Deryło w duszy podziękował Bogu, że do mediów jeszcze nie wypłynęła sprawa morderstwa sprzed paru godzin. Śledczy postanowili je utrzymać w tajemnicy przynajmniej do następnego ranka. Choć działania policji na terenie dawnej rzeźni przyciągnęły uwagę gapiów, a na portalach internetowych pojawiły się rozmaite domysły, formalnie nie wydano żadnego komunikatu.

Lec odgarnęła włosy. Wciąż uśmiechała się sarkastycznie, lecz komisarz wyczuwał w jej zachowaniu zdenerwowanie. A może nawet strach.

– Stałam się pośredniczką między panem a jakimś świrem? – zapytała. – O to w tym chodzi?

– Poinformowano panią, że skrzynka mailowa pozostaje pod obserwacją policyjnych informatyków.

– Spokojnie, nie wymieniam przez nią zboczonych maili.

– A niezбочzone? – Deryło zrobił krok w stronę dziennikarki. – Hm? Zastanawia mnie, czym pani przyciągnęła uwagę tego gnoja.

– Chce mnie pan obwinić? Że to ze mną jest niby coś nie tak?

– Musiała go pani czymś sprowokować. I myślę, że doskonale zdaje sobie pani sprawę czym.

Lec przewróciła oczami.

– Źle pan myśli – mruknęła, obchodząc Deryłę. – Proszę dać mi spokój.

Komisarz nieustępliwie ruszył za nią.

– Może pani kolega, który mówił o grze w szczęście, trafił na jakiś trop?

– Nie sądzę.

– Moi ludzie właśnie przeglądają wszystkie wasze artykuły. Odpadłoby im dużo roboty, może nawet poszliby dziś spać, gdyby

się pani nad tym zastanowiła. Dla swojego dobra.

– Grozi mi pan? Czy bierze mnie pan na litość? – Lec zatrzymała się przy sportowym motocyklu. Sięgnęła po przytwierdzony do siedzenia kask. – Jestem dużą dziewczynką i potrafię się zająć swoimi sprawami.

– To nie ja pani grożę. Chcę tylko ustalić, gdzie pani kolega mógł usłyszeć o grze w szczęście.

– Powiedziałam już, że nie mam pojęcia.

Deryło włożył dłonie do kieszeni i obrócił srebrną monetą. Dziennikarka rezolutnie wsiadła na motocykl. Założyła kask, po czym odwróciła się w stronę komisarza.

– Wie pan co? – zmierzyła go zimnym spojrzeniem. – Sądzę, że Kuba, poniewierając się po szpitalach, miał dość czasu, żeby nasłuchać się od umierających o szczęściu i pechu. Miał wrażenie, że śmierć zawsze mu towarzyszy. Był w Afganistanie, Iraku i na Krymie. Choć pewnie już to pan ustalił. Może stał się tym, kim się stał, przez robotę, a może to robotę wybrał, bo pozwalała mu obcować ze śmiercią. – Lec urwała i przekręciła kluczyk. Silnik motocykla drapieźnie zabulgotał. – Wierzy pan w przeznaczenie, gwiazdy i całe to gównno?

Deryło wypuścił z dłoni sesterce.

– Chyba nie – odparł bez przekonania.

– Ja też nie. Ale Kuba wierzył. Tak samo jak w to, że ludziom jest pisane szczęście lub pech.

Cisza nigdy nie była tak dojmująca jak przez ostatnie miesiące. Mimo to Deryło rzadko miał ochotę przerywać ją muzyką. Haendel, Lully, Brahms, Mozart – żaden z nich nie potrafił dać mu ukojenia. Dawniej wsłuchiwał się w ich utwory i odpływał w świat, w którym potrafił zebrać myśli. Teraz miał wrażenie, że jest zwyczajnie głupi. Nie potrafił połączyć faktów, nie potrafił odnaleźć wskazówek, nawet prowadzenie śledztwa go przytłaczało.

Haler stanowiła jego wymówkę. Czuł, że może zaufać jej decyzjom i pomysłom. Nie powinien jednak bez przerwy się nią wysługiwać. Choć w sumie mógłby pójść na emeryturę i zostawić jej ten cholerny grajdoł.

Marzenia.

Tylko dzięki robocie jeszcze jakoś funkcjonował i doskonale o tym wiedział.

Przez całe popołudnie podkomisarz sprawdzała informacje na temat Jakuba Bończyka, a kiedy wieczorem streściła mu je przez telefon, poczuł rozczarowanie. Nadal nie widział żadnego związku między osobami, które powinny stanowić gwiazdy toczącego się śledztwa.

Nadpobudliwy dziennikarz, mimo że dożył niespełna czterdziestu lat, biografią mógłby obdarzyć całą redakcję. Pisał reportaż z najbardziej niebezpiecznych miejsc. Afganistan i Irak były w jego karierze tylko epizodami.

Bończyk drążył temat współczesnych piratów, przez kilka miesięcy mieszkał w Somalii, potem przeniósł się do Ameryki Południowej, gdzie obserwował proces rozbrojenia partyzantów

z FARC. Parę miesięcy później był w Korei Południowej, która stała na progu wojny z reżimem Kima, następnie na Filipinach, w Kaszmirze, Sudanie, Wenezueli...

W każdym z tych miejsc utrzymywał się z prac dorywczych. Nie stronił od pracy fizycznej, bo jego reportaże i relacje prasowe nie pozwalały na stabilne życie. Był potwornie niszowy. Albo nie potrafił się przebić, albo miał straszego pecha.

Szczęście lub pech.

Życie lub śmierć.

Nawet otrzymana od międzynarodowego gremium nagroda nie rozkręciła kariery Bończyka. Zdawało się, że był bardziej popularny za granicą niż w Polsce, a mimo to regularnie wracał. Wtedy wpadał w wir pracy i, jak na froncie, zajmował się problemami społecznymi na rodzimym podwórku. Przemoc domowa, prawa kobiet, standardy opieki zdrowotnej. Każdy z tych tematów mógł mu przysporzyć wrogów, ale Haler nie trafiła na żaden ślad gry w szczęście.

Posterunkowa Nowak przez wiele godzin wertowała artykuły Bończyka, a jej wnikliwość i staranność nie budziły żadnych wątpliwości. Gdyby gdziekolwiek istniała wzmianka o grze, na pewno by ją znalazła.

Jednak do tej pory rezultaty kwerendy były rozczarowujące. Jedyne, i to dość mocno naciągane, związki ze sprawą mógł mieć artykuł sprzed czterech lat dotyczący koreańskiej gry *yut*. Deryło przerwał Haler po tym, jak przez parę minut starała się mu wytłumaczyć jej zasady. Z kultury azjatyckiej był w stanie zrozumieć tylko metodę składania origami i sens pielęgnowania bonsai. Ewentualnie zamiłowanie do wiśni. Ale obecnie jego mózg nie był w stanie przyswoić żadnej nowej wiedzy. Poza tym zwiątek koreańskiej gry z obsesją zabójcy wydawał się całkowicie abstrakcyjny.

A może jednak...

Deryło potarł twarz dłońmi i odsunął od siebie laptop. Raport,

nad którym ślęczał od dwóch godzin, miał jedynie kilka akapitów. Komisarz ugrzązł w stercie pustosłowia i domysłów. Przynajmniej Knap dał sobie spokój z ingerowaniem w śledztwo. Po początkowym zainteresowaniu spuścił na nie zasłonę milczenia. Albo ufał Deryle, albo – w przeciwieństwie do niego – uznał, że przed odejściem na emeryturę lepiej się nie tykać gównianych spraw. Łatwego i hucznego sukcesu, jak najbardziej. Ale dwa trupy w krótkim czasie nie były ani sukcesem, ani szybkiego sukcesu nie rokowały.

Komisarz zerknął na stojące na biurku zdjęcie. Oprawione w secesyjną, metalową ramkę przypomniało mu o wakacjach spędzonych jakieś dwadzieścia lat temu w Hiszpanii. Ewa, jego żona, stała obok usadowionej na zabawkowym byku trzylatki. Obie były roześmiane, nadciągał upalny wieczór, a morska bryza niosła przyjemne zapachy z hotelowych restauracji.

Zamiast nich wciąż czuł smród spalenizny.

Dawno nie patrzył na tę fotografię. Zazwyczaj bezmyślnie przemykał po niej wzrokiem, a spojrzenie skupiał dopiero na ścianie, laptopie lub dokumentach. Za każdym razem, gdy przywoływał wspomnienie żony, zamiast jej czułego uśmiechu widział napuchniętą, obandażowaną twarz. Zapadnięte usta, poranione policzki i tonące w czaszce oczy. Zamiast ciepłego głosu Ewy słyszał charkot i kakofonię aparatury medycznej.

Haydn, Lully i reszta nie potrafili zagłuszyć wspomnienia tych przerażających dźwięków.

Deryło chwycił ramkę i delikatnie ją położył. Nie miał odwagi schować jej do szuflady, ale nie miał też siły za każdym razem spuszczać wzroku. Odchylił się w fotelu i na oślep sięgnął po kwadratową kartkę papieru. Po chwili jego palce już uwijały się w automatycznym tańcu, składając żurawia origami. Być może kiedyś wierzył, że gdy zrobi ich tysiąc, jakiś dobry duch klepnie go w ramię i dzięki temu będzie szczęśliwy. A przynajmniej zdoła się uwolnić od idiotycznego natręctwa. Teraz już nie wierzył

w szczęście.

Cholerna kradziona ciężarówka na fałszywych tablicach odebrała mu marzenie o radosnej emeryturze w otoczeniu roześmianej rodziny. Kierowca prawdopodobnie jechał po przemycany towar, ale to były jedynie domysły. Zbiegł z miejsca wypadku i nigdy go nie ujęto. Deryło niemal każdego dnia starał się przypomnieć sobie jego twarz, ale nie potrafił. Widział ją przez ułamek sekundy z kilkudziesięciu metrów.

Szlag...

Żuraw wylądował w śmietniku, a przed oczami komisarza stanęło wspomnienie oddziału ratunkowego i opuszczonej nagle rolety w szybie dzielącej salę od korytarza. Deryło zamknął oczy. Przelykając ślinę, otarł spływającą po policzku łzę. Ciszę znów wypełnił harmider szpitalnej elektroniki.

Brzeski obudził się skoro świt. Odkąd jego żona zaszła w ciążę, sypiał płytko i krótko. Nie miał pojęcia, czy to przez radość, zakłopotanie, niepewność, czy podświadomy strach, ale nawet po środkach nasennych budził się koło czwartej. Potem przez godzinę lub dwie wiercił się w łóżku, starając się nie obudzić Alicji. Tym razem wytrzymał prawie do szóstej i zniechęcony wstał dwadzieścia minut przed nastawionym budzikiem.

Być może perspektywa ojcostwa go przerażała. Nie przeczył temu ani nie uważał tego za coś niezwykłego. Tak diametralna zmiana w życiu musiała budzić emocje. Przerazenie to wielkie słowo, lecz niepokój chyba nie odpowiadał prawdzie. Człowiek, który się jedynie niepokoi, może spać. Nie myśli obsesyjnie o przyszłości i nie roztrząsa każdego jej aspektu.

Zakup łóżeczka, ubranek, całej wyprawki.

Zaaranżowanie pokoju dla dziecka.

Zorganizowanie opieki szpitalnej, zdobycie dojścia do najlepszych położnych.

Lista zadań była naprawdę długa, a Brzeski miał nieodparte wrażenie, że odhaczając kolejne pozycje, zwyczajnie zapesza. Jeszcze tak wiele mogło pójść nie po ich myśli. Jeszcze nie wiedział, czy wybrać niebieską, czy różową farbę. Jeszcze...

Wypił szklankę wody z cytryną i cukrem. Ta mieszanka stawiała go na nogi lepiej niż kawa albo energetyki. Ponownie nalał wody i łyżeczką rozgniół plaster cytryny. Zamieszał.

Wydawało mu się, że słyszy jakiś odgłos dobiegający spod drzwi wejściowych. Ciche szuranie lub świst. Jakby poruszał nimi

przeciąg.

Odstawił szklanę i szybko przeszedł do przedpokoju. Drzwi były zamknięte, a zasuwą założoną. Starając się poruszać bezgłośnie, wyrzwał przez wizjer na korytarz. Klatka schodowa tonęła w porannym żółtym świetle, ale nie było na niej nikogo. Zaczepnął powietrza i poruszył głową. Powoli. W lewo i w prawo. A potem w górę i w dół, rozciągając do oporu zdrętwiałe mięśnie.

Przez poranne niewysypianie mógł nabawić się omamów. Facet z omamami to słaby materiał na ojca, więc dobrze by było, gdyby się wziął za siebie. Połówkę tabletki nasennej lepiej zamienić na całą. Przez parę miesięcy wątroba nie powinna się na to obrazić.

O tak, postanowił, że będzie brał całą tabletkę.

Ta myśl wprowadziła go w nieco lepszy nastrój. Kwadrans później cicho zamknął drzwi i zjechał windą na dół. Sklep mieszczący się pięćdziesiąt metrów od wejścia do bloku otwierano o szóstej trzydzięci. Był wybawieniem, bo codziennie sprzedawano w nim świeże, wypiekane na miejscu pieczywo. W dobie gumowych chlebów, napowietrzonych bułek i sztucznych chałek niezła jakość wystarczyła by przyciągnąć tłum klientów. Już po szóstej przed sklepem zaczynała się ustawiać kolejka emerytów, do których stopniowo dołączali następni stali bywalcy. Regularny wypiek trwał do siódmej rano, a o ósmej po pieczywie nie było już śladu. Nie robiono żadnych następnych partii. Choć biznesowo wydawało się to nielogiczne, polityka właścicieli od lat pozostawała niezmienna.

Brzeski pokornie stanął na końcu kolejki i podciągnął mankiety koszuli. Mimo wczesnej pory było parno. Zapowiadał się potwornie gorący i ohydnie duszny dzień.

Jego uwagę zwróciły dwie studentki, które z pewnością nie wstały rano, a zahaczyły o sklep po całonocnej imprezie. Miały podkrążone oczy i zalatywało od nich papierosami oraz alkoholem. Jedna miała długie, czarne włosy, które podkreślały jej hardrockowy styl, a druga, dla kontrastu, była ścięta niemal na jeża. Dłuższe, rude

kędziorki miała jedynie nad prawym uchem, lecz one też sięgały ledwie za ucho.

Dziewczyny na przemian gapiły się w telefony i wymieniały krótkimi uwagami. Na początku Brzeski starał się nie słuchać, lecz nie był w stanie zagłuszyć myślami coraz głośniejszej rozmowy.

– Patrz, ale jazda... – Brunetka podstawiała komórkę niemal pod nos koleżanki. – Dasz wiarę, że to prawda?

– Raczej typowy fejk. – Ruda wzruszyła ramionami. – Tak jak ten materiał o..., o... Nie pamiętam.

– Ktoś miał naprawdę zryty łeb.

– Był taki film, do którego zrobiono całą kampanię reklamową.

– Zazwyczaj do filmów robi się kampanie reklamowe.

– Nie rób ze mnie idiotki.

Ruda odepchnęła koleżankę, a ta, rechocąc ze śmiechu, pociągnęła ją za loczek.

– Jesteś napruta.

– A ty napruty jak messerschmitt.

– To ty chlałaś dzin na przemian z rumem i przepijałaś wódką.

– I chyba słusznie? Tata zawsze powtarzał, żeby procentów nie zapijać niczym gazowanym.

Wymiana zdań nabrała tempa, a kuksańce dziewczyn stały się coraz intensywniejsze. W pewnym momencie brunetka zachwiała się i wypuściła telefon. Brzeskiemu udało się zamortyzować jego upadek skórzanym butem.

Schylił się i przy akompaniamencie zawstydzonych śmiechów dziewczyn podniósł komórkę.

– Uważajcie...

Kątem oka zerknął na podświetlony ekran. W ułamku sekundy całkowicie się rozbudził, a krew zaszumiała mu w głowie.

Deryło uchylił drzwi do pokoju córki. Powiódł wzrokiem po dwóch fotelach, łóżku, damskim sekretarzyku pełnym nalepek pamiętających jej dzieciństwo i uginającej się od książek bibliotecze. Odkąd pamiętał, Wiktoria dosłownie połykała kolejne lektury. Na pierwszy front, gdy tylko nauczyła się czytać, poszli Tuwim, Brzechwa, Andersen. W wieku dwunastu lat zachwycała się Tołstojem, a niewiele później Proustem i Mannem. Jedynie na podsuwane przez ojca filozoficzne rozważania Kanta, Schopenhauera czy choćby Fromma reagowała niechęcią. Niezmiennie były to dla niej totalne bzdury.

Deryło był pewny, że w dniu, w którym Wiktoria ostatecznie podjęła decyzję o wyjeździe na studia do Mediolanu, przeżył mikrozawał. Odwodził ją od tego pomysłu niby jedynie śmiechem, żartem, ale w rzeczywistości nie wyobrażał sobie rozłąki. O dziwo, Ewa plan córki przyjęła z euforią. Według niej zagraniczne uniwersytety zapewniały lepszy start w dorosłe życie, kontakty i dobry punkt wyjściowy do kariery.

– Na te polskie przynajmniej płacimy podatki – przebąkiwał komisarz. – Poza tym architektura na Politechnice Warszawskiej ma naprawdę dobry poziom. A do tego ściągają wielu wykładowców z zagranicy. Nawet z Włoch.

Po raz pierwszy żałował, że Wiktoria odziedziczyła po nim charakter. Skoro oficjalnie obwieściła swoje plany, już z czystej przekory nie zamierzała się z nich wycofać. I choć pożegnanie na Okęciu było długie i łzawe, wydawało się, że podjęła słuszną decyzję.

Przylatywała w odwiedziny rzadko, ale starała się zawsze wygospodarować jak najwięcej czasu. Oczywiście Deryle było go zawsze zbyt mało.

Komisarz zbliżył się do łóżka córki i nachylił się nad nią. Spała kamiennym snem, obrócona na bok, z włosami zarzuconymi na twarz. Mimo że w pokoju było ciepło, kołdrę (swoją ulubioną, której kategorycznie od lat zabraniała wyrzucić) naciągniętą niemal pod brodę. Postacie z dawno zapomnianych bajek wyginały się na niej w ekstatycznych pozach.

Deryło pochylił się i cmoknął nad czołem córki. Poczul od niej mdły zapach dymu. Dopiero teraz spostrzegł, że włosy Wiktorii są nadpalone, a twarz – pokryta sadzą. W miejscu nosa dwa otwory zionęły pustką. Spomiędzy rozchylonych, szerniałych warg błyskała biel zębów.

Komisarz gwałtownie się wyprostował. W tym samym momencie gramofon w jego gabinecie rozpoczął wygrywanie sarabandy. Dłoń intruza powoli podgłaśniała muzykę. Komisarzowi po plecach przebiegł lodowaty dreszcz.

Intensywnie zamrugął, po czym kontury otoczenia wyostrzyły się. Leżał we własnym łóżku, a na poduszce obok wibrowała komórka. Skupił wzrok, by odczytać nazwisko dzwoniącego.

Brzeski. Czyżby Haendel znowu przynosił złe wieści? Ostatnio za każdym razem, gdy odzywały się tony sarabandy, mógł spodziewać się najgorszego. Właściwie niezmiennie od wielu miesięcy. Nawet telefony pocieszenia od znajomych i przyjaciół zamieniały się w tortury. Wieści o bracie również znalazły się na równi pochyłej ku najgorszemu.

Komisarz nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył komórkę do ucha.

– Co jest? – warknął.

Brzeski odchrząknął. Wyraźnie zmieszał go ton przełożonego. Mimo to zaraz zebrał się w sobie i wyrzucił jednym tchem:

– Lepiej niech pan to zobaczy osobiście, komisarzu.

Tego poranka Deryło kupił w automacie dwie kawy. Swoją wypił jeszcze na korytarzu, więc po wejściu do gabinetu natychmiast zmiął kubek i go wyrzucił. Śmietnik nie był opróżniony, więc kubek wylądował na wierzchu sterty zgniecionych żurawi. Komisarz przez moment starał się sobie przypomnieć, kiedy je układał, ale nie był w stanie. Powstawały w wyniku odruchów pozostających poza jego kontrolą, jak skurcze serca lub żołądka.

Brzeski obiecał, że niezwłocznie stawi się w jego gabinecie, ale Deryło kazał mu udać się do gabinetu Halera. Miał przeczucie, że jego podwładna już będzie na komendzie i najwyraźniej się nie pomylił. Drzwi do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza, tak jak poprzedniego ranka, były uchylone. Zdawało mu się, że ze środka słyszy cichą rozmowę.

Jeszcze raz zerknął na origami i, ściskając drugi kubek kawy w dłoni, ruszył w stronę gabinetu podkomisarza. Wchodząc, zapukał o framugę, lecz się nie zatrzymał. Pchnął drzwi z taką siłą, że wyslizgnęły mu się i rąbnęły o ścianę.

Haler i Brzeski stali obok siebie pośrodku pomieszczenia. Ich spojrzenia utkwione były w telefonie, który trzymał aspirant. Na widok komisarza oboje się wyprostowali, lecz z ich twarzy od razu można było wyczytać nerwowość i pobudzenie.

– To dla ciebie. – Deryło wyciągnął w stronę Halera kubek z kawą.
– Śmiało, ja swoją właśnie wypilem.

Podkomisarz dygnęła. Wzięła kubek, ale zaraz odstawiła go na blat biurka.

– Dzięki. Chyba wystarczająco się już rozbudziłam.

Brzeski wymienił z Deryłą uściski dłoni i bez słowa podał mu telefon. Komisarz zmrużył oczy. Uważnie przyjrzał się temu, co było na ekranie, po czym zdziwiony uniósł brwi.

– Co to jest, do cholery?

– Ten psychopata utworzył aplikację o nazwie „Gra w szczęście” – pospiesznie wyjaśniła Haler. – Ściągnęły ją już tysiące ludzi, którzy są pewnie przekonani, że to świetna zabawa.

– Na czym polega?

– Klikasz i dostajesz losowo wybraną sentencję. Następnie wyświetla się komunikat, czy będziesz miał danego dnia pecha, czy szczęście.

– Przecież to debilizm. Kto w to gra?

Haler westchnęła.

– Po sieci zaczęły krążyć łańcuszki, że jeżeli się nie zagra albo nie udostępni posta iluś tam osobom, ktoś bliski niedługo umrze. Świetnie zorganizowana promocja.

– Raczej debilizm do kwadratu.

– Siła mediów społecznościowych i ogłupiaczy – mruknął Brzeski.

– Ładna otoczka, chwytliwy slogan...

Deryło wszedł mu w słowo.

– Przynajmniej się czegoś dowiedzieliśmy... Co ten gnój miał na myśli, mówiąc, że ludzie chcą się dowiedzieć, czy mają pecha, czy szczęście.

Haler sięgnęła po kubek i siorbnęła łyk kawy.

– Najgorsze, że nie mamy jak tego usunąć. Zawartość została umieszczona na zagranicznych serwerach i cały czas jest przenoszona. ViSir porównuje to do zabawy w berka.

– A w tym przypadku berek – wtrącił Brzeski – polega na tym, że zamiast wyznaczenia do bycia ganiającym jest się wyznaczanym na przyszłą ofiarę zabójcy. Przynajmniej taki komunikat reklamuje grę.

– Skoro zagrało w nią już tyle osób, nie mamy szans obserwowania ich wszystkich – odpowiedziała Haler. Doskonale

uzupełniała się z aspirantem.

Deryło westchnął.

– Nawet gdyby zająć się tylko tymi z Lublina?

– Według stanu sprzed jakichś trzydziestu minut mielibyśmy już ponad dwieście osób.

– Niech to szlag...

Komisarz podszedł do okna i zerknął na skąpane w porannym słońcu miasto. W oddali widać było zarys starówki. Dachy kamienic i sygnaturki kościołów skrzyły się wesołym blaskiem. Deryło przeniósł wzrok na strumień aut przemierzający aleję Solidarności.

– No dobrze – sapnął. – Ale skąd wiemy, że to gówno stworzył świr, którego szukamy. Może to tylko zbieg okoliczności? Pechowy, ale przypadek.

– Bo... – Brzeski westchnął.

– Bo?

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Deryło odwrócił się i wbił w aspiranta karcące spojrzenie.

– Przestań się zachowywać jak rozwydrzony przedszkolak i mów od razu – warknął, powstrzymując się od krzyku. – Bawimy się w cholerne pytanie – odpowiedź? To komenda, a nie teleturniej!

Brzeski porozumiewawczo zerknął na Halera.

– Staralem się już o tym powiedzieć, ale mi pan przerwał – mruknął. – Do sieci trafiło nagranie, które wczoraj widział pan na żywo. Kończy się dość wymownie.

Aspirant przewinął okienka aplikacji i ponownie podał telefon komisarzowi.

Deryło bezgłośnie zaklął.

Na całym ekranie telefonu Brzeskiego wyświetlało się właśnie nagranie z dawnej rzeźni. Te same sceny, które poprzedniego dnia komisarz z Haler widzieli na żywo. Teraz można było je dowolnie przewijać, stopować, a nawet przybliżać. Jediną różnicę stanowiło to, że już od początku słychać było jęki uwięzionego lekarza. Natomiast odgłosy, gdy opuścił kadr, zostały znacznie podgłośnione. Deryło miał również wrażenie, że w filmie poprawiono jakość obrazu.

Aspirant przewinął nagranie do ostatnich sekund. Rozpaczliwe, szmatyczne wrzaski Witta już ucichły, choć nadal było słychać szum płomieni. W tym momencie na ekranie wyświetlił się krótki komunikat:

On miał pecha. A ty? Chcesz sprawdzić swoje szczęście?

Pod spodem ciągnął się rząd komentarzy.

@Sinner 6:52 Mówiąc krótko: LOL

@BiednyUczeń 6:51 Może i ściema, ale czemu by nie sprawdzić swojego farta? :) Szczególnie przed klasówką z matmy...

@Racjonalista 6:42 Przecież to zwykła ściema.

@UWG 6:37 Koleś miszcz! Darł się jak baba nabijana na kołek :D

Deryło ciężko nabrał powietrza. Oddał komórkę aspirantowi, po czym powiódł spojrzeniem po twarzach podwładnych.

– Może ta kobieta z banku i doktorek zagraли w tę grę? – Pstryknął palcami. – Może właśnie taki był klucz doboru ofiar? Da się to ustalić?

Haler pokręciła głową.

– Raczej nie mieli szansy zagrać. – Przetarła zaczerwienione powieki i założyła za ucho kosmyk włosów. – Informatyk nie jest stuprocentowo pewny, ale wszystko wskazuje, że aplikację uruchomiono wczoraj wieczorem. W nocy trafiła jako viral do mediów społecznościowych.

– Viral? – Komisarz zmarszczył czoło. – W jakim języku zaczęliśmy rozmawiać?

– To taki chwytliwy motyw, który udostępniają internauci.

– A kolejnym będzie filmik z następnym trupem? Albo niedoszłym trupem?

Pytanie Deryły pozostało bez odpowiedzi. Haler dopiła kawę i z roztargnieniem rozejrzała się za koszem na śmieci. Nie znalazła go nigdzie w pobliżu, więc odstawiła kubek na parapet.

– Ciągle mnie zastanawia, dlaczego zadzwonił akurat do ciebie... – zwróciła się po chwili do komisarza. – Poza tym wspomniał, że wpisał się w kontekst. To mi nie pasuje do ogólnego obrazu gry, do której mają się zgłaszać kolejni uczestnicy.

– Skoro cię zastanawia, obstawiam, że coś wymyśliłaś...

Haler wzruszyła ramionami. Sięgnęła do leżącego na biurku notesu i przerzuciła kilka kartek. W większości zapełniały je pospiesznie nabazgrane mapy myśli.

– Poczytałam trochę o tej koreańskiej grze.

– *Yut* – przypomniał sobie Deryło.

– Tak. Abstrahując od zasad i kulturowej otoczki, przyszło mi na myśl, że tak naprawdę gra w szczęście, to gra w trybie jednoosobowym. Rozumiesz, co mam na myśli?

Komisarz skinął głową.

– Mów dalej.

– A ten świr najwidoczniej potrzebuje przeciwnika. I tylko dlatego

mogło paść właśnie na ciebie.

– Ale ja, do licha, nie chciałem w nic grać!

Deryło poprawił marynarkę i nie mówiąc nic więcej, powlókł się do swojego gabinetu. Chwilę później uruchomił laptop. Na jego skrzynkę pocztową natychmiast spłynęło kilka wiadomości, w tym potwierdzenie wysłania raportu na adres mailowy inspektora. Elektronika wiele ułatwiała, choć dla porządku i tak musiał potem go wydrukować. Procedury pozostawały skostniałe.

O drugiej w nocy dostał wiadomość od posterunkowej Nowak. Przez cały akapit rozwodziła się nad tym, że nie chciałyby budzić komisarza, bo jej kwerenda nie przyniosła żadnych konkretnych rezultatów. Ani jeden artykuł Bończyka lub Lec nie wydawał się na tyle podejrzany, by zasiać ziarno szaleństwa w czyimkolwiek mózgu.

Nowak przesyłała również listę osób, które w ostatnich pięciu latach pozwały doktora Witta. To również wydawało się ślepią uliczką. Jedna z nich już nie żyła, kolejna skończyła osiemdziesiąt trzy lata, a pięćdziesięcioletni mężczyzna od ponad roku mieszkał w Anglii. Przynajmniej był tam zameldowany. To na nim posterunkowa skupiła swoje śledcze zapędy. Zwróciła się do policji brytyjskiej z prośbą o informacje i choć była to droga dość nieformalna, liczyła na szybką odpowiedź. Na razie udało się jej dowiedzieć jedynie, że pozew dotyczył komplikacji pooperacyjnych, w wyniku których zmarła żona mężczyzny. Sąd przed prawie rokiem uznał, że w tym wypadku grypa nie stanowi powikłania, za które odpowiedzialność mógłby ponosić przeprowadzający operację. Raport Nowak kończyło lakoniczne stwierdzenie: „Dariusz Malec nie wniósł apelacji”.

Deryło obrócił się w fotelu. Czubkiem buta trącił kosz na śmieci, z którego wypadł zmięty kubek. W chwili, gdy go podnosił, rozległo się pukanie.

– Wejść!

Haler wpadła ułamek sekundy po tym, jak zamknął usta.

– Rozpętało się piekło... – oznajmiła.

Pół godziny po tym, jak Haler wpadła do gabinetu komisarza, Deryło pchnął ciemne, przeszklone drzwi. Nie zamierzał się tłumaczyć przed sekretarkami, dwójką ochroniarzy ani rozemocjonowanym tłumkiem, który podążał za nim korytarzami redakcji. Nie zamierzał wdawać się w bezsensowne utarczki i pogawędki o najściu bez nakazu.

Był wściekły.

Prostokątna tabliczka potwierdzała, że trafił tam, gdzie chciał. Naczelnym Wipczyk był mężczyzną, którego widział zeszłego wieczoru na parkingu. Niski, z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami i okrągłymi okularami, przypominał podrzędnego mafiosa z Sycylii. Gdy Deryło wpadł do schludnego gabinetu, naczelnym w pełnym skupieniu patrzył w wielki ekran telewizora. Właśnie rozpoczynał się poranny program informacyjny. Prezenterka stała na tle grafiki przedstawiającej pędzące na sygnałach radiowozy.

– Dlaczego to zrobiliście, do cholery? – Deryło podszedł do redaktorskiego biurka z zaciśniętymi pięściami. – Dla forsy?

Wipczyk oderwał wzrok od telewizora i go wyciszył. Podniósł się z fotela, po czym sztywnym krokiem podszedł do drzwi. Zamknął je, rozczarowując tym samym zaciekawionych pracowników.

– Pan komisarz Deryło we własnej osobie... – Wskazał na rozkładane krzesło przy biurku. – Proszę usiąść.

Deryło się nie poruszył.

– Wie pan, jakie konsekwencje może mieć ten cholerny materiał? Rozumie pan, jak taka gówniana plotka komplikuje śledztwo? I po trzecie, przyszło panu do łba, że to tylko rozochoci tego świra?

Wipczyk westchnął. Obszedł biurko i ciężko opadł na fotel.

– Długo broniłem się przed publikacją jego listu, ale funkcją prasy jest między innymi przewencja.

– Prewencja? Chyba pomylił pan pieprzoną gazetę z komisariatem.

– Wcale nie. – Naczelnny zsunął okulary na czubek nosa. – Musieliśmy ostrzec społeczeństwo, że gra w szczęście to nie jest głupi żart. Zginęła kobieta, a poza tym – znacząco spojrzął na komisarza – od wczoraj trwają podejrzane policyjne działania na terenie starej rzeźni...

– To wasz cholerny domysł.

– Tak pan twierdzi? Więc może niech policja oficjalnie ustosunkuje się do tego domysłu.

Deryło parsknął.

– Niech pan zdejmie artykuł i list ze strony gazety.

– Nie widzę takiej możliwości.

– To cholerne torpedowanie śledztwa! Sprowadzę tu ludzi i nakażę przeszukanie redakcji. Utrudnię panu pracę tak bardzo, jak tylko będę w stanie!

– Naprawdę? – Wipczyk nerwowo się uśmiechnął. – Zmarnotrawiłby pan siły i czas swoich ludzi tylko po to, by zrobić mi na przekór?

– Pan nie rozumie konsekwencji własnych działań

– Korzystam z prawa wolnych mediów i mam gdzieś pańskie zastraszanie. Tym bardziej, że została w to zamieszana moja pracownica.

– Myśli pan, że to zwykły przypadek? – Deryło oparł dłonie o blat biurka i pochylił się w stronę redaktora. – Lepiej niech się pan zastanowi, jaki kretyński artykuł opublikowaliście. Może to coś wyjaśni.

– Po co te nerwy, komisarzu?

– Zadałem pytania.

– A ja nie muszę na nie odpowiadać. Prawda?

Uśmiech redaktora jeszcze się rozszerzył. Mężczyzna wzruszył ramionami i lekceważąco przeniósł wzrok na ekran telewizora. Sięgnął po pilot. W tym samym momencie Deryło chwycił go za krawat i szarpnął tak mocno, że naczelny uniósł się w fotelu. Uderzył łokciami o biurko, a jego twarz błyskawicznie nabrała czerwonego koloru. Zaczął się dusić.

– Wszyscy jesteście śmieciami. – Deryło naparł jeszcze mocniej, zaciskając na szyi redaktora węzeł krawata. – Nie robi pan tego dla swojej pracownicy, a dla kasy. Los się uśmiechnął, co? Wreszcie macie uzasadnienie dla stawania się tabloidem?

Wipczyk zacharczał. Okulary zsunęły mu się z nosa i spadły na podłogę. W tym samym momencie rozległo się pukanie. Deryło gwałtownie puścił krawat redaktora i z obrzydzeniem otarł dłonie o spodnie.

– Wejść! – krzyknął sarkastycznie. – Naczelny jest już wolny.

Odwrócił się do drzwi w chwili, gdy do środka wpadła Natalia Lec. Pod pachą ścisnęła skórzany neseser, a w dłoniach trzymała plik dokumentów. Zaskoczona spojrzała na Deryłę. Dopiero po chwili przeniosła wzrok na pospiesznie poprawiającego krawat naczelnego. Nie zwracając uwagi na komisarza, podeszła do biurka.

– Wszystkie media udostępniają nasz artykuł – obwieściła służbowym tonem. – A ta kretyńska aplikacja ponoć bije rekordy ściągnięć.

Deryło z pogardą zerknął na Wipczyka. Ruszył do wyjścia i z impetem trzasnął drzwiami. Hartowane szkło zawibrowało w ramach.

Haler nie musiała pytać o rezultat rozmowy. Gdy Deryło wskoczył na miejsce kierowcy i rąbnął dłonią o kokpit, wszystko stało się jasne. Chwilę później zagulgotał silnik citroena, a po kolejnych pięciu minutach wyjechali na obwodnicę.

Komisarz umyślnie wybrał dłuższą drogę, żeby móc zebrać myśli. Wśród pędzących aut zabytkowy citroen radził sobie niewiele lepiej od dylizansu, więc musiał trzymać się prawego pasa. O wyprzedzeniu choćby ciężarówki nie było mowy. Rowerzyści, traktory i kombajny nie mogły wjechać na trasę szybkiego ruchu, wobec czego stanowili awangardę niewielkiego korka, który zebrał się za nimi.

Podkomisarz zagłuszała ciszę, rozgryzając drażę. Deryło co chwilę zerkał na nią karcącym wzrokiem, lecz się nie odzywał. W końcu otworzył szybę, wpuszczając do środka świeże powietrze. Świst zagłuszył trzask siekanych cukierków.

Szum w kabinie był tak duży, że gdyby nie wibracja, Deryło przegapiłby telefon od inspektora. Tony Haendla rozwiały się gdzieś wśród wlokących się za nimi aut.

– Dlaczego ten syf trafił do mediów? Co wy wyprawiacie w tym śledztwie?!

Komisarz, żeby cokolwiek słyszeć, musiał z całej siły przycisnąć telefon do ucha. Przytrzymał go ramieniem, a lewą ręką domknął szybę.

– Nie jestem w stanie robić za urząd cenzorski – odburknął. – Właśnie wracam z redakcji, ale naczelny się stawia.

– Wiem. I wiem też, że właśnie o mało go nie udusiłeś pieprzonym

krawatem.

Deryło się nie odezwał. Wiedział, że lada moment ruszy tyrada inspektora i się nie pomylił.

– Nieważne, jakim cudem to do mnie dotarło, ale popełniłeś błąd. Jeśli masz jakiegokolwiek problemy, powiedz mi, a wyznaczę do sprawy kogoś innego. Rozumiesz? Nie możesz teraz stracić nad tym kontroli...

– Radzę sobie. – Deryło łypnął na Haler. – Radzimy sobie razem z podkomisarz.

– Jeżeli potrzebujesz odpoczynku, odpocznij. Zwolnienie, sanatorium, nie będę robił problemów...

– Emerytura.

– Co takiego?

– Odpocznę na emeryturze. A teraz robię, co mogę.

– Lepiej, żebyś mógł naprawdę wiele. Bo jestem przekonany, że lada chwila dostanę telefon z ministerstwa. A wtedy...

Deryło poczuł wibrację telefonu. Stare blackberry nie miało najlepszej baterii, ale wydawało mu się, że niedawno było załadowane na prawie sto procent.

Wibracja się powtórzyła.

Komisarz, nie odrywając wzroku od drogi, wyciągnął komórkę przed siebie. Kątem oka dostrzegł nazwę kontaktu. Natychmiast niemal przyłożył telefon do ust.

– Wysłałem panu raport, inspektorze. Będę czekał na rozkazy.

Rozłączył się i odebrał drugie połączenie.

– Halo? Mów, co ustaliłeś.

Doktor Gawiński westchnął.

– Już się nie witamy? – zapytał, udając oburzenie. – Nie wpadniesz na kawę ani nie zapytasz, co u mnie?

– Zapytałbym, gdyby szef właśnie nie zmył mi łba. Wiesz, jaki bywa Knap.

– Nigdy choćby w połowie nie jest tak impertynencki jak ty na co dzień. Gdzie jesteś?

Deryło sapnął. Zacisnął lewą dłoń na kierownicy i poprawił się w fotelu. Kątem oka widział, że Haler, przysłuchując się jego rozmowie, pochłania kolejne draże.

– Jadę z partnerką na komendę...

– Zła odpowiedź. – Patomorfolog wymownie cmoknął. – Kieruj się do moich lochów. Mamy do pogadania nie tylko o tym, co wylano na ciało.

– Wylano? Mówisz o pianie gaśniczej?

– Pogadamy na miejscu. Mam nadzieję, że twoja partnerka nie jest specjalnie delikatna. Inaczej każ jej zostać na parkingu i przypilnować auta. To niezły bajzel...

Kompletnie łysy, bardzo drobnej budowy ciała Gawiński przypominał szczura. Miał małe oczy schowane za szklami okularów i głębokie zmarszczki. Jego szpiczasty nos wydawał się nieustannie węszyć.

Kiedy Deryło przedstawił go Haler, ten natychmiast zaproponował młodszej o trzy dekady policjantce przejście na ty. Chwilę później proponował jej również papierosa, a miał nimi wypchane całe biurko, kawę, herbatę, a nawet herbatniki. Jak zwykle utyskiwał, że jego klienci nie są w stanie dać mu porządnego alkoholu. Albo czegokolwiek innego.

– Jeśli się zakochałeś, porandkujecie później. – Deryło nerwowo zabębnił palcami o metalowe biurko. – Przejdźmy do rzeczy...

– A ten jak zwykle pobudzony... Jakim cudem taka urocza kobieta z tobą wytrzyma?

Komisarz bezsilnie westchnął. Rozejrzał się po gabinecie patomorfologa i nabrał powietrza. Musiał się uspokoić. Wiedział, że gnany wściekłością w końcu popełni błąd. O ile już go nie popełnił. Choć w tych kategoriach z pewnością nie ujmował poturbowania Wipczyka. Bardziej obawiał się, że przegapił coś istotnego. Coś, co stanowiło istotną wskazówkę i zbliżyłoby go choć o krok do zabójcy.

– Błagam, nie traćmy czasu.

Tym razem Gawiński spojrział na niego znad okularów. Zmarszczył brwi i w zamyśleniu skinął głową.

– Jasne – przytaknął poważnie. – Koniec wygłupów...

Haler zdziwiła ta nagła zmiana, ale domyśliła się, że właśnie stała się świadkiem jednego z rytuałów starych przyjaciół.

Wzajemne podchody i oderwanie się od ponurej rzeczywistości przed przystąpieniem do sedna. Rozładowanie emocji przed ich powtórny nagromadzeniem.

Gawiński chwycił z biurka klucze i ruszył do drzwi. Skinął dłonią, choć policjantów nie było trzeba ponaglać. Podążali tuż za nim.

– Zwłoki to około trzydziestopięcio-, maksymalnie czterdziestoletni mężczyzna – powiedział, maszerując śmierdzącym środkiem dezynfekującym korytarzem. – Bezpośrednią przyczyną zgonu były, jak się pewnie domyślacie, rozległe oparzenia.

– Wspomniałeś, że na ciało coś wylano.

– Owszem, i to nie tylko pianę gaśniczą. Z tej zostało wręcz błyskawicznie oczyszczone.

– Hm?

Deryło wymienił z Haler porozumiewawcze spojrzenia. Zatrzymali się obok podwójnych białych drzwi, z których zamkiem właśnie szarpał się Gawiński.

– Spójrzcie.

Patomorfolog nacisnął klamkę i wszedł do chłodni. W pomalowanej na zielono ścianie umieszczone były szuflady na zwłoki. Zamykały je okrągłe włazy. Gawiński energicznie uchylił jeden z nich i pociągnął za stalowy rant. Ze środka wyjechała półka, na której leżało zawinięte w foliowy worek ciało. Patomorfolog sięgnął do zamka, ale nim go pociągnął, zerknął na Haler.

– Panienska ma mocny żołądek?

– Jak żyrafa.

Gawiński z konsternacją odchrząknął, więc podkomisarz pospiesznie wyjaśniła:

– Żyrafy mają tak skonstruowany żołądek, że nigdy nie wymiotują. Konie zresztą też, ale sądziłam, że będzie to doktor wiedział.

– Przeszliśmy na ty. – Patomorfolog uśmiechnął się do Deryły. – Masz ciekawą załogę, mój drogi, naprawdę... – Urwał i westchnął. –

No to do roboty.

Szarpnął zamek, po czym rozsunął worek chłodniczy. W środku znajdowały się poskręcane, nadwęglone zwłoki. Zostały ułożone na plecach, ale nie wszystkie mięśnie udało się rozciągnąć. Obie nogi były lekko podkulone, a głowa odgięta do tyłu. Resztki szerniałej skóry znajdowały się tylko w okolicach kości policzkowych. Większość tkanki w trakcie autopsji skruszyła się i odsłoniła ścięgna oraz mięso. Zza białych zębów zionęła mroczna pustka ust. Po przeprowadzonej sekcji pocięty na kawałki mózg zwyczajowo zaszywa się w brzuchu denata, ale w tym przypadku Deryło miał wątpliwości, czy z wnętrzości zmarłego cokolwiek zostało.

– Zwróciliście na coś uwagę? – Gawiński uśmiechnął się i głośno pociągnął nosem. – Coś nietypowego?

Haler natychmiast zrozumiała, co ma na myśli.

– Ten trup nie cuchnie. Zwęglone zwłoki powinny trącić gorzej od zgniłego jaja.

Patomorfolog z uznaniem pstryknął palcami.

– Brawo. Komisarzowi trafiło się naprawdę solidne wsparcie.

– No dobrze. Ale dlaczego nie śmierdzą? – Deryło pochylił się nad ciałem. Zapach spalenizny był wyczuwalny, ale z pewnością nieintensywny. – To przez pianę gaśniczą?

– Nie. Jej ślady też znalazłem, ale jak wspomniałem, denat w znacznej mierze został z niej oczyszczony. – Gawiński wymownie zawiesił głos. W momencie, gdy był pewny, że komisarz lada moment wybuchnie, pospiesznie dodał: – Użyto żywicy. Rozumiecie to?

Deryło gwałtownie się wyprostował i łypnął na patomorfologa.

– Co takiego?

– Tego nieboszczyka zalano żywicą – powtórzył lekarz. – Sztuczną i bezwoną, ale w uproszczeniu to właśnie żywica. Stąd ten skrzący się odcień.

– Po jaką cholere?

– Mnie o to nie pytaj. To wasze poletko do obrobienia...

– Żywica konserwuje – wtrąciła się Haler. Dotknęła nadpalonych zeber denata i powąchała opuszkę palca. Po chwili powtórzyła czynność z przedramieniem i osmoloną łydką zmarłego. Na koniec oblizała palec. – Mówimy o żywicy epoksydowej, prawda?

Gawiński niemo przytaknął. Był wyraźnie pod wrażeniem policjantki. Deryło wzdrygnął się z obrzydzeniem.

– Używałam jej do oblewania stolików, blatów i przygotowywania... – Haler machnęła ręką. – Nieważne. Sednem jest zrozumienie, po co zabójca oblał nią zwłoki. Mógł chcieć je zakonserwować, symbolicznie zaznaczyć, że śmierć wcale nie jest nieodwracalna. Albo pragnął zachować swoje trofeum. Pokazać je nam w takim stanie, w jakim sam je widział. I w jakim pozostanie na lata. Choć...

– Dość. – Gawiński przepaszająco uniósł ręce. – O sprawcy porozmawiacie sobie na komendzie. Ja nie chcę nic o nim wiedzieć.

– Ja tylko głośno myślę. Przecież...

– Doktorek tak ma. – Deryło ponownie pochylił się nad zwłokami i zerknął na Haler. – Zmarłych się nie boi, ale żywych już tak. Kwestia wrażliwości.

– Raczej przezorności.

Gawiński obszedł szufladę chłodniczą i stanął obok podkomisarz. Światło jarzeniówki padało prosto na jego łysinę, która świeciła niemal białym blaskiem. Odchrząknął.

– Miałem spory problem z rozebraniem zwłok – odezwał się surowym tonem. – Gdy ściągałem resztki koszulki, z materiałem odeszła nadpalona skóra i sutki. Stopy właściwie rozpuściły mu się w butach. Tworzywo, z jakiego je zrobiono, można by uznać praktycznie za żaroodporne.

– Co to ma do rzeczy? – zapytał Deryło.

– To, że temperatura nie była zbyt duża. Ciało przysmażyło się, ale kompletnie zwęglone są tylko jego nieliczne części. Policzki wytopiły się na skwarki, tak samo skóra na kościach policzkowych i prawym barku, kość ramienna jest niemal na wierzchu...

– Dalej nie rozumiem, czemu to miałoby nas interesować.

– Znaczna część obrażeń powstała po tym, jak ten mężczyzna upadł na płonąca powierzchnię. Wtedy oddziaływanie temperatury było najmocniejsze. I przez to też wyniki autopsji mogą być zaburzone. Tak, jak wspomniałem – patomorfolog puścił do Haler oko – śmierć spowodowały oparzenia. Jego układ nerwowy został dosłownie porażony impulsami bólowymi. Jednak już wcześniej poddano go drobnej torturze.

Deryło ostentacyjnie sapnął. Machnął dłonią, pospieszając Gawińskiego. Lekarz w zółwym tempie przeszedł wzdłuż wysuniętej szuflady i otworzył szafkę znajdującą się nad komorą chłodniczą.

– *This bed is on fire with passionate love* – zaśpiewał pod nosem.

– *The neighbors complain about the noises above...*

Przez chwilę szperał między foliowymi workami, wreszcie wybrał jeden i zamknął drzwiczki. Podał woreczek Deryle.

– Co to? – Haler przesunęła się, żeby go obejrzeć. W środku znajdował się srebrny, obły przedmiot. Miał wielkość zaokrąglonego pudełka od zapalek i wyglądał na dość ciężki.

– Przypuszczam, że denat został zmuszony do połknięcia tego

czegoś. Wyobraźcie sobie ból, kiedy to ustrojstwo przechodziło mu przez gardło i uszkadzało przewód pokarmowy. Wreszcie trafiło do żołądka, który obciążyło i rozepchało. Tak jakbyście mieli w nim gorący kamień wielkości niewielkiej pięści. Wyciągając to ze zwłok, niechcący pociągnąłem za jedną z krawędzi. Okazało się, że to puzderko można otworzyć. – Gawiński skinął na komisarza. – Śmiało, pociągnij przez folię za tę nasadę.

Deryło bez słowa obrócił woreczek w dłoniach. Wyciągnął go w stronę światła i dostrzegł niewielką wypustkę. Starając się nie uszkodzić folii, podważył ją paznokciem. Wieczko odskoczyło, a ze środka wypadł niewielki przedmiot.

– I to jest to, o czym nie chcę słyszeć. – Gawiński ostentacyjnie wbił wzrok w sufit. – Nie chcę znać żadnych teorii ani dociekań. Nie chcę o tym nic wiedzieć.

Deryło obrócił zawiniątko w dłoni.

W pomieszczeniu zapadła martwa cisza.

Redaktor Wipczyk z trudem przełknął łyk wody. Gardło paliło go i był pewny, że na szyi pozostanie ślad po zaciśniętym krawacie. Teraz miał rozpiętą koszulę i starał się trzymać głowę wysoko. Gdy tylko ją opuszczał, drapało go w krtani, po czym gwałtownie kaszłał. Natomiast każde odkaszlnięcie wiązało się z bólem przypominającym tarcie papierem ściernym o ścianki przełyku. Do tego z jednoczesnym okładaniem go z zewnątrz młotkiem.

Wipczyk odstawił szklankę i otarł materiałową chusteczką pot z czoła. Klimatyzator pracował pełną parą, w biurze panował przyjemny chłód, ale on wciąż się pocił. Czuł, że spod pach pot kapie mu wręcz ciurkiem.

Musiał się uspokoić.

Decyzja o opublikowaniu nagrań nie była łatwa. Grono redakcyjne podzieliło się na dwie części, z których liczniejsza okazała się ta przeciwna uleganiu żądaniom szantażysty. Bez względu na konsekwencje. Przedstawiciele tej frakcji nie chcieli brać udziału w grze, do której się nie zgłosili. Poza tym argumentowali, że jeśli opublikują nagrania, ucierpi budowany od lat prestiż marki. Antytabloidowej, stojącej w kontrze do epatujących golizną, makabrą i skandalami brukowców.

Ale z drugiej strony...

Deryło miał rację, mówiąc, że Wipczyk zrobił to dla pieniędzy. Biznes to biznes, a ideały urealniały się w konfrontacji z rzeczywistością. Mieli niezłe wyniki sprzedaży, ale konkurencja rosła w siłę. Przede wszystkim w segmencie internetowym. W dzisiejszych czasach nie było potrzeby publikowania drażliwych

tematów w wydaniu papierowym, bo można je umieścić wyłącznie w sieci. W ten sposób mogli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Klasyczne wydanie pozostałoby konserwatywne, wydrukowano by w nim jedynie artykuły wtórnie poruszające całą sprawę. Za to w internecie zyskaliby rozgłos. Taki temat przecież trafiał się raz w życiu.

Biorąc pod uwagę statut spółki oraz ostatnie uchwały, prawie dziesięć procent zysku osiągniętego z działalności w sieci miało trafić do kieszeni naczelnego. W innych gazetach byłoby to nie do pomyślenia, lecz w tak konserwatywnej redakcji ten segment rynku traktowano z mniej lub bardziej udawaną pogardą. Dziennikarze, których teksty przez miesiąc nie przebijały się do wydania papierowego, byli wzywani na dywanik. Po dwóch miesiącach posuchy zwyczajowo zapadała decyzja o rozstaniu. To papier stanowił miarę sukcesu. Nie miało znaczenia, że niektóre zakładki internetowe generowały pokaźne zyski, choć ich zawartość nigdy nie trafiała do druku. Nie myślano także o wpływach z zamieszczanych na stronie reklam ani o dochodach osiąganym dzięki lokowaniu produktów.

Mimo wszystko Wipczyk od wielu tygodni śledził rozwój konkurencyjnych serwisów. Treści powiązane, media społecznościowe, fake newsy, virale... Ten opływający w gotówkę świat był na wyciągnięcie ręki, a z drugiej strony stanowił zatrute jabłko. Przezeń zaraza mogła rozlać się po wszystkich obszarach działalności spółki. Zniszczyć jej renomę i zepchnąć do najbardziej zapchanego rynku tabletołów. Tego by nie wytrzymali. W starciu z koncernami gigantami, dotowanymi pieniędzmi płynącymi strumieniem z Niemiec, Francji czy Stanów Zjednoczonych, nie mieli szans.

Wipczyk powoli wypuścił powietrze. Sięgnął po pilot i przez moment obracał go w dłoni. Za chwilę powinien ruszyć kolejny serwis informacyjny, a w nim zapewne przewinie się temat szaleńca z Lublina.

Mistrza Gry.

Jego temat.

Po krótkim wahaniu odłożył pilot. Zamiast oglądać telewizję, przyciągnął fotel do biurka i otworzył laptop. Ekran natychmiast się rozjaśnił.

Naczelny odkaszlnął, upił mały łyk wody i, krzywiąc się z bólu, odchrząknął. Po chwili wystukał kilka krótkich haseł.

Wyniki załadowały się w ułamku sekundy. Tym razem bez zastanowienia dwukrotnie kliknął na link prowadzący do jednej ze stron.

Ekran wypełniło czarne, opalizujące tło, na którym po chwili wyświetliła się krótka wiadomość:

Chcesz zagrać w szczęście? Dołącz do gry, a być może już dziś zapoluje na Ciebie śmierć. Chyba że liczysz na to, że masz w życiu fart? Sprawdź to. Przekonaj się sam.

Pod spodem pojawiły się dwa białe pola. To po lewej opisano jednym słowem:

GRAM

natomiast przy drugim widniał drobny napis:

Boję się sprawdzać. Poddaję się.

Wipczyk zabębnił palcami w obudowę myszki. Podparł głowę na dłoni i wydał wargi. Najechał kursorem nad pierwszą z opcji, po czym uniósł palec.

Wystarczyło kliknąć.

Potem każdy mógł się dowiedzieć, co znajduje się na stronie. Jak wygląda wytwór umysłu człowieka, który popełnił makabryczną

zbrodnię.

Klikając, każdy mógł sprawdzić, czy ma szczęście.

A może, czy nie jest zwykłym tchórzem, który boi się zabawić w internetową gierkę.

Wargi Wipczyka wygięły się w delikatnym uśmiechu. Palec opadł na myszkę.

Deryło obracał w dłoniach worek na dowody. Szli z Haler korytarzem szpitalnym kilka metrów za Gawińskim. Patomorfolog cicho pogwizdywał i wystukiwał rytm o kieszeń płaszcza, w którym pobrzękiwały klucze.

W foliowym worku oprócz srebrnego, otwartego pojemniczka znajdowała się mała kasetka. Pomiedzy szpulami został naklejony plaster z nakreśloną flamastrem liczbą. Sto dwadzieścia osiem. Poza tym komisarz nie dostrzegł niczego niezwykłego.

– Jakies pomysły? – Podał worek Haler i z obrzydzeniem strzepnął dłonie.

Podkomisarz zawinęła folię, po czym przyjrzała się obu przedmiotom.

– Znowu ta liczba – mruknęła. – Sto dwadzieścia osiem. Tym razem przynajmniej nie ma sensu się zastanawiać, że w ten sposób zapisał datę.

– Historia o Nemesis też mi jakoś nie pasuje.

Haler zmarszczyła brwi.

– ABH... – wyszeptała.

– Co takiego?

– ABH. Gdyby cyfrom przypisać litery alfabetu wyszłoby: ABH. Neonaziści na przykład używają dwóch ósemek jako skrótu od „Heil Hitler”. Jedyńka i ósemka to po prostu „Adolf Hitler” i tak dalej...

Deryło wsunął dłoń do kieszeni i obrócił monetą.

– O ile Hitler nie miał drugiego imienia, to też nie trzyma się kupy. ABH... Adolf Beniamin Hitler. Albo Barnaba.

– *Actual bodily harm* – wtrącił się Gawiński. Zatrzymał się przed wejściem do gabinetu i założył ręce za plecy. – Skrótu ABH kiedyś używało się na określenie przestępstw powodujących krótkotrwały uszczerbek na zdrowiu. – Patomorfolog się uśmiechnął. – Sympozja w Londynie jednak do czegoś się przydają. Choć zazwyczaj to zawracanie dupy.

Deryło natychmiast odszukał w pamięci ten zwrot. Rzeczywiście wiele lat temu o nim słyszał, lecz termin jako nieprecyzyjny został już dawno zarzucony. Zastąpiły go inne, przez co całkowicie uleciał mu z głowy.

– Z jakiejś perspektywy śmierć można by nazwać krótkotrwałym uszczerbkiem na zdrowiu... – westchnął. – Jeśli się ma duże poczucie humoru.

– Nie chcę o tym nic wiedzieć. – Gawiński pogroził mu palcem. – Przynajmniej ja mam słabość do zupełnie innych żartów.

Komisarz zagryzł usta i wskazał na trzymany przez Halera worek.

– Masz na czym to odtworzyć?

– Skąd ja wiedziałem, że o to zapytasz...

– Masz?

Lekarz wbił wzrok w podłogę.

– Tak się składa, że na podobnych kasetach kiedyś nagrywaliśmy sprawozdania z sekcji – odezwał się zrezygnowanym tonem. – Pomyślałem o tym, gdy tylko znalazłem to w tych przypalonych flakach.

– A odtwarzacz?

– Przypuszczam, że na komendzie musielibyśmy wszystko transferować do innego formatu – dołączyła Halera. – Stracimy przez to czas.

Gawiński sapnął.

– Zrobimy tak. Ja pójdę na górę, zapalę papierosa, a kiedy wrócę, was już tu nie będzie. – Włożył klucz do zamka i się odwrócił. – Magnetofon znajdziecie w górnej szufladzie mojego biurka. Nie trzeba go podłączać do prądu, bo jest zasilany bateriami. O ile

w ogóle działa. Nie używałem go od jakichś stu lat.

– W końcu doczekasz się ode mnie dziękczynnej flaszki. I to zanim trafię do ciebie jako pacjent.

Patomorfolog nie zwrócił uwagi na komentarz Deryły.

– Gdybyś szukał, rękawiczki są w metalowej szafce przy drzwiach – ciągnął. – Na szczęście rozmiarówka jest uniwersalna. To pewnie was ucieszy, bo mam wrażenie, że ta kasetka kręci was oboje.

Gawiński wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i ruszył w głąb korytarza. Nim uszedł kilka kroków, Deryło i Haler zamknęli się w jego gabinecie. Komisarz pospiesznie odszukał niewielki adapter. Żeby go wyciągnąć, musiał przerzucić stertę papierów, notatek i medycznych czasopism.

Wreszcie położył urządzenie na biurku. Założył podane przez Haler rękawiczki, a następnie delikatnie otworzył worek na dowody.

– *Actual bodily harm?* – parsknął. – Ten świr chciał przyszanować, że zna angielski?

Wsunął kasetę do adaptera i przesunął palcem po kolejnych przyciskach.

– W szkole policyjnej na liście miałem chyba sto dwadzieścia kilka osób. Ale im dłużej o tym myślę, tym więcej mam skojarzeń, bo zdaje się, że – Podniósł wzrok i wbił spojrzenie w Haler. – artykuł sto dwudziesty ósmy kodeksu karnego to zamach na prezydenta.

– Sto trzydziesty czwarty. – Podkomisarz przestąpiła z nogi na nogę, po czym przymknęła oczy. – Sto dwudziesty ósmy dotyczy puczu przeciwko organom konstytucyjnym.

Deryło zacisnął zęby. Zirytowany, przydusił przycisk odtwarzania i chłonał kolejne słowa potwora.

@Cenzor 15:49 @Kozak Sprawdzalem, o co tyle halasu. A tu nawet nie ma czego cenzurować.

@Kozak 15:48 @Cenzor a ty to co? Przez przypadek?

@Cenzor 15:42 Nazłaziło się tu dewiantów!

@ŻądnyPrzygód 15:41 Nuda. Nic się nie dzieje. Lepiej już włączyć sobie porządne porno xD

@MariaKa 15:37 Ale syf.

@Poliglota 15:22 Ludzie, ludzie! Tanio sprzedam Renault Megane 2004, Francuzi chcieli odbudować Linię Maginota, żeby go nie wywieźć z kraju. Informacje pod lin...

@MarekMakabryczny 15:21 @Niedowiarek Żebyś się nie zdziwił ;)) Już po ciebie idę :=<

@Niedowiarek 15:08 Dla mnie to wszystko kompletna podpucha, dołączyłem do gry... i nic.

– Mogę wejść?

Deryło utkwiał zafrasowane spojrzenie w metalowym łańcuchu. Natalia Lec stała za uchylonymi na kilka centymetrów drzwiami i uparcie milczała. Była ubrana w luźne spodnie dresowe oraz obcisły, czerwony top. Wreszcie bez słowa zdjęła blokadę, po czym, kołysząc biodrami, znikła w głębi mieszkania.

Komisarz pchnął drzwi i wszedł do środka. Skonsternowany, zatrzymał się w niewielkim, zastawionym dziesiątkami par butów przedpokoju. Nigdy nie rozumiał kobiecego bzika na punkcie obuwia. Miał czasem wrażenie, że jego żona i córka kupowały najbardziej niewygodne buty tylko po to, by zagracały korytarz. Tworzyły z nich rząd trofeów, którymi popisywały się przed gośćmi. Sam miał dwie pary eleganckich butów na sezon letni i dwie, nieco mniej eleganckich, ale ciepłych, na zimę. To mu całkowicie wystarczało.

– Przyjdzie tu pan czy mam wysłać specjalne zaproszenie?

Głos Lec dochodził z pomieszczenia, które znajdowało się po prawej stronie przedpokoju. Deryło głośno odchrząknął i powlókł się w jego stronę. W momencie, gdy wszedł do środka, dziennikarka uruchamiała stacjonarną bieżnię.

– Nie będzie panu przeszkadzało, że ćwiczę? – zapytała, truchtając. – Wczoraj zasiedziałam się w redakcji i opuściłam trening. Za każdym razem, gdy mi się to zdarza, mam wyrzuty sumienia. Nie mogę dać sobie zepsuć harmonogramu dnia.

– Ćwiczenia fizyczne uzależniają.

– Wie pan coś o tym?

– Endorfiny. – Deryło przytknął palec do skroni. – Podczas wysiłku zostaje pobudzone wydzielanie hormonu szczęścia. To ten sam mechanizm, który ciągnie ludzi do ćpania.

– Dlaczego więc ćpunów nie wysyła się na terapie na siłowniach?
– Lec rozeźmiała się nerwowo i zwiększyła prędkość obrotów taśmy. Bieżnia cicho szumiała. – Okej, niech pan zadaje pytania, póki nie mam zadyszki.

Komisarz sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. Jego milczenie zmieszało dziennikarkę. Jeszcze bardziej przyspieszyła obroty bieżni, ale nie odezwała się. Złapała uchwyty i zaczęła ćwiczyć ręce.

Deryło nerwowo przewijał kolejne aplikacje. Nienawidził nowoczesnych technologii. Informatycy przegrali nagranie z kasyty, obrobili je i przesłali mu na komórkę. Rozumiał, że w ten sposób zaoszczędzili mu noszenia dodatkowego sprzętu, ale uruchomienie magnetofonu chwilę zajmowało. W przeciwieństwie do wyszukania nagrania w gąszczu programów i aplikacji, z których nigdy nie skorzystał. Nigdy wcześniej nie odtwarzał na telefonie pliku dźwiękowego innego niż utwory przeznaczone na dzwonki.

Wreszcie udało mu się odnaleźć właściwy katalog.

– Kojarzy z czymś pani liczbę sto dwadzieścia osiem?

Dziennikarka spojrzała na niego i wykrzywiła usta.

– A z czym miałabym ją kojarzyć?

– Gdybym wiedział, nie pytałbym o to...

– Nic mi nie mówi. Chyba że ma nawiązywać do mojej dniówki, a pan w jakiś zagmatwany sposób usiłuje mi grozić. Albo uwłaczać.

Deryło pojednawczo się uśmiechnął. Nie chciał znaleźć się na ścieżce wojennej z całą redakcją. Podał Lec komórkę i wzruszył ramionami.

– Wierzę, że ta wiadomość pozostanie między nami. Choć prawdę mówiąc, po dziennikarzach już niczego dobrego się nie spodziewam.

– Jest pan człowiekiem małej wiary. Co mam z tym zrobić?

Natalia Lec puściła drążki i zwolniła obroty bieżni. Niechętnie

zerknęła na ekran telefonu.

– Proszę odtworzyć plik – polecił jej Deryło.

– Tym razem mamy wiadomość dźwiękową?

Komisarz skinął głową.

– Skoro nie przyszła na moją skrzynkę pocztową, co ma wspólnego ze mną? Chyba nie mam ochoty babrać się w tej sprawie. Serdecznie dziękuję.

– Niech pani odtworzy plik. – Deryło czuł zaciskającą się na jego piersiach duszność. Odkasznął. – Proszę to uruchomić.

Słyszając jego szorstki, ponury ton, Lec przygryzła wargę. Po chwili wahania zeszła z bieżni i włączyła nagranie. Z głośnika telefonu popłynął elektroniczny, upiorny głos.

– Chętnych do gry w szczęście nigdy nie zabraknie, ale czasem los musi wybrać sam. Takie jest również prawo Mistrza Gry. Tą wiadomością postanowiłem dołączyć do innych. Nagranie może mnie zdradzić lub zamaskować. Może powiedzieć wszystko. Sprawdźmy, pod jaką gwiazdą jestem urodzony. Ale tym razem nie zagram sam. W następnej rundzie dołączy do mnie urocza redaktor Lec. Jeżeli będzie miała szczęście, wiadomość ta zostanie odsłuchana, nim wciągnę ją do zabawy. Los lubi wyzwania. Szczęście lub pech. Życie lub śmierć. Czas start.

Przekonanie Natalii Lec do wyrażenia zgody na objęcie policyjną ochroną zajęło Deryle dobry kwadrans. Nagranie wzbudziło niepokój dziennikarki, ale z drugiej strony komisarz odniósł wrażenie, że pobudziło ją do działania. Zamiast przygnębienia dało jej zastrzyk adrenaliny. W pierwszej chwili Lec zaklinała się, że zrobi materiał o próbie zastraszenia. Zgodnie z jej rozumowaniem żaden szaleniec nie odważyłby się zaatakować dziennikarki. Skupiłby na sobie uwagę wszystkich mediów i zmobilizował każdego reportera śledczego do podwójnej pracy. To byłoby jak rzucenie mięsa przed pyski hien.

Tyle że zdaniem komisarza właśnie o to chodziło autorowi nagrania. Po przesłuchaniu taśmy po raz pierwszy wspólnie z Haler uznali, że szaleniec chce podkreślić swój udział w grze. Właśnie temu służyły wiadomości kierowane do Deryły. Lec na początku mogła być jedynie pośrednikiem, który miał przyczynić się do jego rozgłosu, a teraz sednem gry stał się jej udział. Zabójca bezwzględnie żądał popularności. Jedną z wyszczególnianych przez psychologów motywacji seryjnych zabójców było właśnie zdobycie jak największego rozgłosu. Dążenie do uzyskania statusu ikony popkultury. W obecnych czasach tendencja ta narastała. Media społecznościowe, prędkość obiegu informacji, dostępność internetu, wszystko to powodowało, że gwiazdą zbrodni można było się stać z dnia na dzień.

Ba! Z godziny na godzinę.

Seryjni zabójcy mają swoje fankluby, dostają dziesiątki listów od wielbiczek na adres zakładu karnego, a informacje o tym potrafią

pobudzić pewien promil odbiorców do tego, by pójść w ich ślady. Sfrustrowani życiem ludzie postanawiają zaistnieć. Bardziej kuszące jest dla nich bycie gwiazdą za kratami niż nikim na wolności. Skoro nie udaje się im zasłynąć w inny sposób, ryzykują odsiadką. Dla niektórych trafienie do więzienia jest nawet celem samym w sobie. Jednak wcześniej są gotowi zrobić wszystko, byle zaistnieć.

Z drugiej strony psychologowie wśród rozmaitych dewiacji wyodrębnili hybristofilię. Cierpiące na nią osoby jako obiekt pożądania seksualnego postrzegają jedynie sprawców przestępstw. Przede wszystkim brutalnych i krwawych. Hybristofilia ponoć dotyka głównie osób, które w dzieciństwie padły ofiarami nadużyć seksualnych lub przemocy domowej. Świat, jak zauważyła Haler, to ciąg akcji i reakcji. Życia i śmierci. Pecha i szczęścia.

Małżeństwa i ojcostwa.

Deryło otarł twarz dłońmi i podniósł się od stołu. Przytulny salon niezmiennie przywoływał wspomnienia. Zabytkowe meble zdawały się nasiąknięte obecnością jego rodziny. W głowie słyszał przekomarzanie żony i córki. Pilot do telewizora leżał na fotelu, na który zawsze odkładała go Ewa. Na mahoniowym stoliku niczym relikwia spoczywała czytana przez nią przed miesiącami książka. *Poradnik dobrego myślenia*.

Komisarz zerknął na talerz nietkniętego spaghetti i kieliszek czerwonego wina. Nie miał na nie ochoty. Przez ostatnie miesiące zmuszał się do posiłków, ale bywały dni, kiedy nie był po prostu w stanie. Przełknięcie czegokolwiek skończyłoby się wymiotami.

Zostawił talerz na stole i powlókł się do gabinetu. Gdy tylko zanurzył się w fotelu, na gardle zacisnął się mu węzeł duszności. Przesunął laptop, by zasłonił leżącą ramkę ze zdjęciem. Uruchomił go, a po chwili jego palce zawisły nad klawiaturą. Nie miał pojęcia, czego szukać. Wiedział, że Haler i jego ludzie już przetrząsnęli sieć w poszukiwaniu śladu gry w szczęście. Mimo to właśnie od tego postanowił zacząć.

Wyszukiwarka automatycznie zmieniła hasło na „grę o szczęście”. Tylko taka fraza dawała jakiegokolwiek wyniki. Dwie czy trzy książki, nazwa spektaklu sprzed lat i w zasadzie to było tyle. Znacznie więcej rezultatów przyniosło wyszukiwanie liczby sto dwadzieścia osiem. Rozkłady jazdy autobusów, numery odcinków rozmaitych telenowel, wideoblogów, adresy, kody pocztowe... Ponad dwa miliardy wyników szybko zniechęciły Deryłę do przewijania kolejnych stron.

Komisarz opuścił klapę laptopa i nabrał głęboko powietrza. Duszność nie ustępowała. Oplatała mu klatkę piersiową i zaciskała pazury na sercu. Kołatała nim. Wypełniała całe ciało podporządkowując sobie każdą jego tkankę.

Deryło sięgnął po ramkę ze zdjęciem i podniósł ją. Przez chwilę wodził wzrokiem po srebrnym rancie, lecz nie potrafił się powstrzymać. Ewa i Wiktoria znowu spojrzały na niego roześmianymi oczami.

Duszność.

Paralizująca duszność.

Komisarz podniósł się od biurka i zgasił światło. Chciał zanurzyć się w ciemności.

@ŻądnyPrzygód 23:45 Było miło i się skończyło.

@DagmaraLaurent 23:44 Gro w szczęście – wróć! Może powinniśmy napisać jakąś petycję? Internet za przywróceniem gry w szczęście ;)

@Sinner 23:41 @Trololo STFU!

@KrwawaWanda 23:39 Pewnie policja dorwała admina. Jechał po bandzie...

@KawałDrania 23:30 Co się dzieje? Dlaczego na stronie nie ma nic nowego?

@MarcinNowak 23:23 Dawać transmisję ;D Ja chcę flaków! :)

@Trololo 23:21 @Sinner jesteś lamerem.

@Sinner 23:18 No i po grze... IMAO Prowadzącemu się chyba znudziło.

Luzerzy.

Dwa tygodnie później

61

Deryło zamrugał. Mechanicznie wyłączył budzik i natychmiast wstał z łóżka. Przez ostatnie dni przynajmniej udawało mu się przespać po kilka godzin. W zasadzie maksymalnie trzy. Tylko raz po wieczorze spędzonym w towarzystwie bourbona zasnął przed północą. I obudził się z kacem jeszcze przed świtem.

Jednak tego poranka nie było źle. Nawet duszność nie męczyła go od pierwszego kroku, a jedynie tliła się gdzieś na dnie płuc. Szcątkowy apetyt pozwolił na pochłonięcie trzech niezbyt okazałych kanapek. To też był pewien sukces.

Nie miał odruchu wymiotnego, nie myślał o strzeleniu sobie w łeb, nie rozważał rzucenia wszystkiego i zawinięcia się z powrotem w kołdrę. Zapowiadał się pogodny, bezchmurny dzień, ale fala upałów z połowy miesiąca już przeminęła. Dwadzieścia pięć stopni stanowiło temperaturę, w której dawało się funkcjonować. Tego dnia grafik komisarza nie był napięty, a najgorszą papierkową robotę planował zrzucić na posterunkową Nowak.

Przez ostatnie dwa tygodnie w śledztwie dotyczącym Mistrza Gry nie doszło do żadnego przełomu. Ze swoimi ludźmi odwalił kawał roboty, ale właściwie stali w miejscu. Dreptali kilka kroków w jedną bądź drugą stronę, ale droga zawsze okazywała się kończyć ślepym zaułkiem. Badania potwierdziły, że zwęglone zwłoki stanowiły ziemskie pozostałości Mariusza Witta. Sztab kryminalistów przeszedł całą trasę, którą mężczyzna zwykł biegać. Pobrano ślady opon z jednego z wąwozów, ale nie udało się potwierdzić ich zgodności z próbkami pobranymi koło zalewu.

Kartka z wiadomością została przeanalizowana pod względem

struktury, materiału i ewentualnych śladów. Specjalne programy wyszukiwały umieszczony na niej fragment tekstu we wszystkich dostępnych on-line książkach. Również bez rezultatu.

Liczba sto dwadzieścia osiem nadal pozostawała tajemnicą. Haler zarzuciła forsowanie jej związku ze skrótem ABH, Nemesis albo jakimikolwiek wcześniejszymi przypuszczeniami. Według niej nie pasowały do rysu psychologicznego sprawcy. Tak samo jak fakt, że przez dwa tygodnie nie pojawiła się od niego żadna wiadomość, nie popełniono żadnego zabójstwa, a ruch we wciąż zmieniającej serwer grze w szczęście prawie zamarł.

W końcu Haler musiała się poddać i dopasować kreślony portret psychologiczny do okoliczności. Wszystko wskazywało, że Mistrz Gry przeszedł w stan uspienia. Większość seryjnych zabójców po popełnieniu mordu odczuwa zaspokojenie, które wycisza ich na pewien okres. Czasem na całe lata, a czasem na miesiące. W tym przypadku podkomisarz uznała, że sprawca liczył na rozgłos, który udało mu się osiągnąć. I to mu wystarczyło.

Mimo wszystko ochrona Natalii Lec została jeszcze utrzymana. Ograniczono ją do jednego funkcjonariusza, który teoretycznie czuwał nad nią przez całą dobę. W praktyce wysiadywał godzinami pod budynkiem redakcji. Czasem, by nie umarł z nudów, przydzielano mu towarzysza. Lec kilkakrotnie sygnalizowała komisarzowi, że ma dość cieni poruszających się za nią krok w krok. Początkowy strach zdążył już z niej ulecieć.

Deryło każdego ranka miał nadzieję na przełom i każdego wieczoru był wściekły, że śledztwo tkwi w miejscu. Tego dnia już przed siódmą z entuzjazmem wsiadł do citroena. Przekręcił kluczyk, ale silnik milczał. Powtórzył czynność jeszcze dwa razy, wreszcie z furją rąbnął dłonią w kierownicę.

– Szlag. Niech to szlag!

Nie mogło mu pójść dobrze. Powinien od razu przygotować się na to, że niezły ranek oznacza schrzaniony dzień. Miał cholernego pecha. Był o tym przekonany.

Wyciągnął komórkę i wybrał numer Haler.

– Spóźnię się – warknął, gdy tylko odebrała. – Auto mi nawaliło, a o tej porze pewnie nie doczekam się taksówki.

– Przyjadę po ciebie. I tak nie mam nic konkretnego do roboty...

– Daj spokój.

– Nie, czemu? Kiedy prowadzę, to myślę, więc może coś konstruktywnego wpadnie mi do głowy. Dalej trzymasz tego trupa na tym samym parkingu?

Niespełna dziesięć minut po tym, jak Deryło przytaknął, jego wściekłe myśli zagłuszył potworny ryk. Komisarz wyrzwał przez okno. Tuż obok citroena ktoś parkował wielki motocykl. Z tyłu miał przymocowane dwa skórzane kufry, pomiędzy którymi zatknięto polski proporczyk. Motocyklista zszedł z pojazdu i podniósł przyciemnianą szybę.

Deryło zdębiał, gdy zobaczył twarz Haler. Podkomisarz ściągnęła kask i przeczesła dłonią włosy. Wyszczrzyła się do niego w uśmiechu.

Deryło ze zdumieniem pokręcił głową. Pchnął drzwi i wyszedł z samochodu.

– Wszystkie kobiety zaczęły jeździć na motocyklach?

Haler zmarszczyła czoło.

– Nie liczyłam, że będę twoją jedyną, ale nie wiem, do kogo pijesz.

– Ta dziennikarka – pospiesznie wyjaśnił Deryło. – Lec. Zdaje się, że też lubi wiatr we włosach.

– Coś nie tak? Jesteś drogowym szowinistą?

– Tylko gdy widzę blondynki. Ale przede wszystkim nie mam pojęcia, jak w trakcie jazdy radzisz sobie z wcinaniem draży. Swoją drogą – komisarz wskazał na kufry – wybierasz się na wakacje?

– W jednym trzymam kaski i kurtkę, a w drugim wożę zakupy. Poza tym z dwoma łatwiej mi utrzymać równowagę. Dopóki ich nie zamontowałam, ciągle łapałam glebę.

Deryło domyślił się, co oznacza łapanie gleby. Nie wiedział, na ile poważnie traktować słowa podwładnej, ale nie zamierzał się nad

tym zastanawiać.

– Wskakuj. – Haler otworzyła jeden z kufrów i podała mu kask z malunkiem przedstawiającym czaszkę. – Śmiało.

– Chcesz, żebym umarł? Jeśli gdzieś zobaczę swoje odbicie, padnę na zawał.

– Alternatywą będzie czekanie na taksówkę.

Deryło z ociąganiem wziął kask. W tej samej chwili poczuł wibrację telefonu i usłyszał patetyczne tony Haendla.

– Jezu, kto się już stęsknił...

Komisarz wyciągnął komórkę i zerknął na ekran. Zaciekawiony, natychmiast odebrał. Słuchając rozmówcy, nerwowym krokiem obszedł motocykl Haler. Nagle zatrzymał się i pospiesznie założył kask. Drugą dłonią wepchnął telefon do kieszeni marynarki.

– Ten świrus chyba znowu chce zawalczyć o popularność – mruknął. – Przesłał kolejną wiadomość. I to cholernie konkretną.

Mężczyzna zatrzymał się i położył dłoń na plecach kobiety. Urwisko zaczynało się parę kroków przed nimi. Kilkadziesiąt metrów niżej rozciągała się usłana kamieniami łąka, a nieco dalej wiła się Wisła. W zasięgu wzroku nie znajdowały się żadne drogi, mosty ani skupiska ludzkie. Kilka osób brodziło przy piaszczystej łasze po drugiej stronie rzeki. Poza tym świat wydawał się zupełnie wymarły.

Mężczyzna uśmiechnął się i nabrał powietrza. Serce mu łomotało, ale nie chciał dłużej zwlekać. Jeszcze raz pchnął kobietę i przytrzymał ją tuż przed krawędzią skały.

– To by było tyle... – szepnął, choć nie bardzo rozumiał sens tych słów.

– Rozwiąż mnie.

Kobieta obróciła się w jego stronę. Natychmiast chwycił ją za rękę i z powrotem poprowadził tak, by stała twarzą do spadku.

– Nie ruszaj się – rozkazał stanowczo. – Ani kroku.

– Ale...

– Żadnego ale.

Mężczyzna nabrał tchu i sięgnął do chusty, którą kobieta miała obwiązane oczy. Jednym pociągnięciem rozwiązał supeł, po czym natychmiast klęknął. Z kieszeni wyciągnął czerwone opakowanie w kształcie serca. Otworzył je, a w promieniach słońca błysnął złoty pierścionek z rubinem i wieńcem brylantów.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał zduszonym głosem.

Kobieta zamrugła. Zerknęła na ułożone u podnóża klifu z wapiennych odłamków serce i własne imię. Obok znajdowało się

kilka podobnych kamiennych układów. Z powrotem przeniosła wzrok na mężczyznę, po czym westchnęła.

– To najbardziej tandetne oświadczyń, jakie mogłeś wymyślić.

Mężczyzna z konsternacją spuścił wzrok. Jego policzki gwałtownie się zaczerwieniły. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, kobieta zachichotała.

– Oczywiście, że za ciebie wyjdę. I pozwól, że innowacjami ślubnymi zajmę się sama.

– Nawet nie wyobrażałem sobie, żeby było inaczej.

Mężczyzna odetchnął. Purpura na jego twarzy nieco zbladła, ale dłonie wciąż mu drżały. Kiedy wsunął pierścionek na palec wybranki, uśmiechnął się szeroko.

– No wreszcie – sapnął z ulgą. – Jesteś zaklepana.

Podniósł się i objął ją w pasie. Przez chwilę patrzył prosto w jej skrzące, roześmiane oczy. Pocałowali się i złapali za ręce.

– Zaklepana? – spytała po chwili kobieta. – Chyba ty. Faceci również po zaręczynach powinni nosić jakąś obrączkę.

– Wiesz, że moje libido buzuje jedynie na myśl o tobie.

– Teraz musisz tak mówić.

– Nikt mnie do tego nie zmusił. Klękając, nie miałem pistoletu przytkniętego do głowy.

– Ale kazałeś mi założyć sukienkę z głębokim dekoltem i domyślałam się, gdzie się gapieś.

Przekomarzali się jeszcze przez parę minut. Popatrzyli na leniwie wijącą się Wisłę, na kilka haseł wypisanych w dole kamieniami przez innych amantów. Wreszcie, śmiejąc się, wrócili do auta.

– Pięć kilometrów stąd w zabytkowym dworze jest dobra knajpa.

– Mężczyzna uruchomił silnik i wycofał się z wyboistej zatoczki. Wyjechał na główną drogę, po czym gwałtownie przyspieszył. – Zarezerwowałem tam stolik.

– Na zaś?

– Po to się robi rezerwacje.

– Nie mogłeś być pewny, czy powiem tak.

– Gdybyś powiedziała nie, zostawiłbym cię tutaj i pojechał się tam upić do nieprzytomności. Dlatego rezerwacja była niezbędna.

Kobieta uśmiechnęła się. Wyciągnęła przed siebie dłoń i popatrzyła na pierścionek.

– Chyba zapomniałam powiedzieć, że jest piękny. Naprawdę fantastyczny.

Mężczyzna zerknął na rękę wybranki i przyciągnął ją do siebie. Pierścionek prezentował się naprawdę nieźle. Nawet z rozmiarem udało mu się trafić. Nie na darmo przed kilkoma tygodniami wykradł inny, nienoszony przez nią, na wzór.

Cmoknął w powietrze i z powrotem skupił się na drodze. W ostatniej chwili zobaczył przebiegającego przez jezdnię psa. Odruchowo skrzył kierownicę, a samochód z piskiem opon odbił w lewo, a potem najechał na pobocze. Kolejne kilkanaście metrów przeciął siłą rozpędu. Nie miał nad nim żadnej kontroli. Starał się wyhamować, lecz na zwirowym podłożu opony straciły przyczepność.

Mężczyzna wyciągnął dłoń, by przytrzymać kobietę. Chwilę później auto z impetem wbiło się w przydrożne drzewo.

Przez całą drogę Deryło kurczowo trzymał się Haler. Przy swojej posturze mógł robić za poduszkę powietrzną albo powłokę bezpieczeństwa. Jednak zdawał sobie sprawę, że jego nic nie chroni. Nie miał ani kurtki, ani ochraniaczy. Pęd wiatru rozwał mu poły marynarki i o mało nie zarzucił mu ich na głowę. Był przekonany, że wygląda jak kretyn. Motocyklista uciekinier z czubkowa.

Po kilkuminutowym szaleńczym slalomie pomiędzy wlokącymi się w korku autami zaklinał się, że nigdy więcej nie da się namówić na podwózkę. Śniadanie podeszło mu do gardła, a serce tłukło się o żebra. Mimo to gdzieś w żołądku czuł przyjemne łaskotanie. Wydzielona adrenalina znacznie poprawiła mu nastrój. Rozbudził się i nabrał ochoty do działania.

– Nie wiem, po co ci poranna kawa – mruknął, gdy z Haler wbiegali po schodach komendy. – Gdybym teraz podniósł sobie ciśnienie, wybiłbym sercem zęby.

– Miałam tak, gdy zdawałam na prawko. Podczas jazdy na egzaminie myślałam, że zemdleję. Teraz mi przeszło.

– Powinnaś dać sobie spokój z kuframi.

– Dlaczego?

Deryło przepuścił Haler w drzwiach i machnął do dyżurnego.

– Bez nich zamiast slalomu mogłabyś po prostu pruć między autami.

– Zdaje się, że to sprzeczne z prawem.

– Zdaje się, że przez pięć minut złamałaś więcej przepisów niż ja przez co najmniej pół roku.

Haler wzruszyła ramionami. Ostatnie metry przeszli w milczeniu, wreszcie bez ostrzeżenia wpadli do pokoju informatyków. W środku zastali jedynie ViSira. Na ich widok podniósł się od biurka i przyglądał czarną koszulkę z pstrokatym nadrukiem przedstawiającym dziecko na rowerze.

– Przesłałeś wiadomość na moją skrzynkę? – Deryło wymierzył w informatyka palcem. – Ustaliłeś, skąd została wysłana?

ViSir pokręcił głową.

– Przekierowałem mail z poczty tej dziennikarki do pana. Ale ustalenie, skąd został wysłany, jest niewykonalne. Starłem się odtworzyć logowania, ale za każdym razem ląduję w Korei czy jakichś innych tropikach.

– Czyli nadal jesteś bezużyteczny.

Haler zmierzyła komisarza chmurnym spojrzeniem. Deryło pojednawczo uniósł dłonie.

– Wiem, wiem. Wszyscy robimy, co możemy. – Podeszedł do biurka informatyka i gestem przekazał, by ten usiadł. – Pokaż ten mail.

ViSir szybko przełączył między okienkami i wyświetlił skrzynkę pocztową. Wystukując palcami rytm na myszce, odczekał aż wiadomość się załaduje. Następnie powiększył tekst i odsunął się, by zrobić miejsce policjantom.

– Masz mnie za ślepego? – Deryło zachnął się, nachylając się nad biurkiem.

Nim informatyk zdążył odpowiedzieć, uciszył go, przytykając palec do ust. W istocie, mimo powiększonej czcionki, i tak musiał zmrużyć oczy. Mail był krótki, liczył zaledwie kilka zdań, a w prawym górnym rogu po raz kolejny nadawca umieścił liczbę sto dwadzieścia osiem.

Deryło nerwowo sapnął. Udając, że chce zrobić miejsce Haler, przysunął się jeszcze bliżej biurka. Z tej odległości widział wyraźniej.

Kolejna osoba zagra w szczęście w ciągu doby. Śmierć lub życie przyjdą

do jednego z chętnych. Macie odwagę się zgłosić? Któreś z Was trafi na ekrany milionów i dowie się, co mu pisane.

Życie lub śmierć. Szczęście lub pech.

Stchórzysz?

Deryło się wyprostował i nerwowo wbił dłonie do kieszeni. Między palcami wyczuł chłód rzymskiego sesterca. Odruchowo go obrócił.

– To jakieś bzdury – warknął. – Ta wiadomość chyba nie jest skierowana konkretnie do mnie?

– Nie. – Informatyk znowu przełączył zakładki. – Proszę zobaczyć. Ktoś zamieścił ją również na stronie z grą w szczęście oraz w aplikacji. I w ciągu godziny zrobiło się szaleństwo. Zgłosiły się setki osób.

– Przecież zgodnie z ostatnią wiadomością kolejną ofiarą miała być Lec.

Deryło upił łyk kawy. Po porannej przejażdżce nadal nie był śpiący, jednak po przeczytaniu maila musiał czymś zająć ręce. Popijanie z tekturowego kubka pozwalało mu zebrać myśli. Razem z Haler od kilku minut gapili się w ekran laptopa w jego gabinecie. Oboje znali treść maila na pamięć, lecz usiłowali wyczytać coś między wierszami.

Bezskutecznie.

– Tamto nagranie trafiło tylko do nas. – Haler również ścisnęła dłoń na kubku, chociaż zawartość pochłonęła jeszcze na korytarzu. – „Chętnych do gry w szczęście nigdy nie zabraknie, ale czasem los musi wybrać sam”. Ten świr rozgrywa to według reguł, które zna tylko on jeden. Zwodzi nas, choć może nie robić tego umyślnie.

– I uważasz, że nie musimy się martwić o dziennikarkę?

– Myślę, że o nią powinniśmy się martwić w pierwszej kolejności. Ale żeby gra miała sens, a on zyskał rozgłos, musi zachęcać innych.

Deryło odstawił kubek na biurko i odwrócił się do podkomisarz.

– Też co nieco zapamiętałem. – Uśmiechnął się ponuro. – „Nagranie może mnie zdradzić lub zamaskować”. Bez przerwy się zastanawiam, o co mu chodziło.

– Rozmawialiśmy już o tym sto razy i nadal nie mam pojęcia. A w odniesieniu do ostatniego maila zastanawiam się, czy słowem klucz nie jest „nagranie”.

– Chodzi ci o jego głos?

– Sama nie wiem. Ale może właśnie zwracając na niego uwagę,

ma wrażenie, że się przed nami odkrywa. Że daje nam wskazówkę.

– Przecież to zmieniony elektronicznie bełkot.

– A jeśli to jest sedno?

– Nie podejrzewałbym, że za zabójstwami stoi marny klon Stephena Hawkinga.

Haler wstała od biurka i przeciągnęła się. Przeszła kilka kroków, następnie wyciągnęła z kieszeni opakowanie draży. Wzięła do ust całą ich garść, po czym powoli je rozgryzała. Spuściła głowę i przymknęła oczy.

– Mamy ponoć dwadzieścia cztery godziny – głośno porządkowała myśli. – W tym czasie okaże się, czy mieliśmy szczęście. Może i ten psychol kieruje się pokręconymi zasadami, ale jestem przekonana, że wydaje mu się, że trzyma się jakichś reguł. Dziennikarka była mu potrzebna, żeby sprawa natychmiast wyciekła do prasy. Ty, żeby nabrała najwyższego priorytetu. Natomiast ludzie na stronie internetowej są miernikiem jego popularności.

– I? – Deryło dopił kawę, po czym zmiął kubek. – Co nam po tym?

– Brakuje mi jakiegokolwiek motywu – Haler ciągnęła zadumana.

– Popularność mógł zdobyć samymi zabójstwami. Tyle wystarczyło Tedowi Bundy'emu. Natomiast Charles Manson wzbogacił mordy o ideologię i sekciarską otoczkę, ale nie nagrywał filmów ani wiadomości.

– Pisał je na ścianach – zauważył komisarz. – Helter Skelter.

– W tym też chodziło o ideologię. To było coś w stylu późniejszego manifestu Unabombera. A raczej jego kompilacji. Nawet w historii polskiej kryminalistyki możemy się zetknąć ze sprawcami pogrywającymi z policją, ale nikt nie zawracał sobie głowy wciąganiem do gry społeczeństwa.

– Do czego zmierzasz?

– Że to społeczeństwo jest głównym celem tego pomyleńca. – Haler podniosła głowę i otworzyła oczy. – Drwi z niego i mści się na nim jednocześnie. To sprzężenie zwrotne. Stawiam kasę za draże, że jego zdaniem to społeczeństwo kiedyś z niego zadrwiło.

– A kim jest to cholerne społeczeństwo? Zasadami, jakąś niezidentyfikowaną tkanką, systemem emerytalnym...

Haler nie odpowiedziała. Wyciągnęła z kieszeni wibrujący telefon i zmarszczyła czoło. Podniosła przepraszająco dłoń w stronę Deryły, po czym odebrała.

Komisarz odwrócił się do komputera i założył dłonie za głowę. Materiał koszuli pod jego pachami zatrzeszczał, więc zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. Zastanawiał się nad ostatnimi słowami Haler i miał wrażenie, że właśnie uchwycili coś istotnego. Nie mógł tylko zrozumieć, co takiego. Zasady społeczne? Szczęście i pech. Starał się powiązać te terminy i nanieść na treść wszystkich dotychczasowych wiadomości. Wyczuwał punkt wspólny, ale skojarzenie nieustannie mu ulatywało. Miał je na końcu języka.

– Gdzie mieszka?

Pytanie podkomisarz przykuło jego uwagę. Po chwili Haler rozłączyła się i rzuciła się do drzwi.

– Chyba wreszcie coś mamy! – krzyknęła, pędząc korytarzem.

@Trololo 9:17 LOL LOL LOL

@MichałLeń 9:17 @Nauczyciel stuknij się w łeb i daj innym się bawić. Skoro jesteś kolejnym zblazowanym życiem starym nudziarzem, siedź w domu. Daj młodym spokój. Jeżeli ktoś chce grać, to jego sprawa.

@Nauczyciel 9:16 Ciągle nikt tego nie zgłosił na policję? Tak trudno zamknąć serwery??

@Machiavelli 9:14 ja nie stchórzę! ;) Życie lub śmierć ;) Szczęście lub pech ;) YOLO!

@Cenzor 9:13 Urząd cenzorski czeka na ocenzurowanie treści drastycznych

@KacLover 9:13 Zgłaszam się! Błagam, wybierz mnie! :)

@Trololo 9:12 Transmisja nie odpali. Mówię wam.

@MarcinNowak 9:11 Yuhuuuu!! Wreszcie! Niech ten czas płynie szybciej :D

@Sinner 9:11 Im back motherfucker!

Deryło kategorycznie odmówił ponownej przejażdżki motocyklem w charakterze plecaka Haler. Poza tym zamierzał usłyszeć od niej jakiegokolwiek wyjaśnienia, a rozmowa na wolnym powietrzu przy prędkości notorycznie przekraczającej setkę była wykluczona.

Dlatego, mimo utyskiwań podkomisarz, znaleźli się w najnowszym nabytku lubelskiej policji. Nieoznakowane bmw z turbodoładowanym silnikiem o mocy ponad ćwierci tysiąca koni rwało się do jazdy równie chętnie jak motocykl. Najdelikatniejsze muśnięcie pedału gazu pokazywało siłę auta. Przede wszystkim jednak Deryło nie czuł się jak owinięty wokół podwładnej bezwładny balon.

Albo balast, patrząc z innej perspektywy.

– Wyjaśnisz mi, o co chodzi? – zapytał, gdy Haler włączyła się do ruchu. Warunkiem konsensusu było to, że to ona siądzie za kółkiem. W sumie nie miał nic przeciwko. – Czego się dowiedziałaś?

– Dzwonił ViSir. Lec przesłała mu pseudonimy, pod jakimi publikował Bończyk.

– No i?

– Wśród artykułów, które opublikował, jeden dotyczył grupy przestępczej działającej w Opolu.

– Którym Opolu?

– Lubelskim. – Haler wpisała do nawigacji adres. Nazwa miejscowości kompletnie nic nie mówiła Deryle. – Jeden z jej członków szczególnie specjalizował się w zastraszaniu i wymuszeniach. Używał do tego gwoździarki.

– Gwoździarki? Takiej, jaką za paskiem noszą majstrzy?
– Właśnie takiej. – Podkomisarz wyprzedziła sznur aut, prując buspasem. – Wiesz, jak to działa? Standardowo ma magazynek bębnekowy podobny do rewolweru. Domyśl się, jaką grę przypominało zastraszanie.

– Strzelam, choć to chyba nie najlepsze słowo, że rosyjską ruletkę.

– Właśnie. Ale w aktach sprawy pokrzywdzeni mówili, że człowiek, który ich dopadł, nazywał to grą w szczęście.

Haler tryumfalnie spojrzała na komisarza.

– Jeżeli to się okaże zbiegiem okoliczności, to skończę z drażami – oznajmiła całkiem poważnie. – Zastanawia mnie tylko związek między Bończykiem i ofiarami. Ale to na razie nie jest istotne.

– Chcesz mi powiedzieć, że właśnie jedziemy do domu tego gwoździarza?

– Mhm.

– Zamierzasz z nim po prostu porozmawiać przy kawie? Zjeść z nim kilka draż, i poklepać się po ramionach? A jak już się zasłodzi, przyzna się, że zamordował dwie osoby, ale tak naprawdę to bardzo mu przykro?

– Chciałabym się tylko rozejrzeć.

Deryło sapnął. Założył dłonie na piersi i wbił wzrok w Halera. Kobieta jednak nie odrywała spojrzenia od drogi.

– Chyba zapomniałaś, kto tu jest szefem – mruknął. – Rozumiem twoją inwencję, naprawdę mi się podoba takie zaangażowanie. Tak samo te całe linijki recytowane z pamięci, to wszystko jest szalenie urocze. Ale, do cholery, ja wydaję rozkazy.

Haler nie wyglądała na choćby odrobinę zmieszaną. Przejechała na czerwonym świetle i dynamicznie przyspieszyła. W kąciku jej ust krył się uśmiech.

– Jest jeszcze coś – odezwała się po chwili. – Skoro powstał artykuł, a sprawa była też w sądzie, wiemy, skąd może pochodzić wiadomość na kartce. Wcale nie musiała być fragmentem książki ani żadnego manifestu.

Ta myśl automatycznie skierowała uwagę Deryły na inne tory. Zdawał sobie sprawę, że Haler mistrzowsko z nim pogrywa, ale nie potrafił być na nią zły. Właściwie znów spływała na niego obojętność. Wszzechogarniające poczucie nicości.

– Może być cholernym wycinkiem akt... – szepnął. – A wtedy mielibyśmy pewność, że sprawy się łączą.

– ViSir już to sprawdził. Wiadomość jest fragmentem artykułu, w którym przytoczone zostały słowa oskarżonego.

Deryło wydał wargi.

– No to pięknie – mruknął ponuro. – No to, cholera, pięknie.

Liczył na to, że adrenalina przywróci mu chęć działania. Zerknął na wyświetlacz nawigacji i z podekscytowaniem odczytał, że od celu dzieli ich niespełna dwadzieścia kilometrów.

Niecały kwadrans później zatrzymali się w zatoczce autobusowej przy ekspresówce. Haler zgasła silnik i wyszła z auta. Deryło dopiero po chwili zrobił to samo. Nie chciał, żeby zatrzymali się pod samą bramą Damiana Skarskiego. A raczej chciał, żeby cokolwiek było pod jego kontrolą.

Powlókł się za Haler w stronę domu jednorodzinnego. Niewielka posesja znajdowała się na uboczu i była otoczona metalową siatką. Zapuszczony trawnik domagał się przycięcia, a pomalowana na zielono brama – odświeżenia.

– Jesteś pewna, że to tu?

Haler skinęła głową.

– Nie widzę domofonu – mruknęła i pchnęła bramkę. Nienaoliwione zawiasy jęknęły.

Wyłożona kostką alejka była pozarastana i nierówna. Kępki chwastów wypaczyły nawierzchnię. Kiedy znaleźli się przed domem, Deryło zboczył na trawnik. Przez cały czas czujnie obserwował okna, ale nie dostrzegł w nich żadnego ruchu. Rozejrzał się po działce, lecz zdawało się, że wokół nie ma żywego ducha.

Minął Haler, wbiegł na werandę i zapukał. Po chwili nerwowo

nacisnął dzwonek. Odpowiedziała mu martwa cisza. Zerknął na podwładną i zadzwonił raz jeszcze.

Znowu nic.

– Może trzeba było się wcześniej umówić... – fuknął.

Zbiegł po trzech schodkach i podszedł do najbliższego okna. Przyłożył dłoń do szyby, ale firanka skrzątnie skrywała wnętrze.

Kątem oka zobaczył, że Haler idzie za nim.

– Zostań tam, gdzie jesteś – nakazał. – Coś mi tu nie pasuje.

Nie zważając na protesty podkomisarz, podszedł do drzwi garażowych i się nachylił. Były lekko uniesione. Na tyle, że przytykając skroń do ziemi, mógł dostrzec tonące w półmroku wnętrze. Kilka razy zamrugał, przyzwyczajając oczy do ciemności. Kształty powoli się wyostrzyły.

– Szlag!

Deryło jak oparzony poderwał się i sięgnął do kabury.

@PanJan 11:30 Olewam to, zawsze mam pecha. W Lotka na setki prób raz trafiłem trójkę. A w drodze po wypłatę zgubiłem kupon...

@Trololo 11:30 @Krziesimir lamer!

@Krziesimir 11:29 Nie wiem, dlaczego nie mogę dodać komentarzy! Halo! 12345!!

@KacLover 11:28 Proszę o weryfikację mojego zgłoszenia ;) Jestem napalony na tę grę jak Bob Marley po koncercie! ;D

@KawałDrania 11:27 Czekam!

Haler niemal natychmiast znalazła się przy komisarzy. Ściskając pistolet, wymierzyła go w drzwi garażowe. Nie miała pojęcia, co się stało.

– Ubezpieczaj mnie – syknął Deryło.

Chwycił okrągłą klamkę i pchnął drzwi do góry. W akompaniamencie rżenia prowadnic podniosły się i odsłoniły puste wnętrze, w którym z powodzeniem mogły zmieścić się dwa spore auta.

Deryło zrobił krok naprzód i przytknął palec do ust. Na migi pokazał Haler, żeby zabezpieczyła podwórze. Nie spodziewał się, żeby dom miał tylne wyjście, lecz wolał nie ryzykować.

Plama krwi u jego stóp wsiąkła w betonową wylewkę i przybrała odcień rdzy. Gdyby przenieść ją na karty testu Rorschacha, porównałby ją do wizerunku byka uwiecznionego w jaskini Lascaux. Do jej powstania potrzeba było co najmniej litra cieczy. Może nawet znacznie więcej. Gwałtowna utrata takiej ilości krwi wiązałaby się z poważnym zagrożeniem dla życia nawet rosnącego mężczyzny.

Komisarz obszedł plamę i przeniósł wzrok na ułożone w równym szeregu narzędzia ogrodnicze. Grabie, szpadle, łopaty i motyki. Nieco dalej na hakach zawieszono były dwie piły, sekator i nożyce do przycinania gałęzi. Obok nich wisiał metalowy przedmiot, który zdążył już poznać. Stalowe kajdanki z elektronicznym zapięciem.

To nie było wszystko.

Powoli kierował się ku drzwiom łączącym garaż z domem. Na szczęście nie było tu żadnych zakamarków, więc widział niemal

każdy kąt pomieszczenia. Odwrócił się do Haler i uniósł kciuk. Podkomisarz zrobiła to samo. Cofała się w głąb podwórza, by mieć kontrolę nad całą posesją. Wystawiała się przy tym na strzał z każdego z okien frontowych.

Deryło błyskawicznie dopadł do plastikowego kubła, w którym z powodzeniem mógłby się ukryć człowiek.

Lub w którym można by schować zwłoki.

Zamiast nich dostrzegł zwój liny wzmocnionej metalowymi żyłkami, pojemnik z chloroformem oraz kilka innych opakowań substancji chemicznych. Nie zamierzał tracić czasu na przeglądanie etykiet, a przede wszystkim nie chciał zanieczyścić dowodów własnymi odciskami.

Ściskając oburącz służbowego glocka, zbliżył się do drewnianych drzwi. W tym miejscu garaż tonął w półmroku, więc niemal po omacku wszedł po cementowych stopniach. Przez rękaw koszuli nacisnął klamkę.

Liczył, że drzwi będą zamknięte, a do dalszej akcji niezbędne okaże się wsparcie. Tymczasem zamek jak na złość ustąpił. Deryło odwrócił się w stronę podwórza, lecz Haler znalazła się już poza zasięgiem jego wzroku. Rozdzielenie się nie było najbardziej zalecaną procedurą w podobnych okolicznościach, mimo to nie miał wyjścia. Gdyby Skarski był w środku, wchodząc we dwójkę ryzykowaliby, że ucieknie przez któreś z okien. A tych nie brakowało.

Podczas szkoleń zdrowie i życie funkcjonariuszy stawiano na pierwszym miejscu, jednak w praktyce wolał nie dać prysnąć potencjalnemu wielokrotnemu zabójcy.

Krok po kroku przemierzał wąski korytarz. W powietrzu unosił się zapach drewna i lakieru. Na sosnowej boazerii zawieszane były kiczowate obrazki z dawnymi modelami sportowych aut i fotograficznymi aktami z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych.

Deryło wpadł do pierwszego pokoju. Poza stolikiem kawowym

i wersalką nie umieszczono w nim żadnych mebli. Dzięki temu wyeliminowane zostały wszystkie potencjalne kryjówki i pułapki.

Komisarz powoli posuwał się dalej. Z ulgą zauważył, że kuchnia stanowi otwarte pomieszczenie połączone z widnym salonem. Z perspektywy korytarza doskonale widział szafki, kuchenkę i część wypoczynkową ze skórzaną wersalką oraz zawieszonym na wyciągu wielkim telewizorem. W domu nie było żadnych kwiatów ani innych śladów kobiecej obecności. Kawalerski duch wnętrza przepęłniał każdy przedmiot.

Nagle Deryło dostrzegł czyjś cień. Przemknął kilka metrów od jego prawego boku. Komisarz gwałtownie uskoczył i przywarł do ściany.

– Stój, policja!

Przez kilka sekund nie poruszył się, nasłuchując. Wstrzymał świszczący oddech, lecz zdawało mu się, że wszystkie odgłosy zagłusza walenie jego serca. Poprawił uścisk na rękojeści pistoletu. Odliczył do trzech i nabrał tchu. Wyskoczył zza załomu ściany i przybrał pozycję strzelecką.

Cień był naprzeciwko niego.

Komisarz odbijał się w wielkim lustrze zawieszonym we wnęce pod schodami.

Powoli wypuścił powietrze i ruszył w stronę zwierciadła. Mimo to pozostał czujny, a jego mięśnie piekły z napięcia. Jednak adrenalina dodawała sił. Z zaskakującą szybkością wbiegł po kilkunastu prowadzących po łuku stopniach i znalazł się na piętrze. Góra domu była całkowicie niezaadaptowana. Stanowiła otwartą przestrzeń poprzecinaną tylko belkami stropowymi.

Deryło opuścił broń i podszedł do drzwi balkonowych. Poza dwoma sporymi oknami zamontowanymi w płaszczyźnie dachu stanowiły jedyne źródło światła.

Komisarz szarpnął klamkę i wyjrzał na podwórze. Haler natychmiast wymierzyła w jego stronę.

– Dom czysty – rzucił krótko.

– Chcesz?

Sierżant Dariusz Wanach wyciągnął w stronę siedzącej obok niego policjantki paczkę papierosów. Posterunkowa pokręciła głową.

– Nie. Wiesz, że od tygodnia walczę z tym diabelstwem.

– A ty wiesz, że ja lubię kusić. Jesteś pewna? Na coś trzeba umrzeć.

– Gdybyś porozmawiał z psychologiem, dowiedziałbyś się, że właśnie tak mówią nałogowcy. To ich motto.

Wanach spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jego wzrok prześlizgnął się po jej piersiach i spoczął na kwadratowej twarzy. Posterunkowa Nowak przypominała buldożer. Do tego jej brak poczucia humoru i pedantyzm były wręcz legendarne. Wanach wolałby spędzić parę godzin w radiowozie z dmuchaną lalką niż z nią. Nie chodziło o niechęć, a specyficzny dystans, na który wszystkich trzymała.

– Naprawdę konsultowałaś rzucenie palenia z psychologiem? – zapytał rozbawiony. – Serio?

Posterunkowa nawet na niego nie spojrzała.

– Oprócz tego z dietetykiem i diabetologiem.

– Żartujesz?

– Ani trochę. – Nowak pozostała, oczywiście, śmiertelnie poważna. Wanach nigdy nie usłyszał z jej ust dowcipu, ale to zakrawało na absurd. – Rzucanie palenia powoduje głębokie zmiany w organizmie. Posterunkowa jakby recytowała mantrę. – Rozchwiany metabolizm, zazwyczaj, niestety, spowolniony, a co za tym idzie gorsze spalanie materii, inna potliwość, zapotrzebowanie

na składniki odżywcze, w tym cukier...

– Dobra, wygrałaś. – Wanach wyciągnął z paczki papieros i pokręcił głową. Śmiejąc się pod nosem, wyszedł z radiowozu. Odpalił marlboro, po czym oparł się o drzwi. Zajrzał nad nimi do środka auta. Umyślnie wypuścił dym w stronę Nowak. – Nie myślałaś chociaż nad przerwaniem się na te elektroniczne cuda?

– Ostatnio coraz więcej naukowców jest przekonanych, że są bardziej szkodliwe od zwykłych fajek.

– I to naprawdę cię zniechęciło? Przecież życie jest szkodliwe...

Nowak odkaszlnęła. Uchyliła drzwi po swojej stronie, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Doszłam do wniosku, że palenie papierosów to brak samodyscypliny.

– Co takiego?

– Nałóg jest silniejszy od ciebie. Jesteś w pociągu, powinieneś myśleć tylko o przespaniu się lub poczytaniu gazety, ale idziesz do kibla zapalić. Jesteś na konferencji, w samolocie, na odprawie czy gdziekolwiek indziej i nałóg cię wyciąga. Każe ci sięgnąć po papierosa wbrew jakimkolwiek logicznym powodom.

– To też naopowiadał ci jakiś psycholog?

Wanach był niemal pewny, że posterunkowa sobie z niego żartuje. Z niego, a przy okazji i z siebie. Jednak podejrzewanie jej o poczucie autoironii zakrawało na obłąd.

– Nie. Akurat to musiałam zrozumieć sama. Choć pomogła mi pewna sesja i...

Posterunkowa zamilkła. Gwałtownie obróciła się w fotelu i zamknęła drzwi. Wanach ze zdziwieniem się wyprostował. Strzepnął popiół i powiódł wzrokiem po parkingu. Dopiero po chwili zauważył, że Natalia Lec wybiegła z redakcji. Ze skórzaną torbą pod pachą kierowała się w stronę swojego motocykla. W tym samym momencie ruszyło za nią zaparkowane dotąd przed wejściem do budynku kombi. Nagle kierujący autem przyspieszył i pchnął drzwi, powalając dziennikarkę na bruk.

Ułamek sekundy później kobieta została wciągnięta do środka.

W pierwszej chwili Wanach z papierosem w ustach sięgnął do kabury. Widząc ludzi przechodzących przez ulicę za parkingiem, wypłuł niedopałek na ziemię i wskoczył do radiowozu.

– Ja pieprzę... – syknął, przekręcając kluczyk.

– Spójrz.

Deryło nachylił się nad otwartą metalową skrzynką z narzędziami. Znajdował się w niej tylko jeden przedmiot. Przypominał masywną suszarkę ze zwężającym się wylotem powietrza. Do zielonej obudowy przyklejona była nalepka z podziałką centymetrową.

– To jest to narzędzie do strzelania gwoździami? – Haler przesunęła się, aby nie zasłaniać światła wpadającego przez uchylone drzwi garażowe.

– Do wbijania gwoździ – poprawił ją komisarz. – Raczej nie udałoby się z tego strzelić. Zresztą to chyba ty mi o tym wspominałaś...

– A to?

– O czym mówisz?

Haler wskazała na końcówkę urządzenia. Wyciągnęła z kieszeni telefon i włączyła latarkę. W jej intensywnym, białym świetle wyraźnie widoczne były rdzawe smugi wokół wylotu gwoździarki. Deryło westchnął.

– Myślisz, że z pewnych nawyków się nie wyrasta?

Wyprostował się i poruszył głową, rozciągając mięśnie karku. Technicy i reszta ekipy powinni tu dotrzeć lada moment. Należało zabezpieczyć cały teren, więc zapowiadało się sporo roboty. Deryło nie wykluczał przekopywania podwórza.

Na wszelki wypadek.

Zaczerpnął powietrza i ruszył w stronę przejścia do domu. Zostawił wcześniej drzwi otwarte, aby dotykając ich za każdym

razem, nie zetrzeć ewentualnych śladów. Właściwie przed przyjazdem kryminalistów w ogóle nie powinien wchodzić do środka, ale frapowała go pewna myśl.

– Muszę coś sprawdzić – rzucił do Halera. – Zostań tu przez chwilę.

– Mam robić za komitet powitalny?

Deryło uśmiechnął się ponuro.

– Przede wszystkim uważaj. Nie wiemy, gdzie jest ten sukinsyn i czy nie zamarzy mu się zaraz wrócić. Lepiej, żeby nie pomyślał, że do domu zakradli mu się złodzieje.

Komisarz wszedł do środka i przeszedł się wąskim korytarzem. Tym razem zwrócił uwagę tylko na jedno jedyne współczesne zdjęcie. Przedstawiało pucołowatego, ale dość drobnego mężczyznę około pięćdziesiątki, z krótko ściętymi szpakowatymi włosami. Nie był ani przystojny, ani brzydki. Raczej nie wyróżniałby się z tłumu ludzi w swoim wieku. Nie miał lodowatego spojrzenia ani widocznych tatuaży. Nieco zgarbiony, stał obok zabytkowego, eleganckiego auta. Deryło obstawiał, że to amerykańska, tużpowojenna robota. Czarny lakier na długiej masce załamywał światło i kontrastował z lśniącymi chromami.

Oderwał wzrok od zdjęcia i skierował się w głąb domu. To całkiem inny szczegół przykuł jego uwagę. Choć nie był pewny jaki.

Gdy znalazł się na symbolicznej, wyłożonej kafelkami granicy między kuchnią i salonem, wyteżył pamięć. Właśnie w tym miejscu coś mu wcześniej nie pasowało. Przykuło jego uwagę na moment przed tym, jak uskoczył przed własnym cieniem.

Deryło powiódł wzrokiem po zakątku z telewizorem i zasłoniętych firanką oknach, wreszcie obrócił się w stronę lodówki. Do jej górnych drzwiczek magnesem przyczepiono plakat z półnągą, piersiastą blondynką. Prawdopodobnie rozkładówkę z jakiejś gazety.

Nagle go olśniło. Wzrok komisarza przykuł niewielki puchaty dywan rozłożony tuż obok zlewu. Dywan, który do tandetnie

umeblowanego przez mężczyznę wnętrza pasował jak pięść do nosa. Deryło podszedł do niego i kucnął. Materiał został niechlujnie przyklejony do imitującej deski terakoty. Komisarz nigdzie nie widział żadnych wypustek lub uchwytów. Ostrożnie przebrał dłońmi po tkaninie i nagle wyczuł w niej zagłębienie. Puchate strzępki sprawiały, że gdy patrzyło się z góry, było całkowicie niewidoczne. Dopiero teraz, pod pewnym kątem, dostrzegł załamanie światła.

Po chwili natrafił na podłużne rozcięcie. Gdy zanurzył w nim palce, od razu wyczuł metalowy łańcuszek. Wystarczyło go wyciągnąć i kilka sekund później Deryło bez trudu podniósł niewielki właz do piwnicy. Ukryta gdzieś czujka wykryła ruch i automatycznie zapaliła światło.

Komisarz klęknął i zajrzał do środka. Jego serce momentalnie wypluło podwójną porcję krwi.

– Dlaczego nie strzelałeś?! – Nowak nerwowo wpychała pas do klamry, ale mechanizm odskakiwał. Wreszcie udało jej się go zapiąć.

– Do kogo miałem strzelać? W powietrze?

Wanach włączył stroboskop i docisnął gaz do oporu. Radiowóz z piskiem opon wypadł z parkingu. Granatowe kombi gnało samym środkiem ulicy kilkadziesiąt metrów przed nimi. Kierowca opętańczo naciskał klakson i mrugał światłami. Jadące z naprzeciwka pojazdy zjeżdżały na chodnik lub zatrzymywały się. W mgnieniu oka na drodze zapanował totalny chaos, w którym kontynuowanie pościgu ocierało się o samobójstwo.

– W opony, cokolwiek... – Nowak zaparła się dłońmi o kokpit. – Wszystko było lepsze niż Need for Speed po lubelskich ulicach.

– Wiesz, co to jest Need for Speed?

– W dzieciństwie kolegowałam się głównie z chłopcami.

Wanach nie pociągnął tego tematu. Przeciął pas zieleni i mknąc nim, objechał kilka aut. Gdy radiowóz z powrotem znalazł się na jezdni, chwycił nadajnik.

– Dwa jeden, dwa zero. Zgłaszam uprowadzenie. Powtarzam. Ochraniany obiekt został uprowadzony. Jedziemy za pojazdem, w którym się znajduje. Granatowy opel insignia, kombi. Numery rejestracyjne... – Sierżant odwrócił się do Nowak. – Zapamiętałaś numery?

– Wydaje mi się, że końcówka była osiemnaście GS.

– Ja nie zdążyłem niczego zobaczyć, ale... O w mordę!

Uciekający opel dosłownie staranował niewielkie, elektryczne

auto, które z hukiem przewróciło się na bok. Kierowca insygnii natychmiast przyspieszył. Z samochodu posypały się plastikowe elementy, lecz najwyraźniej nadawał się do dalszej jazdy.

– Ranni. Mogą być ranni – wrzasnął do nadajnika Wanach. – On taranuje kolejne auta.

Głośniki zaszumiały.

– Wysyłam wsparcie i wzywam pomoc medyczną. Lokalizacja zgodna z systemem?

– Tak.

Zamówiony przez policję system lokalizacyjny pozwalał na jednoczesne śledzenie wszystkich objętych nim radiowozów. Co więcej, gwarantował natychmiastowe skoordynowanie ich prac z innymi służbami bez konieczności nieustannego meldowania o zmianie kierunku jazdy lub zatrzymaniu się. Wszystkie informacje trafiały na bieżąco do zbiorczej bazy.

– Przetnij plac – rzuciła Nowak.

– Co takiego?

– Wyprzedź go przez plac Teatralny. Prawie nie ma ludzi. Ten szalenciec musi skręcić w lewo, bo skrzyżowanie z Lipową ma całkowicie zakorkowane.

Wanach błyskawicznie ocenił sytuację. Rzeczywiście, na skraju placu nie było niemal nikogo. Dopiero przy ustawionej w głębi budce z kawą zebrał się mały tłumek. Każdy, kto mógł i miał czas, szukał chłodu w cieniu zwalistego Centrum Spotkania Kultur.

Sierżant gwałtownie obrócił kierownicę i przejechał pas kocih łbów. Autem zatrzęsło, ale przynajmniej nie stracił nad nim kontroli. Przyspieszył, o mały włos nie wpadając na rowerzystę ze słuchawkami na uszach.

– Skurwysyn...

Tymczasem opel ze zgrzytem otarł się o rząd aut, które zatrzymały się przed przejściem dla pieszych. Zarzuciło nim, lecz kierowca natychmiast wyrównał tor jazdy. Mimo to musiał zwolnić. Przez moment wydawało się, że będzie chciał wjechać na chodnik

i przejechać wzdłuż ogrodzenia parku Saskiego, ale uniemożliwiły mu to nasadzone w tym miejscu zbyt gęsto drzewa.

– Mam go.

Wanach przejechał przez wąski trawnik i z powrotem skierował auto na jezdnię. Zawieszenie szczęknęło. Radiowóz nie był przystosowany do pokonywania kilkunastocentymetrowych krawężników. Jednak sierżant mistrzowsko wyczuł odległość.

Znaleźli się na ulicy tuż przed oplem.

– Trzymaj się! – Wanach z całej siły wdepnął hamulec. Radiowóz wpadł w kontrolowany poślizg i zatrzymał się w oparach palonej gumy.

Kierowca opla nie był w stanie go ominąć. Uderzył policyjny pojazd w tył, ale siła nie była dostateczna, by go obrócić. Musiał cofnąć, aby go objechać, jednak strzaskany zderzak i błotniki zablokowały koła.

Policjanci błyskawicznie wyskoczyli na zewnątrz. Wycelowali w stronę kabiny opla i zaczęli go obchodzić z obu stron. Przednia szyba była popękana, więc z trudem rozróżniali zarysy sylwetek.

– Wyłaź! – Wanach przebiegł za zasłoną furgonetki, z której uciekła przestraszona prowadząca. – Opuść wóz!

Na migi pokazał Nowak, by obeszła kombi z drugiej strony. Nagle drzwi opla otworzyły się na oścież. Ze środka wyskoczył mężczyzna w czerwonej koszuli i z czarną kaszkietówką na głowie. Cień daszka padał mu na twarz.

– Pokaż ręce! – wrzasnęła Nowak.

Mężczyzna powoli uniósł dłonie. Sięgnął do czapki, ale jedynie mocniej nasunął ją na głowę. Miała dziwny kształt, jakby coś pod nią ukrywał.

– Nie dotykaj jej! – Wanach ostrożnie się do niego zbliżał. – Nie dotykaj czapki!

Mężczyzna zgarbił się i założył dłonie za głowę. Ukradkiem nadal manipulował przy czapce. Wanach ostrzegawczo wyciągnął broń. Jednym susem dopadł do podejrzanego i powalił go na ziemię.

Zakuł go w kajdanki, po czym brutalnie obrócił na plecy.
Przypadkiem strącił mu przy tym czapkę, a...

Wtedy po raz pierwszy spojrzął na twarz zatrzymanego.
– Jezu Chryste – wyszeptał oniemiały.

Deryło z Haler, ubrani w kombinezony ochronne, zeszli po chwiejnej drabinie i stanęli na betonowej podłodze. Technicy przed chwilą zakończyli rozstawianie sprzętu. Wysoki, szczupły mężczyzna w białym skafandrze krążył wokół z aparatem, starając się znaleźć najdogodniejszą perspektywę do zrobienia zdjęć.

– Zaczekajcie. – Uniósł dłoń, zatrzymując policjantów. – Możecie wejść, jak skończę fotografować.

– Jasne. Nie spiesz się. Przecież mamy czas.

Deryło odsunął się, robiąc mu miejsce. Flesz aparatu rozświetlił pomieszczenie. Zawieszona przy drabinie pojedyncza żarówka o słabej mocy dawała niewiele światła. Kolejne rozbłyski ukazywały makabryczną scenerię.

Piwnica była prostokątna i miała około dwa na cztery metry. Jej ceglane ściany oklejały plakaty podobne do tego, który wisiał na lodówce. Półnagie lub nagie kobiety przeżyły się w uwodzicielskich pozach. Niektóre z nich posyłały w stronę patrzących całusy, a inne jedynie zalotnie się uśmiechały.

Jednak Deryło niemalże nie zwrócił na nie uwagi. Jego spojrzenie skupione było na samym środku piwnicy. Zostało tam ustawione metalowe krzesło z wysokim oparciem. Do krzesła grubymi sznurami przywiązano zwłoki mężczyzny. Liny wbijały się w czarny garnitur i białą koszulę, utrzymując ciało w pionie. Głowa zmarłego została odgięta do tyłu, ale uwagę komisarza przykuł odcień jego skóry. Lśniący, wręcz szklisty, jakby oblepił go jakiś śluz. Deryło wiedział, że w przypadku śmierci wskutek zażycia niektórych trucizn zwłoki pokrywa specyficzny nalot, lecz nigdy

dotąd, nawet w materiałach szkoleniowych, nie zetknął się z czymś podobnym.

– Co to, u diabła, jest? – Odwrócił się do Haler i pokręcił głową. – Co ten świr tu robił?

Podkomisarz, mrużąc oczy, przyglądała się skrępowanemu ciału. Jej twarz wyrażała bezgraniczne skupienie. Nagle poruszyła się i poprawiła kosmyk włosów, który wypadł jej spod ochronnego czepka. Nie odezwała się nawet słowem.

Seria błysków fleszy rozświetliła piwnicę. W intensywnym, białym blasku skóra zmarłego wydawała się wręcz błyszczącą. Deryło popatrzył po jego podkurczonych, obrzmiałych dłoniach i rozdętej szyi.

– Możecie podejść. – Technik w końcu schował aparat do etui. – Załóżcie maseczki.

Policjanci posłusznie zakryli usta włókniną i zbliżyli się do krzesła. Dopiero teraz Deryło zauważył, że w czole mężczyzny jest dziura po kuli. Nie widział jednak śladów krwi, a czaszka zionęła dziwną pustką. Przesunął się, aby wpuścić padające zza pleców światło.

Jednocześnie z Haler cicho zakleli.

– On nie ma mózgu – wymamrotała podkomisarz. – To cholerny zabalsamowany trup. Mumia zalana tym samym gównem, którym pokryto zwłoki Witta.

– Tylko nie próbuj tego lizać...

Deryło obszedł krzesło i spojrzał na twarz zamordowanego. Była wygięta w nienaturalnym grymasie, ale skrzące się usta nie przypominały ust nieboszczyka. Nie zapadły się i miały dość naturalny odcień, choć wolną przestrzeń między nimi wypełniała szklista powłoka. Najbardziej przerażające były jednak oczodoły. Powieki zakrywały miejsce po zapadniętych lub usuniętych gałkach ocznych. Zakleiła je zastygła substancja podobna do bezbarwnego lakieru. Wyraźnie widoczne były jej nierówne zacieki. Do tego na policzkach zmarłego Deryło dostrzegł specyficzne ślady,

jakie widuje się na niedbale pomalowanej ścianie. Roztartą fakturę pędzla lub wałka.

Zacieki były szczególnie widoczne na żuchwach oraz płatkach uszu. Wydawało się, jakby ciało unurzano w ciekłym azocie, a każde dotknięcie mogło spowodować, że rozpadnie się na tysiące lodowych kawałków.

Deryło niemal podskoczył, czując wibrację telefonu. Przez kombinezon nie miał jak się do niej dostać, więc odczekał, aż Haendel urwie swą sarabandę. Jednak chwilę potem komórka znów zadzwoniła. Narastające tony wypełniały piwnicę.

– Cholera, ktoś dostał sraczki czy co?! – Komisarz z rezygnacją odwrócił się w stronę drabiny.

Komórka zamilkła.

I zaraz rozdzwoniła się ponownie.

Wanach ściągnął bluzę mundurową i zwinął ją w kłębek. Ręce telepały mu się na wszystkie strony. W gardle czuł narastającą gulę.

– Pospiesz karetkę! – wrzasnął w stronę Nowak. – Daj mi wodę albo cokolwiek!

Nachylił się nad skutym mężczyzną i zacisnął szczęki. Czarna kaszkietówka leżała tuż obok, lecz dopiero teraz dostrzegł, że w jej środku znajdowały się szklane ampułki. To dlatego miała tak nienaturalny, wypukły kształt. W momencie, gdy strącił czapkę z głowy zatrzymanego, część fiolek pękła. Wanach nie miał pojęcia, co zawierały, lecz bezradnie obserwował, jak ciecz spływa po twarzy mężczyzny. Leżący wił się i wierzgał z bólu. Substancja dosłownie wypalała w jego ciele krwawe kanaliki. Włosy spłynęły mu na czoło razem z całym płatem skóry.

– Mój Boże...

Sierżant przeciągnął bluzą po zaciekach. Liczył na to, że obetrze substancję z nosa i okolic oczu zatrzymanego. Delikatnie przyklepał ją, wywołując jeszcze głośniejszy wrzask.

Odciągnął bluzę i zobaczył, że razem z nią odeszła niemal cała skóra z prawego policzka mężczyzny. Jego oczy były otwarte, a źrenice – rozszerzone. Żrąca substancja już trawiła część powiek. Zdawało się, że ciecz wchodzi w dalszą interakcję z tkankami ciała i dosłownie je wypala.

Wanach ciężko dyszał. Czuł kwaśny zapach spalonego mięsa i włosów. Aby powstrzymać wymioty, wyprostował się, po czym zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Przez moment chciał rozkuć

zatrzymanego, lecz ten miotał się w konwulsjach.

Sierżant zdał sobie sprawę, że choć znajdowali się na środku ulicy, wokół nich zebrał się spory tłum gapiów. Kierowcy powysiadali z aut i niemo przyglądali się makabrycznej scenie. Kilka osób ścisnęło w rękach telefony komórkowe. Wanach uchwycił skonsternowane spojrzenie Nowak. Po raz pierwszy widział w oczach policjantki zdenerwowanie i strach. Pochyliła się nad siedzącą w radiowozie dziennikarką, ale ukradkiem pokazała mu uniesiony kciuk. Chociaż tyle...

– Zabierz stąd tych ludzi. Do kurwy nędzy, niech oni nie robią zdjęć!

Przypomniał sobie, że prosił posterunkową o wodę. Jednak obawiał się, że splukiwanie nią wypalającej substancji mogłoby zadziałać jak gaszenie oleju na patelni. Albo benzyny.

Kawałek płotka nosowego mężczyzny odpadł i odsłonił pustkę nozdrza. Kwas działał teraz nieco wolniej lecz dotarł już do górnej wargi. W kilka sekund została przepalona niemal na wylot, odsłaniając kurczowo zaciśnięte zęby wijącego się. W tym momencie mężczyzna już nie krzyczał, lecz charczał. Dławił się śliną zmieszaną z krwią i fragmentami własnego rozpuszczonego ciała. Jego lewa brew dosłownie znikła i odsłoniła kość. Chwilę później substancja zaczęła wypalać odruchowo zaciśniętą powiekę. Z oczodołu spłynęła duża łza, w której Wanach dostrzegł brązową skazę. Był przekonany, że to tęczęwka.

Skrecający się z bólu mężczyzna podkurczył nogi. Wanach bez zastanowienia chwycił go i obrócił na bok. To jedyne, co mógł zrobić, by zapobiec udławieniu. Przez bluzę odgarnął do tyłu jego głowę, lecz mimo że substancja powinna przestać ściekać ku szyi, żłobiła krwawe ślady już w brodzie i na zuchwach leżącego.

Sierżant podłożył mu pod głowę bluzę i bezradnie uniósł rękę. Przełknął ślinę, a wraz z nią poczuł w przełyku posmak wyzeranej kwasem skóry.

Odchylił się na bok, przyłożył dłoń do ust, lecz nie zdołał

pohamować wymiotów.

Zawartość jego żołądka wylądowała na ciężkich, policyjnych butach.

Deryło miał święcie dość. Policyjnej roboty, świata, a przede wszystkim siebie samego. Czuł się jak stara zabawka, której elementy przestają działać. Duszność i ucisk w klatce piersiowej, problemy z zebraniem myśli, nawracające poczucie otaczającej go pustki. Wszystko to pojawiło się w ciągu ostatnich miesięcy. Doskonale rozumiał psychologiczne podłoże tego samopoczucia, lecz za nic w świecie nie dałby się namówić na terapię. Uznał, że albo poradzi sobie sam, albo któregoś dnia sam ze sobą skończy. Toczył ten obwoźny biznes, trzymając się jeszcze ostatniej iskierki nadziei. Choć nie bardzo wiedział, czego ta nadzieja miałaby dotyczyć. Gdy tylko iskierka zgaśnie...

Odsunął od siebie te myśli. Przez całe popołudnie wykonywał naprawdę solidną robotę i mógł czuć choć nieco satysfakcji. Odrobinę ulgi. Jego Anioł Stróż teraz powinien poklepać go w ramię i szepnąć, że oto nadchodzi czas podnieść się z kolan.

Bzdury.

Wszystko wskazywało na to, że Mistrz Gry popełnił błąd i skazał się na śmierć w okrutnych męczarniach. Jednak, o ironio, miał pecha. Lekarzom przez ostatnie godziny udawało się utrzymywać go przy życiu. Jego stan był krytyczny, pozostawał w śpiączce, a wszystko zależało od przysłowiowego łutu szczęścia. W spodniach mężczyzny znaleziono zabezpieczoną laminowaną powłoką kartkę. Wypisane zostały na niej tylko trzy zdania.

Skoro czytacie te słowa, to musiałem przegrać swoją partię. A to pech! Ale hola, hola. Gra w szczęście wciąż trwa.

Nikt nie miał pojęcia, dlaczego gra miała się nie skończyć. Co prawda, w internecie pojawiały się ciągle nowe komentarze, a wydarzenia z Alej Racławickich roztrząsano na rozmaite sposoby, lecz wszystko zdawało się wyjaśnione. Koniec i kropka.

Na stronie gry umieszczono kilka filmików, na których sierżant Wanach walczył o życie wijącego się w konwulsjach mężczyzny, ale tu również nie należało doszukiwać się drugiego dna. Zdaniem ViSira, który akurat te dane był w stanie zweryfikować, wszystkie nagrania zostały wrzucone przez zewnętrznych użytkowników. Każdy z nich skorzystał z opcji udostępnienia własnego pliku.

Granatowa insignia mogła być samochodem, który naćpany dzieciak widział przy zalewie. Po paru buchach marihuany jego umysł mógł przerobić ledwie dziesięcioletnie auto na zabytkowy trumnowóz. Zresztą wtedy wcale nie upierał się przy określaniu roku jego produkcji. Był jedynie pewny, że chodzi o kombi. Kryminaliści pracowali nad materiałem zebrany w środku auta, a przede wszystkim starali się dopasować ślady traseologiczne.

Deryło wyprosił laboratorium o pobrane odciski palców i przetrząsnął wszystkie systemy daktyloskopijne. Wyszukiwanie, niestety, nie przyniosło żadnych rezultatów. Jednak nie było w tym nic dziwnego. Damiana Skarskiego, pseudonim Sztama, sądzono w czasach, gdy jeszcze nie istniał obowiązek umieszczania danych w międzynarodowych bazach. Cała reszta się zgadzała. Był degeneratem, któremu odsiadkę skróciła fucha świadka koronnego, ale psychologowie jednoznacznie określali go jako element niebezpieczny.

Haler pobieżnie przejrzała stertę raportów, które sprowadzały się do opisanego Skarskiego jako psychopaty, socjopaty bądź innego „paty”. To, że nie było dowodów, że przez ostatnie lata nie wszedł w konflikt z prawem, świadczyło jak najgorzej o wykrywalności przestępstw albo ich sprawców. Innej opcji podkomisarz nie

dopuszczała.

Technicy zabezpieczyli wszelki sprzęt elektroniczny znaleziony w domu mężczyzny. Deryło przesłał im jeszcze listę pytań, które miały rozwiązać dręczące go wątpliwości. Te towarzyszyły mu nieodzownie, wraz ze złym przeczuciem.

Dochodziła dziewiętnasta, kiedy dostał informację ze szpitala, że może porozmawiać z Natalią Lec. Dziennikarka była już po wszystkich badaniach i ponoć czuła się nieźle. Na tę wiadomość Deryło jak rażony prądem poderwał się od biurka. Nieformalna rozmowa miała stanowić zwieńczenie dnia. Drętwe, schematyczne przesłuchanie postanowił odłożyć do jutra.

W drodze do wyjścia zmiął origami i cisnął nim do kosza. Żuraw odbił się od metalowego rantu.

Gdyby był przesądny, potraktowałby to jako zły znak.

Lec trafiła na oddział ratunkowy szpitala wojewódzkiego. Priorytetowo przeszła szereg badań i konsultacji, ale ponoć była w dobrej formie. Poza kilkoma otarciami i siniakami nic jej się nie stało. Rzeczywiście, kiedy Deryło wszedł do sali, w której ją umieszczono, nie sprawiała wrażenia choćby obolałej.

– W dupie mam procedury i zalecenia! – krzyczała, intensywnie gestykulując. – Chcę się wypisać na własne żądanie. Rozumie pan czy mam to przeliterować?

Lekarz ostentacyjnie machnął ręką. Słyszając kroki, odwrócił się i stanął na drodze Deryły.

– A pan to kto?

Komisarz pokazał legitymację i wybąkał nazwisko. Lec natychmiast ruszyła w jego stronę.

– To prawda, że ten sukinsyn jest w tym szpitalu? – zwróciła się do komisarza. – Nikt mi nie chce odpowiedzieć, ale każdy robi kretyńską minę!

– Proszę pani... – doktor odezwał się, lecz zaraz porozumiewawczo zerknął na Deryłę. – Zostawię państwa samych i wrócę za kilka minut. Może panu uda się przemówić pani Lec do rozsądku. Albo żeby chociaż zaczekała na wyniki wszystkich badań.

Komisarz skinął głową. Rozejrzał się po pomieszczeniu i z ulgą stwierdził, że znajduje się w nim tylko jedno łóżko. Nie wiedział, czy to czysty przypadek, czy szpital dysponuje pomieszczeniami dla VIP-ów. Ofiara porwania w pewnym sensie mogła zasłużyć na takie miano.

– Tak, ten mężczyzna jest leczony w tym szpitalu – odezwał się,

gdy doktor zamknął za sobą drzwi. – Ale nic pani nie zrobi. Jest w stanie krytycznym i prędzej zachłynie się kawałkiem własnego mózgu niż zdoła wykonać pół kroku.

Lec pokręciła głową. Przyłożyła dłoń do skroni i zmrużyła oczy. Dopiero teraz Deryło zobaczył, że nad prawą brwią ma przyklejony plaster, a przy uchu – podłużne zadrapanie.

– Jak się pani czuje? – Uznał, że najlepiej będzie, jeżeli zacznie od uprzejmości. – Dobrze widzieć panią w całości...

– Niech pan da spokój.

– Przynajmniej próbowałem.

Lec po raz pierwszy się uśmiechnęła. Jednak ułamek sekundy później na jej twarz powróciła śmiertelna powaga. Odwróciła się tyłem do komisarza, sięgnęła po zawieszony przy łóżku zakiet i obejrzała go. Miał niemal całkowicie oderwany rękaw, a ze szwu sterczały kępki nici.

– Czy to ten facet od maili? – zapytała. – Czy to on stworzył to cholerne nagranie?

– Wszystko wskazuje, że tak.

– Czego ode mnie chciał?

– To będziemy musieli jeszcze ustalić. Choć przypuszczamy, że służyła pani, przepraszam za określenie, jako jego tuba propagandowa.

Lec nerwowo prychnęła. Rzuciła zakiet na łóżko i odwróciła się do komisarza. Założyła ręce na piersi.

– Napisałam wiele tekstów o przemocy, ale nigdy nie rozumiałam ofiar – wycedziła bez cienia ironii. – Nigdy tego nie powiedziałam, ale dziwiły mnie te lamentujące po fakcie kobiety. Tyle że im nie chodziło o samo pobicie, zgwałcenie czy stalking. Wie pan co? Mogę ryzykować zabiciem się, jeżdżąc na motocyklu, mogę ryzykować, skacząc na bungee lub ze spadochronem, ale to ja chcę decydować o sobie. Nigdy nie czułam się taka... – Wargi dziennikarki zadrżały, lecz szybko się opanowała. – Bezbronna. Rozumie pan? Nigdy w życiu nie czułam się tak potwornie bezbronna. Nawet gdy

robiłam materiał i łąziłam po tym pieprzonym budynku nad zalewem, sama decydowałam. Nikt inny.

Lec pociągnęła głośno nosem i sięgnęła do kieszeni. Deryło jednak ją ubiegł. Wyciągnął w jej stronę opakowanie chusteczek. Kobieta bez słowa otworzyła je, wyciągnęła jedną i wydmuchała nos.

– Domyślam się, że czymś panią zastraszył, prawda? – Komisarz nie zamierzał zwlekać. – Czym?

Dziennikarka spojrzała na niego z ukosa.

– Nie znaleźliście przy nim broni?

– Nie.

– Groził mi pistoletem. Kiedy wciągał mnie do auta, mierzył mi prosto w twarz...

Deryło wyjął z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę. Rozłożył ją i pokazał Lec.

– Tym?

Dziennikarka uważnie przyjrzała się zdjęciu. W końcu twierdząco skinęła głową.

– To gwoździarka – mruknął Deryło. – Nie pistolet.

– Do cholery, wyglądała jak pistolet! Czym w ogóle jest gwoździarka? – Lec przygryzła wargę. Przez chwilę oszołomiona wpatrywała się w Deryło. – Zaraz, zaraz... To o tym pisał Kuba? To gwoździarką ten gnojek urządzał swoją ruletkę?

– Tak.

– Psia mać. Powinna być wcześniej sprawdzić artykuły, które tworzył pod pseudonimem. Od razu czułam...

Deryło jej przerwał.

– To już nie jest istotne. Swoją drogą, spotkała pani kiedykolwiek wcześniej tego mężczyznę? Może pomagała pani Bończykowi w tworzeniu materiału...

– Nie. – Lec chwyciła zniszczony zakiet i go założyła. – Niech pan sobie wszystko ustala i przynajmniej przy tym nie da ciała jak pańscy koledzy. Słabi ochroniarze pracują w polskiej policji.

Komisarz się skrzywił. Tego tematu zamierzał się wystrzegać

pilniej niż ognia.

– Udało się im zatrzymać sprawcę.

– Naprawdę? Tego, który wcześniej o mało mnie nie zabił? – Dziennikarka energicznie założyła włosy za uszy i ruszyła do wyjścia. – W dupie mam ochronę. Nigdy więcej nie będę bezbronna, choćby chodziło o idiotyczne zostanie w szpitalu. Poza tym, jeśli zostanę tu minutę dłużej, znajdę tego gnoja i go zabiję.

Lec pchnęła drzwi, po czym wyszła na korytarz. Deryło chciał za nią pobiec, lecz w tym samym momencie poczuł wibrację komórki. Haendel ostatnimi czasy stał się zwiastunem najgorszego.

Pospiesznie wyciągnął telefon, zerknął na ekran i natychmiast odebrał. Dzwonił jeden z zaprzyjaźnionych z nim techników kryminalistycznych.

– Nie uwierzysz, czyj to trup... – usłyszał na wstępie.

@Obserwator69 21:06 Zastopujcie na 1:49 drugiego filmu – najlepsza scena, jaką widziałem! Przy tym Piła i inne takie chowają się :D Mistrz Gry na scenarzystę! :D

@Polonus 21:05 @MamaJasia Nie bulwersuj się. Coś nie odpowiada, to spadaj stąd.

@WitTchórz 21:04 Ciekawe jakiego kwasu użył? Siarkowy tak nie działa. To musiało być coś mocniejszego. Podpowiedzcie recepturę, to przetestuję na żonie.

@MamaJasia 21:04 Wszyscy jesteście nienormalni. To chore!!!

@MarcinNowak 21:03 Ale jazda...

@Trololo 21:02 trololololo

@Paolo12 21:02 Filmiki ekstra! Zrobiliście wspaniałą robotę :D Szacun dla tych, którzy nagrywali ;)

@Dewiant 21:01 Widzieliście zbliżenie twarzy? Temu koleśowi normalnie wyżarło gębę!

Deryło zapłacił taksówkarzowi i ruszył w stronę bloku. Przeszedł obok niewielkiego placu zabaw, na którym o tej porze przesiadywało jedynie dwóch nastolatków z piwami. Minęła dwudziesta pierwsza i zrobiło się prawie całkiem ciemno. Latarnie dawały sporo światła, które jednak tłumili gęste, rosnące wzdłuż chodnika wierzby. Czerwcowe noce miały swój urok.

Do mieszkania w tym bloku Deryło wraz z żoną i córką przeprowadził się prawie dwadzieścia lat temu. Wiktoria była jeszcze ułomnie gaworzącym berbeciem, a Ewa starała się znaleźć czas na macierzyństwo oraz doszlifowywanie doktoratu. Choć pracowała już na wydziale polonistyki i nie gonił jej żaden termin, ambicja kazała jej zarywać noce. Deryło natomiast zatracił się wówczas w świecie ponurych spraw przełomu mileniów.

Kilka wzorowo poprowadzonych śledztw uczyniło z niego wschodzącą gwiazdę. Niekwestionowane zasługi w rozbiciu jednej z największych grup narkotykowych w kraju pozwoliły w pełni rozblysnąć. Stał się pupilkiem przełożonych. Wiceminister poklepywał go po plecach, a komendant główny dosłownie rwał się do wspólnych zdjęć. Uścisk jego dłoni dawał szczęście. Oto superpolicjant z nosem sięgającym stąd do Warszawy, który uratował polskie dzieci przed zaćpaniem. Szeryf kraju nadwiślańskiego.

Tamte dwa lata Deryło uważał za najgorsze w swoim życiu. Oddalił się od rodziny, dał ponieść firmowym kolacjom, konferencjom i spędom organizowanym w imię kolesiostwa. Puste frazesy przeplatały się z obietnicami oraz mydleniem oczu. Był

wtedy płotką, która, zgodnie z przepisami, nie mogła awansować więcej niż o jeden stopień. Choć stanowisko detektywa komórki dochodzeniowo-śledczej brzmiało atrakcyjnie, dawało niewiele możliwości. Zasługi przy rozbiciu gangu były tak niekwestionowane, jak naciągane i przypadkowe. Przynajmniej w ten sposób postrzegał je Deryło. Mimo to, a może właśnie dlatego, dał się ponieść fali. Nie pamiętał, czy w tamtym czasie plac zabaw przed blokiem w ogóle istniał. Nigdy nie zwrócił na to uwagi.

Otrzeźwienie było brutalne. Wiktoria zaraziła się paskudnym wirusem i przez kilka dni walczyła z gorączką. Któregoś wieczoru Deryło spostrzegł, że jego córka ma dziwny, siny odcień skóry. Ewa, wyczerpana całym dniem czuwania, spała obok niej w łóżku. Przyszły komisarz wpadł w panikę, gdy zdał sobie sprawę, że dziewczynka nie oddycha. W ostatniej chwili, nim próbą reanimacji połamałby jej żebra, zauważył delikatny ruch klatki piersiowej.

Bezdech dziecięcy okazał się jednym z powikłań wirusowych, które o mało nie zabiły ich córki. Prawie dwutygodniowy pobyt w szpitalu pozwolił opanować sytuację. Jednak przede wszystkim przywrócił w życiu Deryły właściwe priorytety. Choć praca zawsze była ważna, najważniejszy był powrót do domu i spędzenie czasu z rodziną. Choćby kilku wspólnych minut. A teraz...

Zatrzymał się przed klatką i wbił wzrok w plac zabaw. Nastolatki słuchali na komórkach muzyki. Śmiali się i co chwilę pobrękiwali puszkami, wznosząc kolejne absurdalne toasty. Deryło miał to gdzieś. W jego głowie odżyły wspomnienia, w których właśnie tu uczył córkę jeździć na rowerze i rolkach. Pamiętał czarny, nierówny asfalt, który teraz zakrywała kostka brukowa. Mimo wielu upadków Wiktoria prawie nigdy nie płakała. Była uparta i gotowa na wszelkie poświęcenia w imię upragnionej przejażdżki bez dodatkowych kółek.

Uśmiechnął się. Wbił dłonie w kieszenie i ruszył dalej, w stronę klatki. Po raz kolejny z zamyślenia wyrwała go wibracja telefonu. Dzwoniła Haler.

– Tak? – odebrał, nim rozbrzmiał Haendel. – Stęskniłaś się?

Chwila milczenia. Po chwili podkomisarz wymownie westchnęła.

– Właściwie to tak – powiedziała wesoło. – Pomyślałam, że po tym cholernym dniu może skoczmy na piwo. Wzniesiemy mały toaścik.

Deryło zatrzymał się i zerknął w stronę placu zabaw i właśnie wznoszących toast nastolatków. Nie przepadał za barami. Nie lubił wspólnych wypadów na piwo, wódkę czy hot doga. Jednak nigdy dotąd propozycji nie składała mu podwładna, którą mógłby traktować jak córkę. Poza tym może piwo pozwoliłoby mu zasnąć. O ile noc obędzie się bez kolejnego trupa.

– Okej – zgodził się. – Gdzie i kiedy? Muszę zamówić taksówkę.

– Przyjadę po ciebie.

Deryło westchnął.

– Właśnie tej propozycji się obawiałem.

K.u.K. Bierkeller był przestronną piwiarnią wzorowaną na tyrolskich wyszynkach z początku XX wieku. Składał się z dwóch obszernych sal, przez które ciągnęły się rzędy drewnianych ław. Na ścianach wisiały gabloty z setkami rozmaitych kufli, pokali i szklanic. Niektóre z nich miały metalowe, grawerowane pokrywy, inne wykonano z rżniętego kryształu, na jeszcze innych umieszczono informacje o tym, że stanowią nagrodę w ogólnoeuropejskich konkursach dla podobnych lokali.

Z głośników nieustannie płynęła austriacka muzyka, przerywana o pełnych godzinach radosnym jodłowaniem. Poza doskonałym piwem serwowano tu tyrolskie posiłki oraz przekąski. Żadnej pizzy, zapiekanek ani kebabów. Mimo to lokal każdego wieczoru tętnił życiem.

Gdy Deryło i Haler usiedli przy jednym z nielicznych dwuosobowych stolików, już minęła dziesiąta. Grupa kilkunastu osób pośrodku sali na stojąco starała się wczuć w rytm muzyki. Większość z nich zataczała się i zaśmiewała do rozpuku. Co chwilę ktoś z tego towarzystwa dolewał sobie piwa ze szklanej rury zakończonej ozdobnym kranikiem.

– Słyszałam, że lubisz to miejsce. – Haler zerknęła na kartę dań i rozejrzała się za kelnerką. – W sumie przyjemnie byłoby tu posiedzieć w zimie.

Deryło nawet nie zajrzał do swojego menu.

– Mają piwo warzone zgodnie z oryginalną, dziewiętnastowieczną recepturą. Żadnych zmian, cudów ani kombinacji.

– Jasne?

– Ciemne też, choć zdecydowanie wolę pilsa. Będziesz coś jadła?

Komisarz odwrócił się do kelnerki ubranej w dirndl. Na ten tradycyjny austriacki strój składała się biała koszula z obowiązkowym dekoltem, ciemny gorset, spódnica oraz czerwony fartuch.

– W takim razie poproszę tego waszego wyśmienitego pilsa. – Haler uśmiechnęła się do kelnerki. – Tylko małego...

– A dla pana? – Dziewczyna sięgnęła po notes. – Coś do picia, coś do jedzenia?

– To samo. Piwo, ale duże. Koleżanka robi za kierowcę.

– Oczywiście.

Kelnerka odeszła w stronę baru, a Deryło powiódł za nią wzrokiem.

– Ostatnio zaczęto uważać, że ten ubiór jest seksistowski – mruknął. – Wiesz, że miejsce zawiązania paska określa status kobiety? Poza tym na ulicy widzę sto razy bardziej roznegliżowane dziewczyny i nikt nie ma z tym problemu.

– Poprawność polityczna to choroba.

– W momencie, gdy atakuje tradycję, to coś znacznie gorszego. To czerwona rewolucja, która w końcu musi sama sobie ściąć głowę. A...

Deryło urwał, bo kelnerka wróciła do ich stolika z piwem.

– Jak zawsze błyskawiczna obsługa – skwitował po chwili. – No i pianka. Przynajmniej tu wiedzą, że dwa palce można sobie co najwyżej wepchnąć w gardło. Pianka musi być jak najwyższa.

Haler przypatrywała mu się z uśmiechem. Upiła łyk piwa i oblizała wargi.

– Dobrze. – Pociągnęła jeszcze jeden łyk. – Naprawdę dobre.

Komisarz przyciągnął kufel do siebie i oparł łokcie na stole. Ponownie zmarkotniał.

– Boję się pić, bo mam wrażenie, że zaraz się coś wydarzy. Że znowu zadzwoni telefon i okaże się, że gra rzeczywiście trwa dalej.

– Odpuść sobie. Wyłącz dzwonek...

– Chciałbym. – Deryło napił się wreszcie piwa. – Ale nie potrafię. Zastanawia mnie, po kiego czorta ten czub zakonserwował zwłoki Bończyka? Po co wywlókł nieboszczyka z grobu i stracił mnóstwo czasu na mumifikowanie...

Haler wzruszyła ramionami.

– Moim zdaniem mamy tu klasyczny przykład zabójcy zdobywającego trofeum. Dosłownie wyjęty z książki. Tyle że niektórzy mordercy zbierają rzeczy ofiar, inni – fragmenty ich ciał, a Skarski najwidoczniej chciał mieć całego trupa. Może wściekał się, że nie udało mu się go zabić osobiście. Zalewanie żywicą to tylko kwestia praktyczna.

– Kwestia praktyczna?

– Pozwoliło uniknąć smrodu i dalszego rozkładu. Choć chyba z wątpliwym skutkiem.

Deryło zerknął w stronę grupy pośrodku sali. Ich zabawa nabierała rozpędu, a jedna z kobiet wskoczyła na krzesło i płaśała, starając się wczuć w rytm. Paru tłustych mężczyzn obok niej zaczęło gwizdać i klaskać. Wszyscy się zataczali.

Komisarz z powrotem spojrzął na Halera. Zaskakująco dobrze czuł się w jej towarzystwie. Po raz pierwszy od dawna narastające w nim napięcie odpuściło.

– Jak bardzo zboczonym świrem trzeba być, żeby gapić się na trupa? – Pokręcił głową. – Ten świat naprawdę schodzi na psy.

– Od szczegółu do ogółu, co? – Podkomisarz zachichotała. – Kiedyś świat wcale nie był lepszy. Tyle że teraz mamy internet i prasę, a dawniej w grę w szczęście trzeba było grać przy pomocy gołębia pocztowego.

– Chyba wolałbym taką wersję.

– Pamiętaj, że to był też świat bez antybiotyków, powszechnej opieki zdrowotnej, policji...

Deryło wszedł jej w słowo:

– Bez przymusowych składek zdrowotnych, bez większości podatków, bez morderców emitujących zbrodnie na żywo. Daję

temu lajka, tak się mówi?

– Pewnie od jakichś dziesięciu lat już nie.

– O widzisz. Dziesięć lat to tyle, co nic. Dziesięć lat temu...

Komisarz zamilkł. Przesunął kufel i sięgnął po papierową chusteczkę. Ze wzrokiem wbitym w stół zaczął bezwiednie składać żurawia. Haler przysunęła się bliżej niego. Pochyliła się nad blatem i splotła dłonie.

– Co było dziesięć lat temu? – zapytała szeptem. – Mów śmiało. Wygadaj się, a ja chętnie posłucham.

Deryło w zamyśleniu pokręcił głową.

– Ej, nie krępuj się! Widzę, że ci coś leży na wątrobie, a ja mogę robić za espumisan. Albo zmuszę cię do mówienia przy dwustu na godzinę, jak będziemy wracać.

– Czasem nachodzą mnie wspomnienia. I na tym historia się kończy.

– To dobre wspomnienia?

– Jezu, Tamara... – Deryło wywrócił oczami. – Jeszcze pięć pytań i powiesz mi, że wszystkim nieszczęściom mojego życia jest winna niespełniona miłość do matki, a wzorce ojca wypaliły mnie na życiowym starcie.

– Tak uważasz? We wszystkim, co mówimy...

Haler przerwała. Skonsternowana, wyciągnęła z kieszeni telefon i zerknęła na ekran.

– Boję się pić, bo mam wrażenie, że zaraz coś się wydarzy – odezwała się, naśladowując ton komisarza. – Że znowu zadzwoni telefon i... – Pokręciła zrezygnowana głową. – Przepraszam, muszę.

Zrobiła zabawnie krzywą minę i odebrała. Deryło puścił jej oko, po czym nerwowo zmiął nieukończone origami. Papier serwetkowy był zbyt miękki, by nadać żurawiom kształtów. Komisarz w zamyśleniu rozejrzał się po sali. Zabawa trwała w najlepsze, a z głośników płynęła coraz skoczniejsza muzyka. Z powrotem spojrzął na Haler. Uchwyciła jego wzrok i przysłoniła głośnik dłonią.

– Skarski miał zapaść... – przekazała mu najnowszą wiadomość. –
Lekarze mówią, że jeśli przeżyje noc, to będzie cud.

W podwożeniu motocyklem tkwił podstawowy problem. Pasażer powinien być trzeźwy. Dlatego Deryło po wypiciu trzech piw, mimo że jedynym ich skutkiem było przepelnienie pęcherza, wrócił do mieszkania taksówką. Tkwiło w nim silne poczucie obowiązku, które zabraniało łamania prawa. Przynajmniej w tak trywialny i bezprzykładny sposób. Prowadząc auto, mógł przekroczyć wszystkie ograniczenia prędkości i złamać wszelkie zakazy, ale jazdę po alkoholu uważał za największą nierozważność.

Do łóżka zwałił się tuż po północy, lecz zamiast napływającej senności czuł, że w głowie kotłują mu się myśli. Pytania goniły pytania, ale nie pojawiały się zadowalające odpowiedzi. Musiał przesłuchać Skarskiego. Musiał wydusić z niego, dlaczego gra miałyby trwać dalej. Kto stał się graczem?

Śmierć nie mogła go uwolnić od odpowiedzialności. To byłoby sprzeczne nie tylko ze sprawiedliwością, lecz także z wszelkimi prawami natury. Rozprawa, wyrok sądowy, kara śmierci. Taką kolejność Deryło dopuszczał. Chyba że przewidziana zostałaby możliwość sądenia martwych. Oczywiście, nie mogliby się bronić, ale zebrane dowody powinny...

Wiszący w przedpokoju becker wybił wpół do piątej. Deryło zerknął w stronę okna. Przez rolety sączyło się delikatne światło, obwieszczając, że już wstał nowy dzień. Zamrugął i przeciągnął się. Dalsze wylegiwanie się w łóżku nie miało sensu.

Dwadzieścia minut później komisarz z dwiema skrzynkami narzędzi rozłożył się przy citroenie. Konstrukcja silnika była prosta, ale pojęcie Deryły o mechanice jedynie nieznacznie

przekraczało poziom ignorancji. Sprawdził świece, akumulator, obejrzał gaźnik, ale nie odważył się niczego ruszać. Zanim kupił to auto, oddał je do kompletnego przeglądu. Na stacji diagnostycznej przeszło wszelkie testy, zapewniono go o bezwypadkowej historii, a przede wszystkim – o doskonałym stanie silnika.

– Jego jedynym problemem może być PESEL – przestrzegł jeden z mechaników. Chwilę później dodał: – W końcu jest mniej więcej naszym rówieśnikiem, prawda?

Citroen był trzy lata starszy od Deryły, ale komisarz nie potraktował tego jako zniewagi. Trzy lata mogły robić różnicę przed dwudziestką. Potem interwał błędu szybko się wydłużał. Przynajmniej dobrze było tak myśleć.

Po godzinie oglądania, stukania i polerowania wypolerowanych elementów Deryło skapitulował. Doskonale zdawał sobie sprawę, że cała operacja miała na celu jedynie zajęcie czymś myśli. Odciągnięcie uwagi od problemów.

Schował zapasowe świece zapłonowe do kieszeni, upchnął do auta skrzynki z narzędziami, po czym od niechcienia stwierdził, że chociaż spróbuje uruchomić silnik. Gdy tylko przekręcił kluczyk, tłoki zaskoczyły. Citroen zatrzęsł się, komisarz dostrzegł w lusterku kłęb spalin, ale auto było gotowe do jazdy.

– A to niespodzianka... – zaskoczony mruknął w stronę kierownicy.

Podniesiony na duchu, wrócił do mieszkania, zmienił koszulę i punkt siódma ponownie rozsiadł się w fotelu citroena. Był przekonany, że tym razem auto go zawiedzie. Że jednorazowy uśmiech szczęścia to aż nadto.

O dziwo, citroen ponownie odpalił.

Przez całą drogę na komendę Deryło modlił się, by nie rozkraczyć się na światłach. Zaczął sobie wyrzucać zakup samochodu, który przepięknie ponad pół wieku, ale gdy wreszcie zaparkował, był skory wybaczyć mu jednodniową niedyspozycję. Właśnie w nieprzewidywalności tkwił urok starych rzeczy.

I starych mężczyzn – dodał w duchu.

Haler przyjechała przed nim. Komisarz z daleka zauważył, że mocuje się z automatem z napojami.

– Skurczybyk wciął mi resztę – wytłumaczyła się speszona. – Akurat rezerwę na drugą kawę.

Deryło podszedł do automatu i z całej siły rąbnął w wyrzutnik monet. Po chwili zaczęły z niego wypadać drobne. Komisarz wziął dwuzłotówkę, po czym nacisnął jeden z guzików.

– Widzisz? Tak to się załatwia ze skurczybykami.

Haler uśmiechnęła się i przyjrzała Deryle.

– Chyba marnie spałeś?

– To komplement w podziękowaniu za pomoc? Po czym to wnosisz? – Komisarz przygładził włosy. – Przyznaję. Spędziłem noc, boksując się z myślami. I to w charakterze worka treningowego.

– Jakież wnioski?

– Nie wiem. Widzę tyle nieścisłości, że nawet nie mam pojęcia, od czego zacząć raport. – Deryło otarł resztkę smaru z dłoni. Odczekał, aż automat zrobi mu kawę, i ruszył w stronę schodów. – Myślałem o tych gołych babach – mruknął, a widząc skonsternowaną minę Haler, zaraz wytłumaczył: – Zakonserwowany facet nie pasuje mi do kobitek wypinających się na plakatach.

– Trofea często nie mają podtekstu seksualnego. – Podkomisarz podążyła za nim. – A nawet same w sobie mogą stanowić symbol męskości. Jak skalp zabitego wroga albo poroże zawieszony w chatce myśliwskiej.

– Ale ofiary... Co ci ludzie mają ze sobą wspólnego? Żadne z nich nie zgłosiło się do tej kretyńskiej gry. A jednak ten świr po coś zawracał sobie głowę robieniem strony internetowej i aplikacji.

– Też nad tym myślałam. Moim zdaniem wcale nie chodzi o grę. Gra w szczęście to tylko pretekst do ukrycia prawdziwej motywacji...

– Możemy się chociaż jej domyśleć?

– Roztrząsam to na wszystkie sposoby. Czekam na wyniki sekcji Bończyka, a raczej – oględzin mumii. Mam nadzieję, że...

Przerwała, słysząc za sobą szybkie kroki. Odwróciła się. Korytarzem pędził ViSir.

– Słyszałem, że już jesteście w firmie, ale nie mogłem się dodzwonić! – Zatrzymał się, sapiąc. Tego dnia miał na sobie koszulkę z napisem: „Przystojny, bogaty i... WOLNY”. – Choć w sumie lepiej to wytłumaczyć nie przez telefon.

Kinga Franys wybrała wideopojęcie do swojej najlepszej przyjaciółki Marty, ale ta nie odebrała. Dziwne. Umawiały się na rozmowę dokładnie w południe. Pierwszym powodem była wymiana najświeższych plotek o zbliżającym się egzaminie, drugim – zaprezentowanie mieszkania. Ojciec Kingi, właściciel sieci masarni w Świętokrzyskiem, nie do końca rozumiał specyfikę studiów. Kupił jej mieszkanie w Lublinie dokładnie na tydzień przed rozpoczęciem sesji. Twierdził, że to ma ją zmotywować do włożenia serca w naukę. Zamiast tego Franys przez kilka dni przeprowadzała się z dotychczasowej stacji, a ostatecznie zaplanowała huczną parapetówkę.

Kolejny raz wybrała numer Marty, lecz ponownie po kilku sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. A przecież jej przyjaciółka była tak ciekawa tego niewielkiego, ale przestronnego lokum... Odkładały ostatnią prezentację do czasu, aż Kinga uwije sobie w nim gniazdko. Rozważały też możliwość wspólnego zamieszkania, choć rozsądek podpowiadał im, żeby akurat tym zająć się już po sesji.

Kinga podeszła do zlewu i nalała sobie szklanę wody. Perlator to doskonały wynalazek. Wreszcie nie musiała taszczyć butelek ze sklepu. Co prawda, pozbawiona smaku kranówka zostawiała wiele do życzenia, ale ponoć nie szkodziła. Nie zawierała bakterii, kamienia ani żadnych innych syfów, które mogły zalegać w rurach. Choć te z pewnością Franys wypalała alkoholem.

Dziewczyna wypija jednym haustem całą zawartość szklanki, po czym usiadła przy okrągłym szklanym stoliku. Cała kuchnia

stanowiła połączenie bieli, czerni i szkła. Urządzona pod wymiar przez zaprzyjaźniony z jej ojcem zakład nie była najpraktyczniejsza dla imprezującej studentki. Do tego dla studentki, której nikt nigdy nie zmuszał do specjalnego dbania o czystość. Już teraz na stoliku oraz na czarnym, marmurowym blacie szafek zalegały okruchy i inne resztki śniadania. Szkło poznaczone było kółkami po herbacie. Kilka kropli kawy zapaskudziło duży stół.

Kinga ponownie odblokowała komórkę. Po tym, jak przed dwoma dniami wypadła jej w sklepie, na ekranie pozostała przypominająca włos rysa. Na szczęście nie przeszkadzała w korzystaniu z urządzenia. W tym roku Franys rozbiła już dwa telefony, ale ciągle nie nauczyła się nosić ich w jakiegokolwiek osłonce. Albo przestać tyle pić. Alkoholowa telepawka na drugim semestrze studiów to była przesada. Dopadała ją po każdej solidniejszej imprezie, a ich liczba stała się wprost proporcjonalna do czasu pozostałego do najważniejszych egzaminów. Zresztą na prywatnej uczelni ponoć zdawali wszyscy. A już na pewno wszyscy, którzy studiowali resocjalizację.

Franys zaczesła dłonią długie, czarne włosy i ponownie wybrała numer. Tym razem po pierwszym sygnale wyświetlił się komunikat o nawiązywaniu połączenia. Po sekundzie na ekranie pojawiła się zaróżowiona twarz jej rudej, krótko ostrzyżonej przyjaciółki.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam... – Marta złożyła dłonie jak do modlitwy. – Zostawiłam telefon w torebce i nie mogłam go znaleźć. Dopiero teraz, jak przechodziłam... – Urwała i machnęła ręką. – Nieważne. Pokazuj swoje komnaty!

Kinga wstała i wolną ręką ponownie przeczesała włosy.

– Uważam, że na żywo prezentują się lepiej.

– Zwiedzanie rozpoczniemy po pierwszym egzaminie. Traktuję to jako mobilizację, skoro mój ojciec zamiast mieszkania przesłał mi jedynie połowę alimentów. Resztę obiecał dosłać, kiedy spłaci długi. Kutas.

– Mówiłam ci, że jeśli potrzebujesz forsy, to powiedz.

– W życiu. – Ruda gwałtownie pokręciła głową. Połączenie na chwilę się zawiesiło i Kinga odczekała, aż z powrotem odzyska płynność. Twarz jej przyjaciółki wypełniała niemal cały ekran. – No, pokazuj to mieszkanie! Jesteś w kuchni, prawda?

– Tak. Tu jest mój chlew.

Franys obróciła telefon i trzymając go w wyciągniętej dłoni, powoli pokazała całe pomieszczenie.

– Czad. Wszystko pod kolor! Nawet czajnik.

– Ojciec dopilnował, żebym nie miała zbyt wesoło.

– Gdyby zrobił inaczej, sama byś wszystko przemalowała.

Kinga przeszła do przedpokoju. Również w tym pomieszczeniu ściany pomalowano na biało, a większość wystroju była czarna. Drzwi szafy w zabudowie, designerska szafka na buty, wieszak, a nawet doniczka ze sztuczną, niemal dwumetrową palmą. Zielone liście w tym wykwicie kiczu stanowiły jedyny kolorowy element w zasięgu wzroku.

– Wow. – Marta roześmiała się. – Tatuś miał fantazję!

– Będę musiała wychrzanić to paskudztwo. Powiem, że zwiędło.

– To jest żywa palma?

– Sztuczna. – Kinga obróciła komórkę do siebie i spojrzała w ekran. Wyduła wargi w sarkastycznym uśmiechu. – Ale przecież mój ojciec za miesiąc nie będzie o tym pamiętał...

Chichocząc, otworzyła drewniane drzwi. Stała w progu wciąż lśniącej świeżością łazienki. Jej centralny punkt stanowiła biała wanna na nóżkach, kontrastująca z czarną terakotą. Głazura przypominała układaną przez szaleńca szachownicę, której pola miały różną wielkość. W każdej ze ścian zamontowane były lustra.

Kinga zrobiła krok do przodu i wymownie westchnęła.

– Tu ojciec dał największy popis. Niezaparowujące lustra.

– Nawet o takich nie słyszałam...

– Są wszędzie, pewnie nawet nie muszę odwracać telefonu, żebyś widziała mnie pod każdym kątem.

Marta cmoknęła z uznaniem.

– Cudo! Ale też śmiesznie załamują światło.

– To znaczy? – Kinga zauważyła, że jej przyjaciółka mruży oczy.

Wgapiła się przy tym w telefon niemal z najbliższej możliwej odległości. – Chcesz popatrzeć na mój tyłek?

Marta prawie dotykała ekranu nosem.

– Z kimś jesteś? – zapytała.

Zaskoczona Franys pokręciła głową.

– Nie. Coś ty...

– Ale przecież ktoś za tobą stoi.

ViSir pochylił się nad klawiaturą. Błyskawicznie wpisywał kolejne hasła i przełączał okienka. Wreszcie klasnął, uniósł dłonie i tryumfalnie spojrział na stojących obok niego Deryłę i Haler. Zaczerwienione, podkrążone oczy zdradzały, że przesiedział przed komputerem całą noc.

– Widzicie?

Policjanci wymienili skonsternowane spojrzenia. Dla Deryły długa notatka składająca się z niezrozumiałych sekwencji przypominała pracę niemowlaka, który raczkował po klawiaturze. Haler również zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Chyba lepiej, żebyś nam to wytłumaczył.

ViSir teatralnie westchnął. Nie chciał im nic powiedzieć, dopóki nie przyprowadził ich do gabinetu informatyków. Twierdził, że sednem jego wykładu jest prezentacja, ale komisarz był przekonany, że jedynie urządza szopkę. W ten sposób rewanżował się za ostatnie zruganie. Albo i za wszystkie wcześniejsze.

– Spójrzcie na te powtarzające się sekwencje. – Informatyk powiódł palcem po ekranie. – To logowania z prywatnego komputera Skarskiego.

– Świetnie. – Deryło uśmiechnął się nerwowo. Z radością przywalilby twarzą ViSira w monitor. – Naprawdę cieszę się razem z tobą. A teraz łaskawie nam wytłumacz, jakie to ma znaczenie.

Haler dała mu kuksańca w ramię.

– Komisarz chciał powiedzieć, że nie mamy czasu zgłębiać meandrów informatyki.

– Dobrze już, dobrze. – ViSir odsunął od siebie klawiaturę

i odwrócił się do policjantów. – Chodzi o to, że prześledziłem jego ostatnią aktywność w internecie.

– To rozumiemy.

– No właśnie. Uwzględniłem zarówno komórkę, jak i znaleziony w domu laptop. Wziąłem pod uwagę ostatnie cztery dni, choć losowo sprawdziłem też kilka poprzednich.

– No i? – Deryło zaczynał tracić cierpliwość. – Wyduś to z siebie.

ViSir dumnie wypiął tłuścą pierś, a głupawy napis się rozciągnął.

– Człowiek, którego zatrzymaliście...

– Skarski.

– Tak, Skarski. Z pewnością logował się na stronie gry w szczęście. – ViSir zawiesił głos. Widząc, że Deryło nerwowo zaciska pięści, ciągnął wywód: – Mam pewność, że robił to jako gość, ale żadnego dowodu świadczącego o tym, że był jej administratorem. Zgłosił się do udziału, a potem poprzeglądał kolejne zakładki. Obejrzał również zamieszczone wideo.

– Jako gość?

– Tyle mówią zostawione w sieci ślady. Jeżeli bierzemy pod uwagę tylko urządzenia, które dostarczyli mi kryminaliści, to z pewnością na nich był jedynie zewnętrznym użytkownikiem. Oczywiście, nie zdziwiłoby mnie, gdyby do administrowania używał odrębnego sprzętu...

Komisarz zerknął na Haler. Splótł ręce na piersi i spuścił wzrok. Na kciuku miał smugę smaru, ale pocieranie jej palcem nic nie dało.

– Co o tym myślisz? – zapytał po chwili. – Osobiście zaczynam mieć serdecznie dosyć jakiegokolwiek elektroniki.

Podkomisarz przymknęła oczy i intensywnie analizowała ostatnie wiadomości. Przebrała dłońią w kieszeni w poszukiwaniu draży.

– Ile razy był na tej stronie? – zwróciła się do ViSira. – Ustaliłeś to?

– Trzy. Dwa razy przedwczoraj i raz wczoraj rano. Za pierwszym wyraził zgodę na udział w grze, a przy następnych przeglądał

komentarze i filmiki.

– Czyli zachowywał się, jakby chciał poznać jej zawartość. Zapewne jak dziewięćdziesiąt procent odwiedzających?

– Albo i dziewięćdziesiąt dziewięć. – ViSir splótł dłonie i pstryknął palcami. – Filmik z tym lekarzem, jak mu tam...

– Mariusz Witt.

– Właśnie. Filmik z nim obejrzał od początku do końca.

Haler odwróciła się do Deryły. Zagryzła wargę i, zrezygnowana, sapnęła.

– Jakby nie widział go wcześniej.

Komisarz jeszcze mocniej potarł zaschnięty smar.

Do południa Deryło chodził po komendzie jak struty. Kolejne raporty nie bardzo rozjaśniały obraz sytuacji. Nie zdobyto informacji o żadnych nieruchomościach lub innych miejscach, w których Skarski mógł ukryć sprzęt komputerowy. ViSir dopuszczał możliwość, że korzystał z telefonów komórkowych, które niszczył, lecz – jego zdaniem – byłoby to znacznie utrudnione. Poza tym musiał mieć sprzęt, z którego non stop przekierowywano adres strony.

Kryminaliści po całonocnej harówce dopiero około dziesiątej zakończyli prace w domu byłego gangstera. Pozostało im do przeszukania podwórko, lecz szef ekipy zarządził godzinną przerwę. Jak dotąd nie znaleziono żadnych przełomowych śladów ani dowodów. Do analizy powędrowały próbka krwi z garażu, kolekcja narzędzi ogrodniczych, preparaty chemiczne, a przede wszystkim – zwłoki Bończyka.

Deryło skontaktował się ze szpitalem, w którym zmarł dziennikarz. Poprosił o raporty związane z jego pobytem oraz o wyniki przeprowadzonej po śmierci autopsji. Nie spodziewał się cudów, lecz liczył się każdy trop. Poza tym kazał swoim ludziom odnaleźć i wydrukować wszystkie notatki prasowe, które dziennikarz napisał pod pseudonimem w ostatnich miesiącach życia. Włącznie z tymi dla portali zagranicznych.

Pomoc międzynarodowa, niestety, okazała się bezwartościowa. Ani Bończyk, ani Skarski nie figurowali w żadnych bazach danych od Wielkiej Brytanii po Japonię i od Japonii po Białoruś. Przeszłość kryminalna Skarskiego zaznaczyła się jedynie w jego krajowej

kartotece, choć również jej zasoby zostały wyraźnie przetrzebione. Zapewne była to cena jego zeznań, które pogrążyły kilkudziesięciosobowy gang i doprowadziły do wyjaśnienia dwóch spraw o zabójstwo. Deryło poszedł również ich tropem. Po wnikliwych poszukiwaniach musiał stwierdzić, że stanowiły klasykę polskiego biznesu lat dziewięćdziesiątych. Zamordowany został biznesmen, który udzielił znaczących pożyczek paru podejrzanym osobom oraz, rok później, jego wspólnik, który zbyt ostentacyjnie unikał kontaktu z tymi samymi osobami. Czare goryczy przelał zapewne złożony przez niego pozew z żądaniem zapłaty pożyczek i odsetek. W obu strzelaninach oddano łącznie prawie pięćdziesiąt strzałów. Pierwsza ofiara dostała pięć, druga – jedenaście kulek.

Jednak w żadnej ze zbrodni Deryło nie dostrzegał podobieństwa do działań Mistrza Gry. W jednym i drugim przypadku klarowne były motywacje zabójców i winy, jakie w ich oczach, ponosiły ofiary. Gangsterzy nie mieli czasu na aranżowanie miejsc kaźni. Strzelali bez uprzedzenia na środku ulicy albo na chodniku. Z pewnością nie zakładali stron internetowych ani nie robili niczego, co mogłoby przykuć zbędną uwagę. Popełnianie morderstw było dla nich elementem prowadzonego biznesu, nie zabawą.

W następnej kolejności Deryło zadzwonił do Natalii Lec. Dziennikarka nie dała się zamknąć w jednym szpitalu z porywaczem, lecz z wyczuwalną ulgą skorzystała z siedmiodniowego zwolnienia. Zaszyła się w zamkniętym na cztery spusty mieszkaniu i obiecała komisarzowi, że w najbliższym czasie nie będzie wyściubiać z niego nosa. Zapewniła, że nie ma na to nawet najmniejszej ochoty. Ale rozmowa nie poszła tak gładko, jakby się mogło wydawać.

– Wystarczy mi cholerny internet, żeby obsmarować ułomność pańskich ludzi – rzuciła, po czym zakończyła połączenie.

Komisarz przez kolejną godzinę bezsensownie snuł się po komendzie. Czekał na dalsze raporty, telefon od Gawińskiego

i wciąż wierzył w przełom, którego mogliby dokonać informatycy. Tymczasem Haler zamknęła się w gabinecie. Gdy raz do niej zajrzał, z kubkiem kawy w dłoni stała na środku pomieszczenia i, przeżuwając drażę, gapiła się w sufit. Postanowił się bez słowa wycofać.

Minęła piętnasta, gdy zajrzał do niej ponownie. Pozycja podkomisarz uległa jedynie symbolicznej zmianie – teraz pusty kubek po kawie stał między jej stopami.

– Jadę do szpitala – obwieścił.

Haler drgnęła i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Do Skarskiego – dodał.

– Wybudził się?

– Nie.

– Zresztą i tak już zawsze będzie miał problem z wysłowieniem się. Ślina będzie mu ciekła między zębami. Co ci po nim?

Deryło rozłożył ręce i westchnął.

– Nie mam pojęcia. Chcę spojrzeć sukinsynowi w twarz.

– Chyba w to, co z niej zostało.

Mimo sceptycyzmu Haler postanowiła z nim pojechać. Deryło za nic nie zgodziłby się na przejażdżkę motocyklem, więc odstali swoje w korku w dusznej kabinie citroena. Kiedy wreszcie znaleźli się na OIOM-ie, byli cali złani potem. Pilnujący drzwi policjant w pierwszej chwili nie poznał Deryły. Czerwona twarz komisarza wręcz buzowała, a mokre włosy przykłały.

Gdy tuż po szesnastej podeszli do Skarskiego, Deryło w duchu podziękował za wydolną, szpitalną klimatyzację. Z ulgą oparł się o rant łóżka. Leżący w nim mężczyzna był podłączony do sprzętów zwiezionych chyba z całego szpitala. Miał owiazaną specjalnymi bandażami twarz i śliniak z ligniny. Za poduszkę służyła mu mata z materiału chłodzącego. Jego dłonie spoczywały na wywiniętej na wysokości pasa kołdrze.

Deryło obszedł łóżko, uważnie przyglądając się leżącemu. Zerknął na ustawiony na metalowej szafce papier oraz miskę z wodą.

Z powrotem przeniósł wzrok na obandażowaną twarz i nagi, pełen elektrod tors. Nagle uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Doznał olśnienia.

– Dlaczego ma obandażowaną dłoń? – Deryło powtórzył pytanie. – W raporcie nie odnotowano, aby odniósł jakiegokolwiek obrażenia ręki. Kwas i to wszystko. To chyba świeży, szpitalny opatrunek?

Lekarz zmarszczył czoło i przygryzł wargę. Był wysokim, szczupłym mężczyzną z nieco odstającymi uszami. Miał niespełna czterdzieści lat, wczorajszy zarost i bardzo zmęczone oczy.

– Zdaje się, że poharatało mu palce... – mruknął. – Nie ja go przyjmowałem, musiałbym zerknąć w dokumentację.

– Byłbym wdzięczny.

– To naprawdę konieczne?

Deryło nie odpowiedział, więc lekarz odwrócił się i posuwistym, zrezygnowanym krokiem wyszedł z sali. Wydawało się, że jeśli przejdzie jeszcze kilka metrów, padnie na pysk jak rozładowana bateria w jednej z reklam.

– Wszystko się zgadza. – Komisarz nie ukrywał podekscytowania. – To nie jest Skarski. Rozumiesz? To ktoś zupełnie inny.

Haler utkwiała w nim zaskoczone spojrzenie. Zmięła opakowanie draży i wyrzuciła je do śmietnika stojącego obok łóżka.

– Bawisz się w dramatyczne pauzy ViSira? – zapytała po chwili. – Parafrazując klasyka: mam paść na kolana i błagać o wyjaśnienia?

– Nie, nie... – Deryło w zamyśleniu pokręcił głową. – Składam wszystko w całość, ale wreszcie elementy do siebie pasują. Patrz. – Wskazał na szyję leżącego. – Gdy drugi raz wszedłem do domu Skarskiego, zatrzymałem się przy jego zdjęciach. Domyślam się, że to, czym potraktowano buźkę tego faceta, zostawia blizny, ale

raczej ich nie usuwa.

– Byłabym skłonna się zgodzić...

– No właśnie. Skarski miał bliznę od żuchwy w dół. Chowala się aż za kołnierzem koszuli.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Poza tym ta obandażowana dłoń... – Deryło zabębnił palcem w krawędź łóżka. – Nie chcę ubiegać doktora, ale coś mi mówi, że obrażenia będą dotyczyły najmocniej unerwionych miejsc.

Haler zaczęła nadążać za jego tokiem rozumowania. Skrzywiła się i zerknęła w stronę mężczyzny w śpiączce.

– Tortury? Myślisz, że prawdziwy Mistrz Gry zmusił tego człowieka do odstawienia numeru z Lec, a sam był gdzieś z boku i się wszystkiemu przyglądał?

– Właśnie tak. – Komisarz pstryknął palcami. – Tylko po to wylał mu na twarz kwas.

– Ale przecież musiał wiedzieć, że odkryjemy, że on to nie on...

– Oczywiście. Wystarczyło podsunąć pod nos Lec zdjęcie Skarskiego i nie byłoby problemu... Choć odłożyłem to do dzisiejszego przesłuchania. A nawet gdyby ten człowiek zmarł, zrobilibyśmy testy DNA albo jakiegokolwiek inne. W końcu okazałoby się, że pomyliliśmy osoby.

– Jednak zyskał trochę czasu. – Haler założyła dłonie za głowę. – Raz za razem daje nam mata szewskiego. Wywodzi nas w kolejną ślepa uliczkę i zaśmiewa się, że nachrzaniamy głową w mur.

– Wyjęłaś mi to z ust.

– Cholerny gnój...

– Trzeba jak najszybciej ustalić dwie rzeczy.

Haler spojrzała na mężczyznę w łóżku.

– Kim jest ten człowiek?

– To również.

– A przede wszystkim – podkomisarz podchwyciła tok rozumowania Deryły – gdzie jest Skarski. Człowiek, który przed

laty gwoździarką zapoczątkował grę w szczęście...

Odwróciła się do komisarza i zauważyła, że ten gwałtownie pobił. W dłoni obracał wibrującą komórkę.

– Dzwoni nieznany numer – szepnął. – Z zagranicznym prefiksem...

Poprzedniego dnia

81

Sztama ułożył zakupy w bagażniku i zatrzasnął klapę. Właściwie nazywał się całkiem inaczej, ale od lat nikt nie zwrócił się do niego w inny sposób. Sztama. Tak się przedstawiał i podpisywał. Jedynie w korespondencji urzędowej lub z cholernym bankiem używał swojego prawdziwego imienia i nazwiska.

Miał pięćdziesiąt siedem lat, lekką nadwagę i duże zaległości w wizytach na siłowni. Albo w uprawianiu jakiegokolwiek sportu. Podobało mu się przy tym określenie: niepozorny.

O tak. Był po prostu niepozorny.

Jego żona nazywała go pieśczośliwie najbardziej nijakim facetem, jakiego spotkała w życiu. I naprawdę była to pieśczoła. Sztama nie lubił się wyróżniać, nie lubił zwracać na siebie uwagi i wręcz nie cierpiał nawiązywania nowych znajomości. Ponoć wszystko można uzasadnić przeżyciami z dzieciństwa, ale on spędził je naprawdę wesoło. Fakt, że do piętnastego roku życia mieszkał z rodzicami w położonym na całkowitym odludziu gospodarstwie, ale przecież chodził do szkoły i miał kumpli. Nie za wielu, lecz zawsze. Niektórzy nawet czasem odwiedzali go w domu.

Tuż przed szesnastymi urodzinami przeprowadził się do lubelskiej bursy i tam nawiązał pierwsze bliskie znajomości. W tym z kobietami. Ale to było tak dawno temu...

Odegnął niechciane wspomnienia i przyspieszył. Droga była niemal pusta, a pogoda – idealna do jazdy. Odkąd wybudowano obwodnicę Opola Lubelskiego, rozwiały się jego zastrzeżenia wobec miejsca, w którym zamieszkał. Teraz nawet do Lublina mógł dojechać w mniej niż pół godziny. Przy odpowiedniej determinacji –

w dwadzieścia minut.

Zawsze marzył o działce bez sąsiadów, otoczonej polami lub lasem. Własny ogródek, może oczko wodne, kilka drzew owocowych. Żaden sad, po prostu przydomowa spiżarnia.

Sztama zerknął w lusterko. Od kilku minut jechał za nim biały suv. Nie lubił, gdy ktoś utrzymywał stałą odległość między swoim a jego samochodem. To dziwactwo nie było emanacją wydarzeń z dzieciństwa, a stłuczki sprzed paru lat, gdy cały tył wozu skasował mu baran, który się zagapił.

Docisnął gaz i włączył najwyższy bieg. Kierowca jadący za nim również przyspieszył, zachowując dystans.

Sztama z irytacją ściszył radio i nieco zwolnił. Biały suv wciąż poruszał się kilkanaście metrów za nim. W ostrym słońcu nie mógł dostrzec twarzy kierowcy. Nie widział nawet, czy jest sam, czy ma pasażerów. Zdawało mu się, że widzi zarys jeszcze jednej osoby, ale nie był pewny.

Wszystko mogło być tylko złudzeniem. Albo natręctwem. Zbyt często myślał o tamtej stłuczce, o dzieciństwie i o tym, że jego córka dziwaczeje tak samo jak on. Miała jedenaście lat, a widział w niej swoje natręctwa i fobie. Częste mycie rąk, szarpanie klamki po przekręceniu klucza, wgapienie się w jeden punkt... Jego żona traktowała to wszystko z wyrozumiałością, nazywając dziwactwa prezentem od tatusia. Skoro nie wpływały na ich relacje, były przecież niegroźne. A może właśnie to się jej w nim podobało?

Suv wciąż jechał kilkanaście metrów za nim. Sztama docisnął gaz, a stuczterdziestokonny silnik fiata z marudnym jęknięciem wyrwał auto do przodu. Mimo to suv nie miał problemu, by go dogonić

Sztama zastanowił się, czy powinien skrócić w drogę prowadzącą do jego domu, czy najpierw upewnić się o zamiarach kierowcy z tyłu. Po zjechaniu z obwodnicy i pokonaniu paru zakrętów zyskałby pewność. Prawdopodobieństwo, że ktoś poruszałby się właśnie po tych prowadzących wśród pól wiejskich drogach, było

zerowe.

– Paranoja – syknął do siebie. – Odbija ci.

Włączył kierunkowskaz i zwolnił. Zjechał na skrajny pas, po czym opuścił obwodnicę. Kilkadziesiąt metrów dalej gwałtownie skręcił w wąską, utwardzaną drogę prowadzącą prosto do jego posesji. I żadnej innej.

Zerknął w lusterko, ale białego suwa już w nim nie dostrzegł. Jadący za nim kierowca nie opuścił obwodnicy.

Sztama uśmiechnął się. Znowu zwyczajnie wariował.

Otworzył pilotem bramę i wjechał na niewielkie podwórko. Skierował się do pojedynczego garażu, który graniczył z niewielkim, ceglany domem. Ostrożnie wtoczył się do środka, a drzwi garażowe po chwili automatycznie opadły. Przez malutkie okienko sączyło się niewiele światła. Zapalana na czujkę lampa zepsuła mu się kilka dni temu i ciągle zapominał kupić nową.

Wysiadł z samochodu, po czym zrobił kilka sztywnych kroków w stronę włącznika światła. Ledwie rozróżniał kształty. Wydało mu się, że w kącie przy drzwiach prowadzących w głąb domu coś jest inaczej. Jakiś kształt nie pasował do tego, co powinno się tam znajdować.

Karton z narzędziami, zawieszona na haku podkaszarka, strój roboczy i...

Nie mógł sobie przypomnieć, co jeszcze.

Wyciągnął dłoń w stronę włącznika. W tym samym momencie ktoś chwycił jego rękę, a w kark wbił coś ostrego.

– Wreszcie cię mam – oznajmił elektroniczny głos. – Najwyższy czas.

Sztama zamrugał. Ostrość widzenia powoli powracała, ale kolory pozostawały nienaturalnie intensywne. Jakby był na haju.

Przetarł oczy i się rozejrzał. Był w niedużym, zagraconym pokoju, do którego wpadało niewiele światła. W zasięgu jego wzroku znajdowała się zniszczona szafa, drewniany stolik, na którego blacie leżały dwie walizki, połamana biblioteczka i stary, poplamiony dywan. Pomieszczenie przypominało opuszczony składzik antykwaryczny albo rupieciarnię. Magazyn przedmiotów, które miały posłużyć jako opał.

Spróbował wstać, lecz jego ruchy krępowała lina. Miał nią obwiązane ręce, nogi i klatkę piersiową. Przy każdym oddechu sznur wżynał się w koszulę. Nie mógł nawet głęboko nabrać powietrza.

Poruszył zdrętwiałą zuchwą. Do ust miał wsadzoną szmatę, która wchłonęła całą ślinę. Potwornie chciało mu się pić, a sztywny jak kołek język zlepił się z wyschniętym podniebieniem.

Szarpnął się, lecz krzesło, do którego był przywiązany, nawet nie drgnęło. Poruszył dłońmi. Sznur został zawiązany tak mocno, że nie mógł ich obrócić, do tego szorstkie włosie raniło mu nadgarstki.

Jak za mgłą przesuwwały się mu ostatnie wspomnienia. Zakupy, powrót obwodnicą, wjazd do garażu i... Dalej była już tylko ciemność.

Gdzieś za sobą usłyszał kroki. Usiłował się odwrócić, ale i ten ruch ograniczały więzy.

Kroki stały się coraz głośniejsze. Podłoga tuż za nim skrzypiała pod ich ciężarem.

Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Położył na nim dłoń i delikatnie zacisnął palce. Sztama zadrżał. Zaczął się rozpaczliwie szarpać, lecz był całkowicie bezsilny. Po chwili dłoń w rękawiczkach sięgnęła do jego ust i chwyciła końcówkę wetkniętej do nich szmaty.

– Będziesz milczał czy próbował się drzeć jak baba? – Upiorny, zmodyfikowany czymś głos odezwał się tuż obok jego ucha.

Sztama poruszył się i usiłował odpowiedzieć. Zamiast tego zassał szmatę niemal do gardła. Zabrakło mu powietrza.

– Skinij głową, że jesteś gotowy. Ale pamiętaj – stojąca za nim postać zawiesiła głos tylko na ułamek sekundy. – Jeśli będziesz zbyt głośno, ukarzę cię. Jeśli będziesz coś kombinował, ukarzę cię. A ukaranie, wierz mi, będzie bardzo bolesne.

Sztama skinął głową.

Raz, drugi, trzeci...

Knebel został rozwiązany i mężczyzna natychmiast go wypluł. Zdrętwiała zuchwa bolała jak po wielu godzinach spędzonych u dentysty. Dotknął zdrętwiałym językiem przednich zębów. Zdawało się, że wszystkie są całe.

W tym momencie usłyszał, że porywacz się porusza. Po chwili kątem oka dostrzegł ubraną na czarno postać. Obeszła go i stanęła naprzeciw. Czarny strój uzupełniała biała, pozbawiona jakichkolwiek rysów maska. To zapewne pod nią umieszczono urządzenie modyfikujące głos. Wystarczyło do niego szeptać, by przetworzyło szept w elektroniczny, przerażający dźwięk.

– Zrobisz wszystko, co każę – odezwała się postać. – Rozumiesz?

– Czego chcesz? – Sztama miał wrażenie, że obolały język zdeformował pytanie. – Czego...

– Milcz.

– Proszę, ja...

Postać pochyliła się i podsunęła mu pod nos zdjęcie żony i córki. Sztama zaczął się histerycznie trząść.

– Jezu, proszę, zostaw je...

– Są całe. A to, czy takie pozostaną, zależy od ciebie. Zrobisz wszystko, co każe?

Sztama zamrugnął i utkwiał w Potworze przerażone spojrzenie.

– Zrobisz? Nie masz innego wyjścia.

– Pieprz się.

– Zła odpowiedź.

Potwór odłożył zdjęcie na stół z walizkami i z jednej z nich wyciągnął niewielki młotek. Przez chwilę obracał go w dłoni, wreszcie sięgnął po coś innego.

– Wiesz, co zrobisz?

Sztama zaczął się trząść, a po policzkach spływały mu strumienie potu. Gdy szalencie zaczął mówić, czego od niego oczekuje, mężczyzna bezwładnie rozluźnił pęcherz. Plama moczu rozrastała się wokół jego rozporaka, a potem poczuł ciepłą strugę spływającą po nodze.

– Nie, nie, nie... – wydukał oszołomiony. – Proszę. Zrobię, co chcesz, ale nie to. Dlaczego...

– Milcz.

– Błagam, zrozum, że ja...

Postać zerwała się i ponownie wepchnęła w usta Sztamy szmatę. Zawiązała supeł tak mocno, że poczuł ból zębów.

– Zrobisz, co każe – powtórzyła bez cienia emocji. – Jeśli nie... Pokażę ci, co się wtedy stanie z twoją żoną i córką...

Potwór chwycił spętaną dłoń Sztamy i przyłożył mu do palca gwoździarkę. Nacisnął spust. Pięciocentymetrowy gwóźdź przebił paznokieć, musnął kość i wbił się w poręcz krzesła. Mimo knebla skrzypnięcie mężczyzny wrzasnęło. Stłumiony krzyk zamienił się w szloch. Z oczu pociekły mu łzy.

Postać w masce przyduśliła następny palec mężczyzny. Języczek gwoździarki przesunął się z cichym kliknięciem. Tym razem gwóźdź został wbity w sam początek płytki tak, że paznokieć stanął na sztorc. Sztama spazmatycznie zadrżał, odgiął głowę do tyłu, a jego oczy rozwarły się z potwornego bólu. Z nosa pociekł mu gęsty

śluz. Przez zatkaną dziurkę nie mógł oddychać. Dodatkowo dławił się spływającymi łzami.

Potwór odłożył gwoździarkę i sięgnął do dłoni Sztamy. Mężczyzna starał się ją zacisnąć, lecz ból paraliżował mięśnie. Gwoździe przybiły palce do drewnianego krzesła.

Postać w masce chwyciła jego naderwany paznokieć i gwałtownie go wyszarpnęła. Razem z kawałkami tkanki natychmiast oddzielił się od mięsa. Następnie Potwór oparł się na gwoździu i poruszył nim, powiększając ranę. W jedną i w drugą stronę. A potem znów.

I znów.

Sztama czuł, że krew spływa mu wzdłuż nadgarstka i zbiera się na sznurze. Słyszał chrobot gwoździa o kość. Kręciło mu się w głowie.

– Od tego zacznę z twoją córką – odezwał się Potwór. – Potem przejdę do jej stóp, ramion, piersi, a na końcu, o ile wytrzyma, zabiorę się za jej głowę. Jak myślisz, po którym gwoździu straci przytomność? Po którym z jej ciała uleci życie? A może jednak zrobisz, co ci każę?

– Odkrył pan prawdziwą tożsamość mężczyzny, który wygrał swoją grę w szczęście? No, może „wygrał” to zbyt wielkie słowo. Ale nie zginął. A to już coś, prawda? Właściwie miałem do pana jeszcze przez jakiś czas nie dzwonić. Być może zrozumiał już pan, komisarzu, że to wcale nie ja, a może uprzedziłem fakty. To nieważne. Chodzi przecież o przyjemność, jaką nam daje granie, a nie o ucieczkę. Ja nie uciekam.

Głos w słuchawce zamilkł. Deryło na migi pokazał, żeby Haler wyciągnęła komórkę.

– Włącz dyktafon – szepnął, zasłaniając mikrofon. – Musimy to nagrać...

– Tak naprawdę swoją partię wygrała jedynie ta szmatława dziennikarka – kontynuował upiorny głos. – Jak się czuje? W każdym razie miała dość szczęścia, by wypaść ze swojej kolejki.

– Po co to robisz? – Komisarz zamknął drzwi sali i włączył tryb głośnomówiący. – Skoro mówisz o grze, pozwól nam zrozumieć zasady.

– Nam? Czyżby była z panem urocza podkomisarz Haler?

Deryło utkwiał w podwładnej ponure spojrzenie. Pokręcił głową i bezgłośnie wypowiedział przekleństwo.

– Skąd o niej wiesz?

– Wiem wiele, komisarzu. A moja gra jest na tyle sprawiedliwa, że skoro jedna osoba z niej odpada, robi się miejsce dla kolejnej. To uczciwa zasada.

– Co insynuujesz, gnoju?!

Deryło nie zważał na to, że Haler podsunęła mu swój telefon

z uruchomionym dyktafonem. Na powrót przyłożył komórkę do ucha i wściekły przeszedł do okna. Wyrzał, ale na zewnątrz widać było jedynie nieużytki rozległego terenu szpitala. Najbliższe bloki znajdowały się niemal dwieście metrów dalej. Nie miał szans, żeby kogokolwiek dostrzec w setkach okien.

– Zdenerwowało pana, że wiem o podkomisarz? Czy że o niej wspominam?

– Denerwuje mnie samo twoje nędzne istnienie. To że matka natura mogła wydalić na świat takie gówno.

Haler podeszła do komisarza i chwyciła go za ramię. Zacisnęła palce, starając się go uspokoić. W tym samym momencie do sali wszedł lekarz. W dłoni ścisnął plik papierów. Haler natychmiast obróciła się i na migi kazała doktorowi wyjść.

– Mówi pan o matce naturze, a nie akceptuje gry w szczęście? Przecież to jej zasady. Powinien pan całkowicie rozumieć moje intencje.

– Uprowadzanie ludzi? – prychnął Deryło. Odwrócił się od okna i wbił wściekłe spojrzenie w lekarza. Ten jedynie pokręcił głową, po czym bez słowa opuścił salę, trzaskając drzwiami. – Mordowanie niewinnych osób? To są zasady matki natury?

– Szczęście lub pech.

– Nikt nie ma prawa o nich decydować.

– Ale robimy to na każdym kroku! – Elektroniczny głos po raz pierwszy zdradził emocje. – Upijamy się i po pijaku zabijamy ludzi na drogach. Lekarze operują i popełniają błędy. Sędziowie skazują niewinnych, a politycy rządzą w imieniu wszystkich. O szczęściu i pechu każdego z nas decydują inni. Ja jedynie pozwalam ludziom świadomie w tym uczestniczyć. To mój zawód.

Deryło oparł się o ścianę i się pochylił. Miał ochotę tłuc w nią z całej siły pięścią. Nie zwracał uwagi na stojącą obok Haler.

– Naciągasz rzeczywistość do własnych chorych wyobrażeń...

– A może to pan boi się przyznać mi rację? – Mistrz Gry zachichotał. – Tak czy siak, proszę zajrzeć na stronę gry

w szczęście. W tym momencie odliczanie znów rusza. O właśnie. Czas start. Niech pan zobaczy, co się wkrótce wydarzy. Będzie pan zafascynowany.

Kobieta się ocknęła. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Jej wzrok był mętny, a wszystko wokół przysłaniała mgiełka. W powietrzu unosił się zapach benzyny i oleju.

Samochód.

Uzmysłowiła sobie, że znajduje się w samochodzie.

Zamrugwała. Kształty stały się ostrzejsze, lecz nadal wszystko zakrywała mglista przesłona. Dym. Poza wonią benzyny i oleju wyraźnie wyczuwała smród spalenizny.

Zaczerpnęła powietrza. Klatka piersiowa zabolą ją, jakby miażdżyła ją betonowa płyta. Skrzywiła się, lecz wciąż przytępiała, nie rozumiała, co się stało. Odruchowo wyciągnęła przed siebie dłonie i zobaczyła pierścionek z rubinowym oczkiem, otoczonym brylantami. Kamienie błysnęły mimo gęstniejącego dymu, który wypełniałabinę.

Dopiero teraz jej spojrzenie się wyostrzyło. Jej twarz stężała, a dłonie zaczęły drżeć. Momentalnie sięgnęła do klamry pasa i się obróciła. W fotelu obok siedział jej chłopak.

Nie.

Jej narzeczony.

– Jezus Maria...

Histerycznie uderzała w klamrę, która się zablokowała. Wreszcie pas odskoczył i pozwolił jej na większą swobodę ruchów. Mimo paralizującego bólu w piersi podkulila nogi i nachyliła się nad mężczyzną. Poduszka powietrzna, na której opierała się jego twarz, była cała pokryta krwią. Widziała jak czerwona, gęsta maź cieknie z ust, które dopiero ją całowały. Odłamki szkła pokrywały ramiona

i tors mężczyzny. Mimo to był przytomny. Starał się coś powiedzieć, lecz słowa grzęzły mu w gardle.

Charczał, rozbryzgując krew na śnieżnobiałej poduszce powietrznej.

– Jezus Maria...

Wyciągnęła dłoń do jego twarzy, lecz zaraz ją cofnęła. Kolejny impuls kazał jej działać racjonalnie. Starając się oddychać jak najpłycej, obróciła się do drzwi. Nacisnęła klamkę i pchnęła je z całej siły. Na szczęście, mimo uszkodzeń auta, otworzyły się niemal bez problemu.

Razem ze świeżym powietrzem do środka wpadła intensywna woń spalenizny. Kłęb dymu stawał się coraz gęstszy.

Kobieta zebrała siły, szykując się do następnego ruchu. Potworny ból zaciskał się już nie tylko na jej klatce piersiowej, ale promieniował aż do karku.

Trzy.

Dwa...

W momencie, gdy miała się poderwać, dostrzegła, że zaciśnięta na drążku zmiany biegów ręka jej narzeczonego jest złamana. Kość promieniowa przebiła skórę i wyszła tuż przed nadgarstkiem. Biała, ociekająca krwią, tkanka sterczała ponad zwojem ścięgien i mięśni. Palce mężczyzny bezwiednie zaciskały się i rozkurczały na skórzanej gałce. Z każdą sekundą ruchy te były coraz słabsze.

Wstrzymała oddech i wyczołgała się z auta. Całą siłą woli zmusiła się do wstania. Podpierając się o pogiętą karoserię, zrobiła kilka kroków. Maskę samochodu zgięła się i niemal zupełnie opadła na bok. To z odsłoniętego silnika unosił się czarny dym.

Kora topoli, w którą uderzył pojazd, była zdarta niemal do wysokości piersi kobiety. Intensywna woń żywicy mieszała się z odorem spalenizny.

Siła uderzenia obróciła auto o prawie dziewięćdziesiąt stopni i wygięła je w kształt litery C. Dzięki temu kobieta z taką łatwością otworzyła drzwi. Główne uderzenie przyjął lewy przód samochodu.

Tak jakby w ostatniej chwili prowadzący skreślił kierownicę, starając się uchronić pasażerkę.

Tak jakby... Ugięły się pod nią nogi. Jej mięśnie drżały i nie miały siły utrzymać wątego ciała. Musiała chwycić się drzwi, aby nie upaść. Zatoczyła się, lecz udało się jej utrzymać równowagę. Zaciśnięte spazmatycznie palce uszkodziły pokruszoną szybę, a szklane kawałki wbiły się jej w skórę.

– Niech ktoś nam pomoże... – wyszeptała. – Proszę...

Powiew wiatru rozwiął na moment dym i odsłonił pobliską ulicę. Dopiero teraz kobieta pomyślała o telefonie komórkowym. Puściła drzwi i sięgnęła do kieszeni. W tym momencie nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Bezwładnie upadła na ziemię, a świat zawirował.

Jej spojrzenie spotkało się z gasnącym spojrzeniem jej chłopaka.

Nie. Nie chłopaka.

Narzeczonego.

Deryło spoglądał w ekran laptopa. Już w drodze na komendę Haler męczyła go odtwarzanymi z komórki filmikami, lecz wtedy był pochłonięty własnymi myślami. Wolał zobaczyć wszystko w normalnej jakości, a nie na ekranie niewiele większym od jego dwóch palców. Nie dopuszczał myśli, że tak naprawdę nie chodzi o jakość, lecz o słabnący wzrok.

Nowy gracz poszuka szczęścia już w ciągu najbliższych 24h! Nie wahaj się, to możesz być Ty! Odważysz się?

Rozciągnięty na trzy linijki napis pulsował w rytmie zegara odmierzającego upływ sekund.

23:09:18

23:09:17

23:09:16

Deryło zerknął na tarczę starego tissota. Gdyby gra rzeczywiście miała się rozpocząć, gdy skończy się odmierzanie czasu, stałoby się to tuż przed siedemnastą.

Haler przełączyła zakładki i otworzyła stronę, na której znajdowały się ikonki zamieszczonych do tej pory filmików. Ostatni z nich opisany został wczorajszą datą. W nawiasie pod nim znajdowały się przypuszczalnie liczby komentarzy oraz udostępnień: 392 174.

– Cholera...

Podkomisarz dwukrotnie kliknęła na link. Laptop przez chwilę rzęził, analizując jej polecenie, wreszcie ekran wygasł, a sekundę później na jego całej wielkości pokazało się ujęcie parku Saskiego. Filmik ruszył.

Nagrywający znajdował się po przeciwnej stronie Alei Racławickich. Przez moment w obiektywie pojawił się niedawno postawiony pomnik Idziego Radziszewskiego. U stóp pierwszego rektora KUL spoczywały kwiaty. Zapewne rzucone niedawno w intencji pomyślnie zdanej sesji.

Kamerujący odwrócił się i ruszył w stronę zablokowanej ulicy. Na wszystkich pasach tkwiły stojące pojazdy. Granatowa insignia była obrócona prostopadłe do jezdni. Niemal równoległe do niej stał nieoznakowany radiowóz, z którego wypadła dwójka policjantów. Wokół aut zebrało się już wiele osób, lecz niemal nikt nie kwapił się do pomocy. Jedynie postawny blondyn dopadł do drzwi opla i coś krzyczał w stronę wnętrza.

– Tam była Lec. – Haler niemal przytknęła palec do ekranu. – Zaraz ją wyciągną.

Uwaga nagrywającego skupiła się jednak na policjancie, który nachylał się nad wijącym się na ulicy mężczyzną. Zbliżenie zostało skierowane na ich twarze, lecz jakość obrazu natychmiast się pogorszyła. Nie była jednak potrzebna ani ostrość, ani dźwięk, żeby zrozumieć rozgrywający się dramat. Funkcjonariusz bezradnie patrzył na zatrzymanego.

Obiektyw został skierowany jeszcze raz w stronę rozbitego samochodu. Blondyn właśnie wyciągał z niego oszołomioną dziennikarkę. Nagle obraz się zaczernił. W miejscu nagrania wyświetliły się napisy.

Ta dwójka zagrała w szczęście. Ona miała go więcej i wyszła niemal bez szwanku. Za to on stracił twarz w imię sensacji. Ha, ha! Widzieliście gęby tych policjantów?

– Sukinsyn... – Deryło zabębnił palcami o blat biurka. Wyprostował się i nerwowo przeszedł po pomieszczeniu. – Każ przejrzeć monitoring miejski pod kątem nagrywających filmiki. Może któraś z kamer uchwyciła tego gnoja.

Haler zamknęła laptop i odchyliła się w fotelu.

– Jasne.

– Musimy przejrzeć też wideo, jakie do sieci wrzucili inni świadkowie. Każdy, zamiast pomóc, ścisnął cholerną komórkę. Niech chłopaki sprawdzą, czy w tym korku nie stał żaden kombi trumnowóz.

– Liczysz na taki fart?

– Przecież to gra w szczęście, prawda? – Deryło nerwowo się uśmiechnął. W tym samym momencie rozległo się pukanie. Po chwili do gabinetu wparował Brzeski.

Bez słowa podszedł do biurka i machnął plikiem dokumentów.

– Mam coś, co chyba was zainteresuje – odezwał się. – Nie wierzę w tak chore zbiegi okoliczności. Po prostu nie wierzę...

Deryło i Haler natychmiast utkwili w nim zaciekawione spojrzenia.

Komisarz wszedł do mieszkania dokładnie w momencie, gdy becker kończył wybijać północ. Przez półtorej godziny krążył po okolicy, starając się zebrać myśli. Noc była ciepła i duszna. Beton osiedla oddawał upał dnia.

Deryło starał się połączyć wszystkie informacje, które udało im się zdobyć w toku śledztwa. Urywki rozmów, spostrzeżenia Halera, pojedyncze zdania z wiadomości Mistrza Gry. Wszystko to tworzyło skomplikowaną, ale pozbawioną wyraźnego spoiwa strukturę. Luki były bardzo wyraźne i nasuwały kolejne pytania.

Brzeski poinformował ich o zaginięciu dziewczyny, które zgłoszono na jednym z lubelskich komisariatów. Przyjaciółka dwudziestolatki utrzymywała, że prowadziła z nią wideorozmowę, podczas której zobaczyła kogoś za jej plecami. Albo tak się jej wydawało. W każdym razie połączenie zostało nagle przerwane, a Kinga Franys rozplynęła się w powietrzu. Policjant, który rozmawiał z jej przyjaciółką, nie połączył tej sprawy ze śledztwem dotyczącym Mistrza Gry, ale był niemal tak skrupulatny jak posterunkowa Nowak. Deryło kilkakrotnie przeczytał sporządzony przez niego protokół. Niestety Marta Kalicka nie była pewna, czy rzeczywiście widziała kogoś w pomieszczeniu za Franys. Podkreślała, że zdawało się jej, że dostrzega zarys czyjejś sylwetki. Nic więcej. Gdy nagle połączenie zostało zerwane, uznała, że po prostu jej przyjaciółka się wystraszyła i wypadł jej z dłoni telefon.

Sprawa mogła nie mieć żadnego związku z Mistrzem Gry, choć Deryło gnębiły złe przecucia. A po tylu latach w tej robocie przecucie zawodziło go naprawdę rzadko.

Zastanawiający byłby jednak motyw porwania. W tej sytuacji umieszczona raptem przed paroma godzinami na stronie internetowej informacja, że gra rozpocznie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, byłaby zwykłą podpuchą. Umyślnym kłamstwem szaleńca. Przyjmując, że rzeczywiście doszło do porwania, gra już się zaczęła. Wobec tego czas do jakiego wydarzenia odmierzał zegar?

Do kolejnego show, które na żywo chciał transmitować morderca?

Haler twierdziła, że tak naprawdę sprawca nie łamie żadnych reguł gry. Była przekonana, że jego zdaniem wciąż ich przestrzegał i właśnie z tego czerpał największą przyjemność. Nawet nazwa gry mogła stanowić element planu, który miał przykuć uwagę Skarskiego. Choć z drugiej strony to on wciąż był głównym podejrzanym. Wizerunek dawnego gangstera trafił już do mediów, choć nie wspomniano o jego związku z toczącym się śledztwem. Deryło naciskał, by przewinął się raczej w kontekście materiałów „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”. Dziennikarze, oczywiście, zaczęli drążyć.

Kiedy ostatnim razem podwładni komisarza sprawdzali stronę internetową gry, do udziału zgłosiło się już ponad dwa tysiące osób. Dziesiątki tysięcy kolejnych obejrzało zamieszczone filmiki. Komentarze były bezlitosne dla policji, ale nie to wydało się Deryle najgorsze. Najmocniej uderzył go fakt, że sama idea makabrycznej zabawy przyciągała tłumy. Fascynowała ludzi i bawiła ich. Nie widzieli związku między internetową fikcją a rzeczywistością. Mimo pełnych okrucieństwa filmików oraz komunikatów prasowych, deklarując chęć udziału w grze, nie myśleli, że sami mogą stać się ofiarą psychopaty.

A może właśnie to ich kusilo?

Myśli komisarza zaczęły odpływać. Siedział po ciemku w skórzanym fotelu i mechanicznie składał origami. Po chwili żurawie na powrót stawały się wymiętymi papierkami.

Do świadomości Deryły dobijały się ponure wspomnienia. Nigdy

nie potrafił ich powstrzymać, więc oparł głowę o zagłówek i po prostu poddał się napływającym obrazom.

Zimny, styczniowy dzień. Wiatr wciskający do oczu płatki śniegu. Mróz tnący policzki i nos. Charakterystyczny zapach cmentarza. Tłących się zniczy, zmarzniętych kwiatów, kadzideł, którymi nasiąknięte były szaty duchownych, i jeszcze czegoś. Strachu? Rozpaczy?

Szeroki podwójny grób zionął pustką. Za nim stanął pojedynczy krzyż, do którego przybito dwie tabliczki. Ewa l. 51. Weronika l. 19. Reszta napisów rozmazała się przed oczami komisarza. Nigdy później nie stały się czytelne.

Dwie trumny trafiły do grobu razem z całym jego życiem. Razem z każdym wspomnieniem tego, co było, i z nadzieją na wszystko, co będzie. Góra wieńców i pojedynczych kwiatów tylko uwypukliła pustkę. Żar dziesiątek zniczy kładł się na jego sercu jeszcze grubszą warstwę lodu.

Deryło ocknął się, zaciskając w dłoni ukończonego żurawia. Na biurku przed nim wibrował telefon. Kilka razy zamrugał, aby odepchnąć nachalne obrazy ze snu. Zerknął na wyświetlacz i natychmiast odebrał.

– Sprawdziłem go – głos nie pozostawiał złudzeń, że mówiący kona ze zmęczenia, ale jednocześnie zdradzał ekscytację. – Rzeczywiście ma volvo dziewięćset czterdziestkę. Określenie trumnowóz pasuje do tego auta jak ulał.

Haler przetarła zaspane oczy. Miała potargane włosy, a na twarzy ani śladu makijażu. Zapadła się w fotelu i odruchowo poszukała dłonią opuszczającej szybę korbki. Nigdzie jej nie znalazła. Zerknęła na Deryłę. Komisarz włożył bluzę mundurową i czarne spodnie. Komplet, w którym nigdy dotąd go nie widziała. Zaciskając zęby, starał się wydusić z silnika citroena ukryte rezerwy mocy. Tych jednak najwyraźniej nie było.

– Możesz mnie oświecić, co się wydarzyło, że po raz kolejny doznałam zaszczytu przejażdżki tym cudem techniki? I to w środku nocy.

Deryło odruchowo zerknął na zegarek. Była za kwadrans czwarta.

– Wczoraj wieczorem powiedziałaś coś, co zwróciło moją uwagę. Mówiłaś, że nie rozumiesz motywacji sprawcy.

– Bo nie trzyma się kupy. Za każdym razem...

Komisarz oderwał dłoń od kierownicy i uniósł ją, przerywając podwładnej.

– Może to jest nieważne? – zapytał. – Może chodzi o samo popełnianie zbrodni i nic więcej?

– Przyjechałeś, żebyśmy podyskutowali o teoriach psychologicznych?

– Zacząłem się zastanawiać, kto by na tym wszystkim skorzystał. Na stronie internetowej, na setkach wypisujących komentarze osób i na oglądających te chore filmiki.

Haler z zainteresowaniem utkwiała wzrok w komisarzu. W delikatnej poświacie zegarów jego twarz wydawała się trupio

blada. Miał napięte mięśnie, a doły pod oczami w ciągu ostatnich godzin się pogłębiły.

– Usługodawca internetowy? – zapytała, nie wiedząc, czy nadała za jego tonem rozumowania. – Operator telefoniczny? Budżet państwa? – zaszortowała nerwowo. – Nie będziemy chyba podejrzewać premiera?

– Jego z natury zawsze podejrzewam jako pierwszego. – Deryło na nią łypnął. – Ale w tym wypadku kazałem sprawdzić Wipczyka.

Podkomisarz zmrużyła oczy.

– Naczelnego?

– Tak. Dziwnym trafem wszystko kręciło się wokół niego, a jego gazeta za pośrednictwem Lec dostawała wiadomości z pierwszej ręki. To normalnie jak posiadanie na wyłączność maszynki do robienia pieniędzy.

– Myślisz, że... – Haler nerwowo poruszyła się w fotelu. Marzyła o zaczerpnięciu świeżego powietrza.

– Kasa. – Deryło sapnął. – To najlepsza motywacja. Poza tym ten psychol powiedział, że jego zawód polega na tym, że pozwala ludziom „w tym wszystkim świadomie uczestniczyć”. Nie chodziło mu o grę. Gdybym miał wtedy tryb głośnomówiący, ze swoją fotograficzną pamięcią mogłabyś to teraz zacytować. Zresztą pewnie od razu byś to wyłapała, a ja...

Komisarz przerwał. Obwinianie się o demencję nie miało sensu. Zauważył, że Haler przytknęła dłoń do podbródka i przymknęła oczy. Zapewne po raz kolejny właśnie w tej pozie doznawała przeblysku geniuszu. Po chwili, zgodnie z przypuszczeniem Deryły, szeroko otworzyła oczy. Potrząsnęła głową i odezwała się w zadumie:

– Jezu... Czyli o to chodziło w nagraniu.

– He?

– W tej wiadomości na kasecie. Pamiętasz jak mówił: „Postanowiłem dołączyć do innych. Nagranie może mnie zdradzić lub zamaskować. Może powiedzieć wszystko”. Nie chodziło mu

o treść, a o samą kasetę! Właśnie taką, jakich używali kiedyś dziennikarze, rejestrując wywiady. Od początku nurtowało mnie, dlaczego jej użył!

Deryło uśmiechnął się pod nosem.

– Właśnie o tym mówiłem – mruknął. – Sama jesteś jak dyktafon... Ale nie powiedziałem ci jeszcze najciekawszego.

Haler nie zwróciła uwagi na jego zawołany komplement. Za to z zaciekawieniem zmarszczyła czoło.

– Zamieniam się w słuch.

– Wipczyk ma volvo z lat dziewięćdziesiątych, które w stu procentach odpowiada opisowi tamtego gnojka znad zalewu. Niezły zbieg okoliczności, co?

Podkomisarz głośno wypuściła powietrze. Przez chwilę w kabinie Citroëna panowała martwa cisza. Wreszcie Deryło zwolnił i kilka minut później zatrzymał się na osiedlu szeregowców przeplatanych wielkimi domami jednorodzinnymi z lat siedemdziesiątych. Przyjrzał się zawieszanej na ogrodzeniu tabliczce z nazwą ulicy, po czym wyłączył silnik.

– Co zamierzasz? – Haler musnęła palcami kaburę. Już nie miała wątpliwości, dlaczego komisarz kazał jej wziąć broń. – Mamy jakąś podkładkę?

– Prokurator wszystko mi klepnie. Chyba jeszcze nie poznałaś naszego gwiazdora, który aż się pali do takiej roboty.

– Miodzio. Więc co chcesz zrobić?

– Rozejrzeć się. Po prostu się rozejrzeć.

Naczelny Wipczyk mieszkał w sześciennym bliźniaku posadowionym na posesji nieznacznie wykraczającej poza jego granice. Właściwie całą działkę stanowił dojazd do garażu i wąska, mająca maksymalnie metr szerokości rabatka kwiatowa. Mieszkańcy obu połówek budynku musieli za sobą nie przepadać, bo między wejściami na klatki schodowe aż do zewnętrznego muru biegło druciane ogrodzenie. Widok równie częsty na Sławinku jak gdziekolwiek indziej.

Gdy Deryło stanął przed furtką prowadzącą do części domu oznaczonej numerem siódmym i literą B, zapaliła się lampa na czujkę. Zainstalowana nad garażem, oświetliła niemal cały podjazd.

– Najtańszy alarm świata... – mruknął komisarz. – Tyle że ludzie nie zdają sobie sprawy, że nawet pies się przyzwyczaja do migającego co chwilę światła.

Deryło przełożył dłoń nad ogrodzeniem i wyszukał przycisk zwalniający zamek. Po chwili pchnął drewnianą, pachnącą impregnatem furtkę. Nie bawiąc się w kurtuazję, wszedł na teren posesji jako pierwszy. Poza tym osoba na przodzie była potencjalnie wystawiona na przyjęcie pierwszej kulki. A to również stanowiło uprzejmość.

– Chodź... – syknął do Haler. – Czujka chyba nie obejmuje granicy działki.

Rzeczywiście, gdy oboje znaleźli się przy siatce odgradzającej obie części bliźniaka, lampa zgasła. Niebo na wschodzie zaczynało szarzeć, lecz główne światło padało ze stojącej kilkadziesiąt metrów

dalej latarni.

Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Po chwili zerwał się delikatny, ożywczy powiew wiatru. Ciepłego, lecz nasiąkniętego przyjemną wilgocią.

– Idziesz za mną. Nie wychylaj się i w razie czego pamiętaj, że odpuszczamy. Wtedy wezwę wsparcie.

Deryło nie musiał tłumaczyć, co ma na myśli, mówiąc o „czymś”. Powoli ruszył wzdłuż ogrodzenia. Uważnie obserwował okna domu, lecz panowała w nim zupełna ciemność. Nagły hałas, który dobiegł tuż zza jego pleców, przyprawił go o lodowaty dreszcz. Podskoczył i niemal odruchowo sięgnął do kabury. Błyskawicznie się obrócił.

Mały york lub inny psiak o zdecydowanie zbyt wybujałym ego wściekle ujadał po drugiej stronie siatki.

– Cholera... – Deryło odsapnął. – Cicho. Ciii...

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Haler delikatnie dała mu kuksańca w plecy. – Sam się uspokoi. Komisarz przełknął ślinę i znowu przyjrzał się oknom. Ponownie nie dostrzegł w nich najmniejszego ruchu. Nie zważając na szczekanie, przeszedł do drzwi garażowych. Czujka lampy musiała być skierowana na furtkę, bo światło się nie zapaliło.

Po chwili Haler do niego dołączyła. Niemal w tym samym momencie york dał sobie spokój i zniknął w ciemności sąsiedzkiego ogródka.

– Widzisz? – Deryło ominął garaż i wskazał na drzwi wejściowe. – Albo jestem ślepy i mieni mi się w oczach, albo...

– Są uchylone. – Podkomisarz potwierdziła jego przypuszczenie. – Może też ma psa i wypuszcza go do ogródka?

– Dostrzegłaś tu jakiegoś?

Deryło przemknął truchtem pod niewielki daszek, który osłaniał wejście. Sięgnął po broń. Wipczyk mógł mieć psa, ale bardziej prawdopodobny wydawał się każdy inny scenariusz. Może właśnie był w trakcie swojej psychopatycznej roboty i nie zdążył zamknąć drzwi. Może, wlokąc kogoś, nie miał wolnej ręki.

Może...

– Wchodzimy?

Nawet gdyby nie był przekonany, głos Haler przechyliłby szalę. Mimo że był to szept,, kryła się w nim bezgraniczna determinacja i pewność siebie. Nie mogli się wycofać, choć właśnie załatwiali sobie wizytę na dywaniku Knapa. O ile do niej dożyją.

Skinął głową.

Delikatnie pchnął drzwi, które poruszyły się niemal bezgłośnie. Zaczepnął powietrza i wszedł do środka. W tym samym momencie zapaliła się kolejna automatyczna lampka. Zamrugła, oświetlając długi korytarz.

Deryło osłupiał.

Lampa bez przerwy mrugała. Musiała być uszkodzona lub przestawiona na przyprawiający o zawrót głowy tryb. Jednak nie to było największym zmartwieniem policjantów.

Mierzący siedem, może osiem metrów korytarz, po którego obu stronach ciągnęły się pomieszczenia, dosłownie tonął we krwi. W białym świetle krwawe smugi wydawały się niemal czarne. Ciągnęły się od jednego z pierwszych pokoi aż do końca. Oblepiały pomalowane na beżowo ściany i ściekały na podłogi. Spływały za drewniane listwy i między deski.

Dom cuchnął słodkim, lepkiem zapachem krwi.

Świeżej krwi.

Deryło wyciągnął przed siebie broń.

– Niech to szlag! – wrzasnął. – Wezwij wsparcie!

Naprzemienna biała jasność i niemal kompletna ciemność dezorientowały go. Zmrużył oczy. Mimo mrugającego światła nie miał wątpliwości, że to, co widzi, nie jest omamem. Na końcu korytarza ustawiony został obrotowy fotel. Ktoś, kto na nim siedział, był skierowany plecami w stronę wejścia. Widać było jedynie fragment głowy i jedno wysunięte ramię.

– Osłaniaj mnie!

Deryło ścisnął glocka i ruszył wzdłuż ściany korytarza. Po obu stronach znajdowały się dwie pary zamkniętych drzwi. Na końcu, mniej więcej w miejscu, gdzie ustawiony był fotel, rozciągała się otwarta przestrzeń. Być może hol ze schodami lub duży salon.

– Policja!

Komisarz powoli posuwał się do przodu. Każdy mijany pokój stanowił piekielne niebezpieczeństwo, jednak nie miał czasu ich sprawdzać. Poza tym ufał w sprawność Halera.

Stawiał kroki, starając się omijać krwawe plamy, ale i tak co chwilę się ślizgał. Pot ściekał mu po karku. Mdły zapach stawał się coraz intensywniejszy. Był to jeden z tych najgorszych odorów, do których nigdy nie można się przyzwyczaić.

Deryło minął drugą parę drzwi i dostrzegł, że pod progiem tych po lewej stronie znajduje się wielka kałuża krwi. Nigdzie indziej nie było jej tak wiele w jednym miejscu. Była porozcierana dosłownie wszędzie, lecz tu jakby spłynęła. Deryło zrobił krok naprzód i wycelował broń.

– Policja, wstawaj! Ręce do góry!

Siedzący na fotelu nie poruszył się. Komisarz odwrócił się i wskazał Halera, że zamierza do niego dopaść. Żałował, że nie ma przy sobie kajdanek. Chwilę później wypadł zza rogu i wymierzył w pustkę holu. Tak, jak przewidywał, znajdowały się tu schody prowadzące na górne piętra.

Nie tracąc czasu, doskoczył do fotela. Mrugające światło nie pozwalało mu zebrać myśli. Wycelował i pchnął oparcie. Siedzisko obróciło się, ukazując przywiązaną do niego makabryczną lalkę. Przedstawiała rozkładające się zwłoki z przestreloną głową. Była tak realistyczna, że w pierwszej chwili Deryło był pewny, że widzi prawdziwego nieboszczyka. Dopiero gdy uświadomił sobie, że nie wyczuwa trupiego odoru, domyślił się, że patrzy na lalkę. Chociaż...

– Co u licha... – wymamrotał i zaraz zrozumiał przerażającą prawdę.

Choć Deryło tylko raz widział na żywo redaktora Wipczyka, nie miał wątpliwości, że przygotowanie lalki o takim stopniu podobieństwa było niemożliwe. No, może specjaliści Madame Tussauds uzyskaliby podobny efekt, ale raczej w to wątpił. Mimo że przy nosie nieboszczyka znajdował się otwór wlotowy pocisku, który wyrwał mu większą część skalpu razem z rzadkimi, siwymi włosami, komisarz wyraźnie rozpoznawał jego rysy.

Poważna, nalana twarz, małe, zastygłe w bezruchu oczy, płaski nos i pełne wargi śmierć pozostawiła nienaruszone. Jemu najwyraźniej oszczędzono męczarni. Pojedynczy strzał w głowę z najbliższej odległości załatwił sprawę w ułamku sekundy. Deryło nigdzie w pobliżu nie widział broni, co automatycznie wykluczało ewentualną tezę o samobójstwie. Chyba że...

– Zobacz to! – Odwrócił się i przywołał do siebie Haler. – Tylko uważaj na pokoje!

Gdy po chwili podkomisarz stanęła obok, na jej twarzy dostrzegł taki sam wyraz, jaki musiał mieć przed paroma minutami. Zdumienie przechodzące w szok, a wreszcie – w przerażające olśnienie. W mrugającym świetle zwłoki wyglądały upiornie.

– Kolejny raz oblał trupa żywicą albo innym gównem... – syknął komisarz. – Myślałem, że to cholerna lalka, bo nie czułem smrodu...

– Również dlatego, że to w miarę świeży nieboszczyk – trzeźwo zauważyła Haler. – Rysy zostały zdeformowane przez użytą substancję.

– Mimo wszystko... Ubył nam właśnie jeden podejrzany.

Deryło zamilkł. Znowu czuł przygniatającą pierś duszność.

Nabrał głęboko powietrza i mocniej ścisnął broń. Było mu gorąco, a na rękojeści zebrał się pot.

– Tam jest najwięcej krwi – wskazał pistoletem w stronę drzwi po prawej.

– Może właśnie tam wyzionął ducha. Tu nie widzę ani strzępów mózgu, ani kawałków czaszki...

– Za to stoimy na zaschniętej żywicy.

Deryło zastukał butem w podłogę. Deski pokrywała śliska, zwarta warstwa podobna do nierówno nałożonego lakieru. Z obrzydzeniem zrobił krok do tyłu i rozejrzał się po pomieszczeniu. Poza prowadzącymi na górę schodami znajdował się w niej jedynie współczesny zegar stojący i niewielka biblioteczka. Na oknie stały dwa nieduże kaktusy.

– Zaraz zwariuję przez to światło.

Deryło skierował się w stronę kałuży krwi. Wyciągnął przed siebie broń i zatrzymał się tuż przy ścianie. Przez chwilę starał się uspokoić oddech. Haler na migi dała mu znać, że będzie go ubezpieczać. Stała po drugiej stronie korytarza i wycelowwała w drzwi. Kurczowo ścisnęła pistolet w obu dłoniach.

Komisarz przesunął się bliżej framugi i uniósł trzy palce.

Po kolei je składał.

Gdy zwinął dłoń w pięść, z całej siły pchnął klamkę. Światło akurat zgasło, jednak przez podniesione zasłony wewnątrz rozjaśniła błyskawica. Pomieszczenie było niewielką sypialnią. Znajdowały się w nim jedynie złożona wersalka, biurko i niewielki stolik, na którym stał flakon ze sztucznymi kwiatami.

W momencie gdy okolicą wstrząsnął grzmot, Deryło dostrzegł położoną na blacie biurka kartkę. Usłyszał za sobą kroki Haler. Pospiesznie upewnił się, że nikt nie kryje się za stolikiem, i sięgnął po wyrwaną z zeszytu stronę. Duszność coraz mocniej zaciskała mu się na piersiach. Do tego czuł stłumiony szum w głowie, jakby ciśnienie miażdżyło mu mózg. Odkasznął.

Światło ponownie się zapaliło, więc jak najszybciej przyciągnął

kartkę pod oczy. Zanotowano na niej tylko jedno zdanie.

Niech człowiek o silnej duszy, ale słabej woli, da życie temu ze słabą duszą, ale wolą silną.

Deryło przygryzł wargę. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca. Spoiwo nie było już potrzebne. Mistrz Gry wreszcie przedstawił im zasady.

W tym samym momencie usłyszał za sobą huk. Odwrócił się i zamarł. Haler leżała na podłodze ze wzrokiem utkwionym w sufit. Światło znowu zgasło, więc nie zauważył, że jej usta poruszają się w niemym ostrzeżeniu.

Gdy lampa na korytarzu ponownie się zapaliła, świat zawirował również pod jego stopami. Ścisnął w dłoni kartkę i się zachwiał. Sekundę później bezwładnie zwałił się na ziemię.

W świetle błyskawicy dostrzegł zamontowane do sufitu urządzenie. Nie miał wątpliwości, że z całą mocą właśnie rozpylało bezwonny gaz.

Chwilę później stracił przytomność.

@Siner 04:43 Na co czekamy? No dalej!

@Kicia 04:43 Sex kamerki internetowe, darmowe wystarczy się zarejestrować. Pełna dyskrecja. Link:...

@Madafaka 04:43 Co to za zegar? :-> Co się wydarzy? :->

@Tuptuś 04:42 Bez sensu. O co w tym chodzi?

@KawałDrania 04:42 Jak dobrze, że nastawiłem sobie przypomnienie w razie uruchomienia transmisji...

@Wariat0999 04:42 Ktoś wie, kto to jest??? Nie znam tych ludzi!!!

@LiliaKameo 04:42 Do czego to odliczanie?

@Trololo 04:42 @Cenzor dołączam się!

@Cenzor 04:42 Zaraz zablokuję transmisję.

Deryło znajdował się na pograniczu jawy i snu. Wszystko, co działo się wokół, rejestrował jak na poszatkiowanym filmie. Kolejne sceny mieszały się i zapętlewały.

Ktoś włókł go pod ramiona w stronę wyjścia. Maski. Czarny strój. Pozbawiona rysów biała maska. Ból, duszność, paraliż. Mięśnie wiotkie i sztywne na przemian.

Pot, zalewający całe ciało pot.

Haler.

Wleczona przez czarną postać Halera. Starająca się podnieść i wyrwać, ale tak samo bezsilna jak on. Błysk. Grzmot. Pierwsze krople krwi na czole. Nie krwi. Deszczu.

A może krwi?

Ktoś owiazujący go sznurem i wlekący po asfalcie do ustawionej za domem przyczepy kempingowej. Klnący na jego tłuste, grube ciało. Wściekły, że nie wszystko idzie sprawnie. Głos. Dziwny głos.

I coraz większy pośpiech zamaskowanej postaci. Bluzgi, drwiny i napady wściekłości. Błyskawica, grzmot. I znów błyskawica.

Śmierzące detergentami i mdłym zapachem krwi wnętrze przyczepy kempingowej. Przygotowane do zakończenia gry. Dwa łóżka, rozkładany stolik i skórzane pasy. Haler na jednym z nich już całkowicie bezwładna. Z kneblem wepchniętym w usta i wywróconymi do góry oczami. Między rozwartymi powiekami tylko jej przekrwione białka. Jak martwe.

Coraz bliższe wycie policyjnych syren. Nadjeżdżające wsparcie. Warkot uruchamianego silnika przyczepy kempingowej. Złudna nadzieja i pojazd nabierający prędkości. Wycie syren pozostawione

daleko w tyle. Milknące. Całkowicie zagłuszone przez przetaczający się grzmot.

Ciemność, przedłużająca się ciemność, zapadnięcie się w sobie. Cisza, pisk, grzmot. Rozwarcie oczu. Intensywne światło drażniące źrenice.

Deryło zamrugał.

Duszność ustąpiła z klatki piersiowej, ale zastąpiło ją przyspieszone bicie serca, tłukącego się o przełyk i żebra. Potwornie bolała go głowa.

Chciał się poruszyć, lecz ręce miał skrępowane za plecami. Wyraźnie czuł chłód wżynających się w skórę kajdanek.

Rozejrzał się. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu bez okien, w którym ustawiono jedynie studyjny reflektor. Jego światło zostało skierowane wprost na niego. Deryło nie był w stanie się obrócić, lecz miał wrażenie, że zaraz za nim znajduje się ściana. Ściany po bokach niemal od podłogi po sufit pokrywały zaś setki zdjęć różnego formatu. Wszystkie przedstawiały zakonserwowane zwłoki Bończyka. Nagie, półnagie, ubrane w garnitur... Niektóre z nich pokazywały jedynie fragmenty jego ciała. Otwór w czaszce, zalane żywicą oczy, zlepione nią martwe usta, zapadnięty nos, pociętą klatkę piersiową. Wykonano je pod różnym kątem i przy różnym oświetleniu.

Setki najobrzydliwszych zdjęć, jakie można było sobie wyobrazić.

Deryło z furią napał dłońmi na kajdanki, lecz te nie ustąpiły. Wiedział, że nie ma sensu tracić sił na szarpanie się ze stalą. Spróbował przełożyć ręce nad głową. Gdyby miał gumowe stawy, być może by mu się udało.

Zaklął.

Przebrał nogami, lecz te również zostały przytwierdzone do krzesła, do którego go przywiązano. Przynajmniej nie został zakneblowany.

Nagle reflektor zgasł i Deryło zdał sobie sprawę, że w ścianie naprzeciwko niego znajduje się szyba wielkości dużego otworu

drzwiowego. Była osłonięta białym prześcieradłem, które gwałtownie ściągnięto. Po drugiej stronie w oświetlonym identycznym reflektorem pomieszczeniu dostrzegł Halera i dwudziestolatkę, której zdjęcie widział w aktach. Po chwili przypomniał sobie jej imię. Kinga Franys. Obie kobiety zostały skrepowane, a pomiędzy nimi stała ubrana na czarno postać w białej masce.

– Czas rozpocząć grę! – zmodyfikowany elektronicznie głos na żywo brzmiał jeszcze bardziej upiornie niż przez telefon. – Internetowa transmisja właśnie się rozpoczyna.

Postać podeszła do szyby i rozłożyła dłonie niczym zapowiadający przedstawienie konferansjer.

Deryło milczał. Utkwił wzrok w twarzy Halera. Podkomisarz została przywiązana do metalowego stelaża, ale miała pewną swobodę ruchu dłońmi. Szarpała się, usiłując dosięgnąć knebla. Jej twarz poczerwieniała z wysiłku, a włosy się potargały. Była wściekła. A z pewnością bardziej wściekła niż przerażona. Tymczasem Franys siedziała niemal bez ruchu. Drżała, bezsilnie pochlipując. Najwyraźniej straciła już wolę walki i całkowicie się poddała.

Postać w masce stanęła dokładnie naprzeciwko Deryłu. Wymierzyła w niego obleczonym w czarną rękawiczkę palcem.

– Zagra pan o szczęście podkomisarz Halera. Zagra pan też o szczęście niewinnej dwudziestolatki. Szczęście lub pech. Życie lub śmierć. Reguły są proste. Aby jedna z nich przeżyła, druga musi zginąć.

Deryło przełknął ślinę i oblizał wargi. Intensywnie myślał. Musiał jak najbardziej odwlec moment, w którym ten szaleniec uzna grę za rozpoczętą. To była jego jedyna szansa. Jego i obu kobiet.

Zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę.

– Żalotne jest to ukrywanie się za maską. – Zmusił się do drwiącego tonu. – Wiem, kim jesteś.

Porywacz zbliżył się do szyby.

- Naprawdę?
 - Przede wszystkim tchórzem, niepotrafiącym pogodzić się ze śmiercią. Cholernym tchórzem, który zabija, bo w ten sposób zagłusza własne cierpienie.
- Postać zaśmiała się nerwowo i sięgnęła ku masce.
- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że się pan domyśli, komisarzy.

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości. Pani narzeczony doznał rozległych uszkodzeń wielonarządowych i choć udało nam się powstrzymać ogólne krwawienie, jego organy są obrzmiałe. W trakcie operacji usunęliśmy całą śledzionę oraz część wątroby. Stłuczenia były zbyt mocne, by sama zdołała się zregenerować. Jednak główny problem tkwi gdzie indziej. Nastąpiła tamponada serca i mięsień niemal całkowicie przestał być wydolny. Ze względu na ogólny stan pacjenta, a przede wszystkim – jego młody wiek, zostanie skierowany na listę najpilniej oczekujących na transplantację. Obecnie zastosowana procedura pozwoliła umieścić go na miejscu sto dwudziestym ósmym, jednak wierzę, że wkrótce przeskoczy na wyższą pozycję. Mimo to nie możemy zrobić niczego więcej. Aparatura będzie podtrzymywała pracę jego serca, ale ono musi nam pomagać. Jeżeli odmówi współpracy...

Lekarz zawiesił głos i westchnął.

Kobieta dotknęła pierścionka, który przed kilkunastoma godzinami miał odmienić jej życie. Bez słowa nim obróciła.

Przez ostatnie trzydzieści minut wpatrywała się w ścianę szpitalnego korytarza. Wysłuchiwała, jak inny lekarz spokojnym, rzeczowym tonem tłumaczył jakiejś zrozpaczonej kobiecie, że wyznaczona komisja stwierdziła śmierć mózgową jej męża. Od tego czasu tamta trzydziestokilkulatka zastygła w kompletnym bezruchu. Stała przy oknie z całkowicie martwą twarzą i spoglądała na jeden ze szpitalnych dziedzińców.

– Proszę pani... – Lekarz odchrząknął. – Zrobię wszystko, aby pani narzeczony został potraktowany priorytetowo.

Kobieta zerknęła na przyczepioną do kieszeni jego fartucha plakietkę. Dr n. med. Mariusz Witt. Myśli kotłowały się jej w głowie, a strzępy zasłyszanej rozmowy podsunęły nadzieję. Była przekonana, że nie powinna mieć żadnych oporów. Jeśli chce walczyć o życie narzeczonego, musi być bezwzględna. Czyjaś śmierć mogła być jego zbawieniem. Bez słowa chwyciła lekarza za ramię i pociągnęła w stronę tkwiącej w bezruchu brunetki.

– Panie doktorze... Słyszałam, że mąż tej kobiety jest w stanie śmierci mózgowej. – Rozcierając łzy, wycelowała w nią palec. Mówiła głośno i szybko. – Transplantacji dokonuje się właśnie od takich osób. Prawda? Niech mi pan odpowie, do cholery!

Witt skinął głową.

– Ale nie mogę...

– Czego? Czy ona po prostu musi wyrazić zgodę?

Kobieta dopadła do brunetki i złapała ją za rękę.

– Słyszysz mnie pani? Mój narzeczonny właśnie umiera. Mieliśmy wczoraj wypadek, jego serce nie doczeka do transplantacji, o ile...

Witt chwycił ją za rękę. Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem, po czym popatrzył na tamtą przepaszająco.

– Tak nie można! Niech się pani opanuje, rozumiem, że...

– Nic pan nie rozumie, do diabła! Czy umarła panu żona? A może dziecko?

– Na szczęście nie, ale...

– Widzi pan, doktorze, pan miał szczęście, a ja pecha. Mój narzeczonny potrzebuje nieco pieprzonego szczęścia, żeby przeżyć. Ta kobieta może mu pomóc!

Lekarz gniewnie pokręcił głową.

– Decyzja o transplantacji i cały proces objęte są skomplikowanymi procedurami – oznajmił oschle. – Nie mogę zrobić nic więcej.

– Jest pan gnojem! Proszę powiedzieć tej kobiecie...

– Nie mogę jej niczego zasugerować.

– W takim razie zrobię to sama. – Kobieta wyszarpnęła się

z uścisku lekarza i z powrotem dopadła do brunetki. Chwyciła ją za oba ramiona. – Błagam panią, niech pani zgodzi się na przeszczep serca męża dla mojego narzeczonego.

Brunetka wzruszyła ramionami.

– Jeśli umrze, muszę pochować go w całości – oznajmiła, wciąż wpatrując się w ten sam punkt. – Wyobraża sobie pani być po śmierci pociętą na kawałki? – Pokręciła głową. – Poza tym muszę iść nakarmić Willa. Will na pewno jest bardzo głodny...

– Ty suko, zrozum, że twój mąż jest trupem! Jego mózg to pusta papka bez śladu myśli! To tylko cholerne zwłoki, którym wszystko jedno, czy się je potnie, spali, czy wyrzuci na śmietnik... A Kuba... Nie zwróciła żadnej uwagi na ostrzeżenia Witta, że będzie musiał wezwać ochronę. Jednak brunetka nadal nawet nie drgnęła.

– Przepraszam. Muszę nakarmić Willa. Naprawdę przepraszam.

Nagle odwróciła się od okna i ruszyła w stronę klatki schodowej.

– Jeśli mój mąż umrze, muszę pochować go w całości – odezwała się martwym głosem. – A teraz nakarmię Willa. Naprawdę przepraszam.

– Kuba wybudował ten schron po powrocie z Korei. Miał wtedy obsesję na punkcie bezpieczeństwa, wybuchów jądrowych i tak dalej. Przez rok przerabiał piwnicę swojego domu...

Natalia Lec ściągnęła maskę i pokręciła głową, rozciągając mięśnie karku. Jej twarz miała wyraz, jakiego do tej pory Deryło nie widział. Skóra była zszarzała, oczy – przekrwione, a usta co chwilę wyginały się w nerwowym tiku.

– Na zagranicznych reportażach, wbrew temu, co wszyscy myśleli, można sporo zarobić – ciągnęła dziennikarka. – Ale on prawie całą forszę wpakował w ten idiotyczny schron i przyczepę kempingową. Pamięta pan przejażdżkę, komisarzu?

Deryło nie odpowiedział. Wszystkie jego domysły znalazły teraz potwierdzenie. Zastraszony mężczyzna, który wylądował w szpitalu, był tylko elementem gry. Skarski również. Lec upozorowała własne porwanie tylko po to, by wprowadzić zamęt w śledztwie i zyskać nieco czasu. Skoro obłany kwasem mężczyzna przeżył, musiała postawić wszystko na jedną kartę. Wiedziała, że gra się kończy, i dlatego jak najszybciej zorganizowała ostatnią transmisję. O ile rzeczywiście emitowała na żywo wydarzenia z piwnicy, musiała wyciszyć głos. W przeciwnym razie służby już pędziłyby do domu Bończyka.

Który mógł być twierdzą – dopowiedział w myślach Deryło.

– Nie zaskoczyłam pana? – Lec wygięła usta w krzywym uśmiechu. Reszta jej twarzy pozostała całkowicie martwa. – Kiedy się pan wszystkiego domyślił?

Komisarz zerknął na Haler. Policjantka szarpała się

z kajdankami i wściekle tłukła butami o nogi krzesła. Metalowa, wpuszczona w beton konstrukcja nawet nie drgnęła.

Kolejne fakty idealnie wpisywały się w obraz, który w umyśle Deryły przybierał ostateczną formę. Witt został porwany mniej więcej wtedy, gdy Lec dzwoniła, że otrzymała drugą wiadomość. To miało odsunąć od niej podejrzenia. Podobnie telefon od Mistrza Gry w czasie, kiedy przebywała w szpitalu. Dlatego tamta rozmowa była tak krótka. Musiała być przygotowana i mieć przy sobie ukryty syntezator mowy, ale nie chciała, by ktokolwiek ich podsłuchał.

Wszystkie wskazówki, które miały zrobić Wipczyka, tak naprawdę dotyczyły Lec. Kasetą, jakiej dawniej używali przede wszystkim dziennikarze, wskazywała na samą siebie. Tak samo wzmianką o zawodzie i zależnym od innych szczęściu.

– „Niech człowiek o silnej duszy, ale słabej woli, da życie temu ze słabą duszą, ale wolą silną” – zacytował. – To pierwszy znany zapis dotyczący transplantacji. Odkryty gdzieś na Dalekim Wschodzie.

Nerwowy tik jeszcze bardziej zniekształcił wargi Lec. Dziennikarka z uznaniem pokiwała głową.

– Brawo, brawo!

– To ty mówiłaś o rzekomych ostatecznych słowach Bończyka. – Deryło starał się zyskać na czasie, choć nie miał pojęcia, co mogłoby to zmienić. – Przypuszczam, że nie tylko się przyjaźniliście, ale byliście też w związku. Ukrywaliście się przed innymi, bo mogłoby to zostać źle odebrane, skoro pracowaliście w jednej redakcji.

– Zaręczyliśmy się – wycedziła Lec. – Kuba chciał założyć własne pismo.

– Od początku robiłaś wszystko, żeby ukryć, że jesteś kobietą. Urządzenie zmieniające głos, męska forma wypowiedzi... A poza tym dobrze wiedziałaś, że dziewięciu na dziesięciu seryjnych zabójców to faceci. Mimo to powinienem się domyślić, że w tym wypadku jest inaczej.

Lec wydała się autentycznie zaciekawiona. Podeszła do szyby

i dotknęła jej dłoń.

– Po czym?

– Choćby po sposobie zabijania. – Deryło wymacał palcem mocowanie kajdanek. Nie był to standardowo stosowany typ, a urządzenie elektroniczne, podobne do tych, którymi spętano wcześniejsze ofiary i które znaleziono w garażu Wipczyka. – Mężczyźni zabijają bezpośrednio – ciągnął, starając się panować nad głosem. – Lubią osobiście zadawać cierpienie, pastwią się, torturują, ale w tym przypadku ofiary nie miały żadnej styczności ze sprawcą.

– Mieli szczęście lub pecha. To nie ja ich zabiłam.

– To właśnie wymyślił twój chory umysł. Poza tym – Deryło uniósł głowę i spojrzał Lec w oczy. – mimo że w każdej wolnej chwili ćwiczyłaś, nie miałaś dość siły. Żadna z użytych konstrukcji, czy to kosa, czy kwas, nie wymagała specjalnego wysiłku. Ale ślady wleczenia nieprzytomnych ofiar świadczyły o tym, że się z tym męczysz. Tak jak ze mną, gdy przenosiłaś mnie do przyczepy.

– O tak! – Lec sarkastycznie klasnęła. – Miałam pewne problemy techniczne, które trudno przeskoczyć... Ale stawałam się coraz lepsza.

Deryło sapnął, ukrywając, że szamocze się z kajdankami. Jedynym skutkiem szarpnięcia był potworny ból nadgarstków.

– Zastanawia mnie tylko, jakim cudem tak doskonale unikałaś namierzenia przez informatyków...

Uśmiech zniknął z twarzy Lec. Cofnęła się o krok i stanęła pomiędzy skrępowanymi kobietami.

– Kuba był doskonałym hakerem. Nauczył mnie paru sztuczek, a poza tym miał opłacone jakieś serwery w Azji. Korzystał z nich, gdy publikował pod pseudonimem i nie chciał, żeby ktokolwiek do niego dotarł. Swego czasu dostawał pogróżki.

Deryło tym razem szarpnął nogami, ale nie mógł uszkodzić solidnej konstrukcji krzesła ani kajdanek.

– Kochałaś go... – wycedził – a jednak zbecześciłaś jego ciało.

Popatrz na te wszystkie zdjęcia. Jesteś kompletnie szalona!

Lec zrobiła kilka kroków i znikła za ścianą.

– Nie. – Jej głos dobiegł z głębi pomieszczenia. – Ciało nie jest komukolwiek potrzebne, ale mnie odebrano nawet ostatnie pożegnanie. Wpakowano go do grobu tak, jakbym miała zapomnieć. Udało mi się przywrócić mu życie, uwiecznić je na fotografiach, a reszta była już zbędna. To tylko worek kości, które nie mogły się już nikomu przydać. Na wieczną pamiątkę bezużyteczności wystarczyło je zalać żywicą i zostawić jak błyskotki w gablocie. Przynajmniej wtedy dla kogoś mogłyby mieć urok. Worek kości stawał się zwykłym towarem. Ale! – Dziennikarka ponownie pojawiła się za szybą. Tym razem ścisnęła w dłoniach jakiś przedmiot. – Nudzimy naszych widzów.

Deryło panicznie wierzgnął. Wiedział, że zaraz wydarzy się najgorsze.

– Co ze Skarskim? – zapytał pośpiesznie.

– Miał pecha. – Lec wzruszyła ramionami i założyła na twarz maskę przeciwgazową. – Po prostu miał pecha...

– A numer sto dwadzieścia osiem? Co, do cholery, znaczył? Czekać, co robisz?

Dziennikarka obróciła w dłoniach niewielki pilot. Wycelowała go w stronę Deryły.

– Gra musi się zacząć – szepnęła złowieszczo. – Ma pan dokładnie sto dwadzieścia osiem sekund, a ja jeszcze muszę wyjaśnić reguły. Czas start!

W tym samym momencie aktywował się cyfrowy stoper zawieszony za skrępowanymi. Zaczął nieuchronnie odmierzać czas.

Sto dwadzieścia osiem.

Sto dwadzieścia siedem.

Sto dwadzieścia sześć...

@WałKoń 04:46 I gdzie jest policja? Na meczu wystarczy się

poprzepychać, a zaraz pałują! A tu? Odstawiają jazdę bez trzymanki i oczywiście policja siedzi cicho! CHWDP.

@Mądry 04:46 Ktoś był w stanie wyczytać z ruchu warg, co ona mówi?

@Polonus 04:46 U nas w Chicago takie rzeczy by się nie wydarzyły...

@Rutyn3k 04:46 Dajcie głos!!!

@Piter 04:46 A już myślałem, że zaraz zasnę...

@Hit66 04:46 Czas ruszył na dobre xD

@KawałDrania 04:46 Przestała głądzić :D Jest git :)

@Dewiant 04:46 Wreszcie coś się dzieje!

– Zasady są proste. Kinga zgłosiła się do gry, a podkomisarz Haler została wybrana. Będzie jej partnerką – Lec zawiesiła głos i spojrzała do góry. – Tam znajduje się wywietrznik, który normalnie rozpyla tlen, lecz teraz w zbiorniku znajduje się fosgen. Wie pan, co to jest? – Dziennikarka położyła dłoń na włosach Haler. Ta wściekle potrząsnęła głową. – Wyjątkowo paskudny gaz, używany podczas pierwszej wojny. Niszczy nabłonek pęcherzyków płucnych, dając objawy duszenia. Porażona nim osoba ma wrażenie, że rozsadza jej klatkę piersiową. Ci, którzy przeżyli, opowiadali, że czuli się, jakby, zanurzeni, wzięli głęboki wdech i wciągnęli przez nos wodę.

Deryło zerknął na stoper i zacisnął usta.

Sto jeden.

Sto.

– Pod pańskim krzesłem jest pilot z dwoma przyciskami. Lewym i prawym. Od tego, który pan naciśnie, będzie zależało, która z tej dwójki będzie miała szczęście – opadnie przed nią maska z tlenem. Rozumie pan, komisarzu? Kto będzie miał szczęście, a kto zginie w cierpieniu?

Lec nacisnęła pilot i w tym samym momencie krępujące Deryłę kajdanki rozpięły się. Komisarz zerwał się na równe nogi i natychmiast zatoczył. O mało nie upadł. Miał zdrętwiałe mięśnie, ale adrenalina błyskawicznie przywracała w nich krążenie.

Sięgnął do pasa, jednak Lec zabrała mu kaburę z pistoletem. Zaklął. Niewiele myśląc, nabrał rozpędu, zasłonił twarz ramieniem i uderzył w szybę. Ta jednak nawet nie drgnęła.

Natalia Lec wybuchła śmiechem.

– To grube, hartowane szkło – wyjaśniła, kręcąc głową. – Nieco grubsze od tych używanych w autach. Stracił pan tylko czas.

Sześćdziesiąt jeden.

Sześćdziesiąt.

Pięćdziesiąt dziewięć.

Deryło jeszcze raz uderzył w szybę, ale bezskutecznie. Obił sobie tylko bark i kolano. Ciężko dysząc, zaczął drżeć z nerwów. Miał ochotę bić pięściami w szkło. Miał ochotę...

– Brak wyboru spowoduje, że zarówno podkomisarz Haler, jak i szanowna pani Kinga Franys zginą w męczarniach. – Lec z pogardą obserwowała wysiłki komisarza. – Indolencja to naprawdę najgorszy wybór. Nieoddanie organów zmarłego zabija żywych.

Deryło z rezygnacją podszedł do krzesła, do którego przed chwilą był przykuty. Sięgnął po niewielkie urządzenie przypominające dżojstiki, jakich używał, grając lata temu z Wiktoria na pegasusie. Znajdowały się na nim jednak tylko dwa przyciski. Zielony po prawej i czerwony po lewej.

Czterdzieści jeden.

Czterdzieści.

Ściskając urządzenie, podszedł do szyby. Spojrzał na przysłoniętą maską przeciwgazową, wykrzywioną w obłąkanej ekstazie twarz Lec. Następnie przeniósł wzrok na Haler. Podkomisarz kompulsywnie kiwała głową w stronę spętanej dziewczyny, do której groza sytuacji zdawała się zupełnie nie docierać. Siedziała bez ruchu, choć po jej policzkach ciurkiem ciekły łzy. Na moment wbiła w komisarza zrozpaczone spojrzenie.

Deryło wiedział, o co chodzi Haler. Podkomisarz dawała mu znak, by uratował Franys.

– Pół minuty – oznajmiła Lec.

– Pieprz się!

Deryło potarł palcem zielony guzik. Skąd miał wiedzieć, że jego

naciśnięcie rzeczywiście uwolni zbiornik z tlenem dla dwudziestolatki. Poza tym...

– One są spętane – nie panował już nad głosem. – Jak miałyby osiągnąć masek tlenowych?!

– Gdy wciśnie pan guzik, kajdany automatycznie się rozepną – Lec wyciągnęła zza pasa jego glocka. – To natomiast na wypadek, gdyby próbowały uciec... Piętnaście sekund.

Deryło zerknął na ściskane w dłoni urządzenie. Niemal całe skrzyło się od jego potu.

Dotknął zielonego przycisku, który powinien uwolnić maskę nad Franys. Wbił wzrok w Haler, która wydawała się zupełnie spokojna. Skinęła głową, dając mu znać, że dobrze wybrał. Deryło był przekonany, że gdyby nie knebel, właśnie uśmiechałaby się pokrzepiająco.

Tymczasem Lec ponownie stanęła tuż obok szyby. Od komisarza dzieliły ją ledwie dwa kroki. Poprawiła maskę i odwróciła się, obserwując zegar.

– Trzy – zaczęła odliczać. – Dwa...

Deryło z całej siły wdusił zielony przycisk. Maską tlenową zgodnie z obietnicą Lec wyskoczyła z konstrukcji zamontowanej pod sufitem i opadła tuż przed Franys. Kajdanki na rękach dziewczyny rozpięły się. Jednocześnie wokół wywietrznika uniósł się kłęb dymu.

Gaz.

Stoper zatrzymał się na jedyńce.

Ułamek sekundy później komisarz rzucił na podłogę przypominające dżojstik urządzenie i błyskawicznie sięgnął do kieszeni. Dokonał wyboru, ale nie zamierzał się poddać.

Lec odwróciła się, obserwując jak dwudziestolatka zdrętwiałymi dłońmi stara się nałożyć maskę tlenową. Ta dwukrotnie jej wypadła, ale wreszcie Franys udało się przytknąć ją do twarzy. Tymczasem Deryło z ulgą stwierdził, że jego kieszenie nie zostały opróżnione. Wyszarpnął schowaną poprzedniego ranka świecę zapłonową i zacisnął ją w dłoni. Kątem oka widział, że Haler zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Teraz na jej twarzy było widać strach. Wydawało mu się, że z oczu podkomisarz płyną łzy.

Deryło z całej siły zamachnął się i uderzył porcelanową końcówką świecy w szybę. W przeciwieństwie do poprzednich prób, tym razem się udało – powstało na niej wyraźne pęknięcie. Hartowane szkło było odporne na uderzenia i naprężenia, lecz ceramika tworzyła w nim mikrouszkodzenia, które powodowały pęknięcie całej tafli. W skali twardości Mohsa kwarc znajdował się wyżej od szkła. Dlatego dawniej popularnym sposobem wycinania szyb przez złodziei było właśnie używanie do tego celu substytutów diamentu.

Tyle mówiła teoria.

Praktyka miała zdecydować o życiu lub śmierci jego podwładnej.

Deryło bez zastanowienia napał barkiem na taflę i w tym samym momencie szyba rozpadła się na setki drobnych kawałków. Część z nich spadła mu za kołnierz, a niektóre – wbiły się w twarz. Mimo to komisarz z impetem wpadł na Lec. Kompletnie zaskoczona dziennikarka wypuściła pistolet i upadła pod jego ciężarem.

Szamocząc się, przeczołgali się do krzesła, na którym siedziała Franys. Deryło zdarł maskę przeciwgazową z twarzy Lec i wymierzył jej solidny cios pięścią. Z nosa dziennikarki trysnęła krew.

Komisarz chwycił maskę i poderwał się w stronę Haler. Wstrzymując powietrze, zerknął na zamocowany pod sufitem rozpylacz. Nie wiedział, jak szybko gaz uszkadza płuca, ale spodziewał się, że nawet pojedynczy wdech może okazać się śmiertelny. Pospiesznie nasunął na twarz policjantki maskę i w tym samym momencie upadł, powalony silnym kopniakiem pod kolano. Lec rzuciła się w stronę leżącego na ziemi pistoletu.

Deryło błyskawicznie się obrócił i dopadł dziennikarkę ułamek sekundy przed tym, nim chwyciła broń. Ponownie zwarci w kłinczu przeczołgali się po pomieszczeniu. Lec biła na oślep, ale jak na swoją posturę była zaskakująco silna. Kolejne ciosy ogłuszyły komisarza. Deryło zaczynał się dusić. Wiedział, że jeszcze chwila i będzie musiał zaczerpnąć powietrza. Nie zdoła powstrzymać tego odruchu. Twarz dziennikarki również spąsowiała, a jej oczy nabiegły krwią. Mimo to udało się jej wywinąć z uścisku komisarza i uderzyć go w podbródek.

Deryle zakręciło się w głowie. W tym samym momencie zauważył, że Franys wyciąga w jego stronę maskę tlenową. Nie zważając na kolejne ciosy, chwycił ją i zaciągnął się głęboko powietrzem. Widząc to, Lec natychmiast rzuciła się do maski, lecz tym razem Deryło był szybszy. Wymierzył jej kopniaka prosto w splot słoneczny, który odrzucił ją na bok. Zwinęła się w kłębek, zakaszłała i bezwiednie

wzięła głęboki oddech.

W jej oczach momentalnie pojawiło się przerażenie. Zakrwawiona twarz wygięła się spazmatycznie. Kobieta usiłowała się podnieść, lecz nie dała rady. Zachwiała się, charcząc. Z jej ust dobiegło potworne rżenie, a z nosa pociekła stróżka krwi. Dłonie zacisnęły się i zaraz rozluźniły. Utkwiła spojrzenie w komisarzu, po czym zmusiła się do krzywego uśmiechu.

– Miał pan...

Urwała w pół zdania. Jej głowa bezwładnie opadła i głucho uderzyła o podłogę.

Tydzień później

96

Deryło siedział przy biurku i spoglądał w okno. Początek lipca był naprawdę upalny. Popołudniowe słońce przyjemnie świeciło mu prosto w twarz. Od dawna potrzebował niedzieli, którą mógłby spędzić tylko ze sobą. I z własnymi myślami.

Na blacie przed nim leżała otwarta teczka z plikiem dokumentów. Kilkanaście stron wniosków, uwag, opinii oraz wszelakich rekomendacji potrzebnych do tego, by mógł natychmiast odejść na emeryturę. Wystarczyło wprawić maszynę w ruch i zagwarantowałby sobie dożywotni urlop.

Z jednej strony ostatnia sprawa uświadomiła mu, że nie jest już młodzikiem gotowym do biegania w terenie, a z drugiej...

Deryło uśmiechnął się. Z drugiej strony nie wyobrażał sobie innego życia. Od paru lat konsekwentnie unikał ubiegania się o awanse i stanowisko, które zamknęłoby go w gabinecie. Adrenalina pozwalała mu żyć. Wyzwania i poczucie misji stanowiły cel sam w sobie. Dawały świadomość, że jest kimś, kto wciąż jest do czegoś potrzebny światu.

Komisarz sięgnął do biurka po butelkę calvadosa oraz pokal ze szkła uranowego. Od kilkadziesiąt lat niemal niestosowany w produkcji materiał przed wiekiem stanowił szczyt ekstrawagancji. Ekstrawagancja ta, według niektórych badań, stała się szkodliwa, ale Deryło to nie przeszkadzało. Szkodliwy był smog, chlor w basenie, pestycydy i setki związków obecnych na etykietach produktów.

Szkodliwe było przede wszystkim życie.

Przed dwoma dniami, wracając z roboty, zatrzymał się na środku

skrzyżowania. Miał wrażenie, że czekający na przejściu mężczyzna był tym, którego widział przed miesiącami, jak wyskakuje z szoferki tira.

TEGO tira.

Zapomniana i wyparta z umysłu twarz nagle ożyła. Stała się całkowicie realna. W umyśle zapaliły się światła alarmowe, a podświadomość kazała mu działać. Kierował nim zabójczy impuls. Widząc go, mężczyzna najpierw całkowicie zbaraniał, jednak po chwili otrzeźwienia rzucił się do ucieczki. Wtedy Deryło zyskał pewność. Gdyby miał broń, bez wątpienia by ją wyciągnął.

Po kilkuset metrach sprintu młodszy o kilkanaście lat mężczyzna zniknął Deryle wśród bloków. Dwugodzinne poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Komisarz nie zgłosił sprawy na komendę. Działał na własną rękę. Przyrzekł sobie, że tę sprawiedliwość wymierzy sam, w zastępstwie jakiegokolwiek sądu. Bez względu na konsekwencje, tylko w ten sposób mógł zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie wobec społeczeństwa, prawa czy moralności, ale wobec własnej rodziny.

Pociągnął spory łyk calvadosa i oblizał usta. Złożonemu mechanicznie żurawiovi oderwał skrzydło. Zmiał papier, po czym cisnął go do śmietnika. A jeżeli to wszystko było jedynie złudzeniem przeciążonego umysłu? Jeżeli gonił wymysł własnej fantazji? Albo, co gorsze, kogoś całkowicie niewinnego? Kogoś, kto ratował się ucieczką przed zwalistym szaleńcem z obłędem wymalowanym na twarzy?

Zdjęcie żony i córki stało obok otwartej teczki. Wiedział, że Ewa nie pozwoliłaby mu jeszcze odejść na emeryturę. Kiedy tylko poruszał ten temat, żartowała, że gdyby to zrobił, musiałby wyprowadzić się z domu. Albo wynająć sobie pokój na godziny, w którym będzie się zamykał, zamiast głądzić, gdy ona pracuje. Rzeczywiście przez ostatnie lata większość akademickiej roboty Ewa przynosiła do domu.

Komisarz pomyślał o żonie i córce mężczyzny, który z wyżartą

twarzą leżał w szpitalu. Swoją drogą, był szczęściarzem czy pechowcem? Do końca życia pozostanie makabrycznie oszpecony, lecz będzie przy nim rodzina. Czy potrzebował czegokolwiek więcej? Czy szczęście było tyle warte?

Deryło po raz kolejny sięgnął po kartkę papieru, ale jedynie przytrzymał ją w dłoni. Spojrzał za okno. Pod parapetem ustawiona była klatka ze spasionym Willem. Zamykając sprawę, jeszcze raz rozmawiał z Darią Zaharową, która na kilka dni przygarnęła chomika. Nie mogła się jednak nim zajmować i wyznała, że Will lada dzień trafi do schroniska. Komisarz nie wahał się. Zadziałał pod wpływem impulsu. Od razu zdecydował, że przygarnie spaślaka. Teraz obserwował, jak Will drepcze na kołowrotku, spalając pożarte kalorie. Popiskiwał przy tym z wysiłku i marszczył nos. Nie cierpiał ruchu, a jednak jakiś wewnętrzny głos zmuszał go do aktywności. Co chwilę z zainteresowaniem łypał na komisarza.

Deryło zaczął składać żurawia. Gdy ptak wreszcie przybrał kształt, poczuł dziwne ukłucie w sercu. Czyżby to był tysięczny żuraw, o którym marzyła Sadako Sasaki? Czy właśnie tak powinien się czuć, gdy sięgnie po szczęście? Wreszcie czy w ogóle liczyły się te wszystkie żurawie, które przez lata wylądowały zmięte lub poobdzierane w koszu?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Starego, ściennego aparatu, który od kilkunastu lat wisiał przy domofonie i za który rachunek opłacał tylko dlatego, że miał ustawiony automatyczny, comiesięczny przelew.

Deryło podniósł się od biurka i ciężkim krokiem ruszył do przedpokoju. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie podał domowego numeru Haler. Niedzielne wyjście do K.u.K. Bierkeller byłoby przyjemną perspektywą. Nerwowo ściągnął słuchawkę z bazy.

– Halo?

Przez kilka sekund na łączu panowała cisza.

– Halo? – powtórzył Deryło.

Cisza przedłużała się. Miał już odłożyć słuchawkę, gdy w głośniku usłyszał chlipnięcie.

– Cześć... – Od razu rozpoznał głos Wiktorii. Serce podeszło mu do gardła. – Tato, nie wytrzymam już tego dłużej.

Posłowie

Beletrystyka to rozrywka, lecz problem przeszczepów i oświadczeń dawców przetacza się w publicznej dyskusji od lat. Jest to szalenie, jeżeli to dobre słowo, istotny problem. Abstrahując od indywidualnych poglądów, oceny moralnej oraz etycznej, chciałbym podnieść jedynie dwie kwestie.

Każda osoba dorosła składająca pisemne oświadczenie woli – zgodę na pobranie po śmierci swoich tkanek i narządów do przeszczepienia – daje dowód świadomego pragnienia ratowania życia i przywracania zdrowia chorym. Własnoręczne podpisanie oświadczenia ułatwia lekarzom oraz bliskim osoby zmarłej uszanowanie wyrażonej przez nią woli.

Specjalne karty dawcy można bezpłatnie uzyskać między innymi przy pomocy portali:

<https://www.poltransplant.org.pl/>

<https://www.dawca.pl/>

Warto podkreślić przychylnie dawcom oraz transplantacji stanowisko większości Kościołów w tym Kościoła katolickiego.

W punkcie 2296 Katechizmu czytamy:

Przeszczep narządów zgodny jest z prawem moralnym, jeśli fizyczne i psychiczne niebezpieczeństwa, jakie ponosi dawca, są proporcjonalne do pożądanego dobra biorcy. Oddawanie narządów po śmierci jest czynem szlachetnym i godnym pochwały; należy do niego zachęcać, ponieważ jest przejawem wielkodusznej solidarności. Moralnie nie do przyjęcia jest pobranie narządów, jeśli dawca lub jego bliscy, mający do tego prawo, nie udzielają na to wyraźnej zgody. Jest rzeczą moralnie niedopuszczalną bezpośrednio

*powodowanie trwałego kalectwa lub śmierci jednej istoty ludzkiej,
nawet gdyby to miało przedłużyć życie innych osób.*

Od autora

Gdy stawiam ostatnią kropkę, scena staje się ciemna. Ale to tylko stan przejściowy. Wiem o tym ja i wiedzieć powinien każdy widz, czyli Ty, czytelnik.

Dziękuję, że dotrwałeś do końca seansu. Gdyby procesy wydawnicze były łatwiejsze, przytrzymałbym Cię w tym kinie dłużej. Po całkowitym zaciemnieniu obrazu projektor powinien zafurkotać od nowa, abyśmy wszyscy poznali ciąg dalszy historii.

Grzech ukazał się w październiku 2017 roku. W ciągu półtora roku pojawiły się cztery tomy serii. To Twoja zasługa. Gdyby nie statusy bestsellerów i pobite wszelkie założenia co do popularności książki debiutującego autora, opowieść z pewnością potoczyłaby się wolniej. A tak – to właśnie Ty puściłeś w ruch projektor, który ograniczają teraz jedynie rozwiązania techniczne. Lublin spłynął krwią, bo właśnie tego chciałeś. Za to należą się Ci ukłony.

Ukłony należą się również wspaniałemu gronu Filii – wstyd mi, że piszę to dopiero przy tej książce. Zrobiliście kawał świetnej roboty!

Jeszcze kilka słów wyjaśnienia. To pierwsze posłowie, ale nie zamierzam zanudzać.

Nie wiem, dlaczego w trakcie pisania szczególnie intensywne światło pada na te, a nie inne sceny. Nie wiem, dlaczego makabrę rozjaśnia mi się łatwiej niż romans. Może właśnie takie jest życie komisarza Deryły? Może zwracam uwagę na to, do czego i on przywiązuje szczególną wagę? A może chodzi o coś całkiem innego. O...

Nieważne.

Dość o mnie.

Nie mam pojęcia, co wydarzy się dalej. Jestem jednak tego piekielnie ciekaw.

W chwili, gdy czytasz te słowa, komisarz pewnie już prowadzi następne śledztwo. Być może jest w Twoim mieście, wiosce czy miasteczku. Być może za chwilę dostanie telefon, że coś strasznego zdarzyło się za ścianą Twojego pokoju albo w piwnicy, do której masz zaraz zejść po słoik przetworów. Może to właśnie Ty będziesz następną ofiarą? A może jedynie świadkiem kolejnej zbrodni.

Czy nie masz wrażenia, że ktoś właśnie próbuje otworzyć drzwi do Twojego mieszkania?

Czy nie słyszysz podejrzanego chrobotu pod łóżkiem?

Na pewno?

SPIS TREŚCI

Okładka

Fragment z książki

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46

47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

Posłowie

Od autora

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcia na okładce: © Paolo Martinez/Arcangel,
© Sean Gladwell/Getty Images

Redakcja: Agnieszka Zygmunt / Słowne Babki
Korekta: Monika Marczyk / Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-706-6

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl